

E w a B a u e r

Ucieczka przed życiem

*Historia o miłości, która niszczy.
Pozycja obowiązkowa dla mam,
szczególnie tych idealnych.*

Agnieszka Lis



E w a B a u e r

Ucieczka

przed życiem

SZARA GODZINA

Wszystkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej książki nie może być reprodukowana w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób bez pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki i stron tytułowych

Anna Damasiewicz

Zdjęcia na okładce

© *Jurica Koletić* / *Unsplash.com*

© *Tetiana Iatsenko* / *Depositphotos.com*

Redakcja

Justyna Nosal-Bartniczuk

Redakcja techniczna, skład, łamanie oraz opracowanie wersji elektronicznej

Grzegorz Bociek

Korekta

Barbara Kaszubowska

Niniejsza powieść to fikcja literacka. Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń rzeczywistych jest w tej książce niezamierzone i przypadkowe.

Wydanie I, Katowice 2018

Wydawnictwo Szara Godzina s.c.

biuro@szaragodzina.pl

www.szaragodzina.pl

Dystrybucja wersji drukowanej: DICTUM Sp. z o.o.

ul. Kabaretowa 21, 01-942 Warszawa

tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12

dystrybucja@dictum.pl

www.dictum.pl

© Copyright by Wydawnictwo Szara Godzina s.c., 2018

Kubie i Frankowi. Kocham Was, Chłopaki!

Na razie jesteś dla mnie tylko małym chłopcem podobnym do stu tysięcy innych małych chłopców. Nie potrzebuję cię. Ani ty mnie nie potrzebujesz. Jestem dla ciebie tylko lisem, takim jak sto tysięcy innych lisów. Ale jeśli mnie oswoisz, to będziemy siebie potrzebowali. Będziesz dla mnie jeden jedyny na świecie. I ja będę dla ciebie jedyny na świecie.

Antoine de Saint-Exupéry, *Mały Książę*

Rozdział 1

Już od chwili wkroczenia do budynku Cecylka zauważyła, że niektóre dzieci czują się swobodnie, inne rozglądają się nieśmiało, choć z ciekawością, a pozostałe gapią się bezmyślnie. Jak to dzieci. Tłum uczniów ciągnął korytarzem do sali gimnastycznej, gdzie miała się odbyć uroczystość rozpoczęcia roku szkolnego. Szczególną uwagę zwracała zagubiona i przerażona wszechobecnym gwarem grupka maluchów. Pierwszoklasiści. Nauczyciele próbowali ich ustawić w szeregu, ale gdy tylko udało się zatrzymać kilkoro, inni już zdążyli się przemieścić niczym niesforne psiaki. Zabawa trwałaby pewnie długo, gdyby nie tubalny głos rozlegający się z megafonu, który oznajmił, że za chwilę zaczyna się akademія.

– Cecyljo, popraw bluzkę! Wyglądasz niechlujnie. Co nauczyciele o nas pomyślą?
– Kobieta stojąca w pewnej odległości od wychowawczynie karciała córkę. – A teraz stań grzecznie w szeregu.

Dziewczynka miała ochotę zemdleć. Ręce jej drżały i język stawał kołkiem, jednak posłusznie włożyła rąbek bluzki za pasek spódnicy i wolnym krokiem ruszyła ku grupce dzieci.

– Szybko, szybko – ponaglała ją matka nieznośnym sprzeciwu głosem. Zdawała się nie przejmować tym, że rozpoczęcie pierwszego roku nauki jest dla jej córki trudnym przeżyciem.

Cecylka nigdy wcześniej nie widziała tylu dzieci na raz. Podczas spacerów z rodzicami albo z opiekunką widywała grupki na placu zabaw czy w parku, jednak otaczający ją szkolny tłum po prostu szokował siedmiolatkę. W głowie kręciło jej się ze zdenerwowania, a na karku czuła zimno. Najchętniej uciekłaby do swojego pokoju, ale takie rozwiązanie nie wchodziło w grę. Ponieważ miała wśród tych dzieci spędzać wiele dni i godzin lekcyjnych, należało opanować lęk. Przede wszystkim nie chciała zawieść matki. Tyle razy słyszała, że szkoła jest ważna, że od wyników w nauce zależy cała przyszłość. Cóż, będzie musiała tu przychodzić, czy jej się to podoba, czy nie.

Skup się na nauczycielce, powtarzała w myślach. Nie patrz na dzieci. Wmawiała sobie, że sala jest pusta. Zatrzymała się w połowie drogi, bo nogi wydawały się ciężkie jak z ołowiu. Serce jej biło coraz mocniej, a panika ogarniała myśli. Uczennica obejrzała się na matkę. Kobieta stała jak posąg: wyprostowana, ze ściągniętymi ustami, nienagannie ubrana w jasną garsonkę i dopasowane kolorystycznie buty na wysokim obcasie. Dziewczynce przemknęło przez myśl, że jej matka jest najelegantszą kobietą w sali, jednak nie przyniosło to ulgi. Nie rozumiała, dlaczego rodzicielka przywiązuje tak wielką wagę do wyglądu. Ufała jej, dlatego posłusznie wykonywała polecenia. Spojrzała na nią jeszcze raz: broda lekko zadarta, brwi delikatnie ściągnięte. Na idealnej fryzurze nie poruszył się żaden włos.

Podjęła decyzję, by zrobić to, czego wszyscy od niej oczekiwali. Wygładziła spódniczkę,

której już wcześniej nic nie można było zarzucić, skoncentrowała wzrok na płamie na podłodze, co dawało jej punkt oparcia, i powoli ruszyła w stronę swojej klasy.

Większość dzieci zgromadziła się w wyznaczonym miejscu. Nauczycielka gestem zachęciła Cecylkę, by dołączyła do grupy. Mała wzięła więc głęboki oddech i stanęła przy innych, jednak trochę na uboczu, by jej nie trącały rozbrykane dzieciaki. Wszyscy rywalizowali o miejsce najbliżej pani. Wszyscy oprócz niej. Ona chciała pozostać niewidzialna.

Wybrzmiały hymn szkoły i przemówienie dyrektora. Potem nastąpiła prezentacja poszczególnych klas. Dziewczynka cieszyła się, że nie wywoływano uczniów na środek, bo za nic w świecie nie wyszłaby przed audytorium. Szukała wzrokiem matki, ale nie mogła jej znaleźć. Pewnie poszła już do pracy, pomyślała i poczuła się odrobinę lepiej. Spojrzała na klasę. Dzieci zaczęły ją intrygować. Poczuła, że polubi szkołę, ponieważ nie będzie jej tu śledzić czujne oko matki.

Kiedy uroczystość dobiegła końca, wyprowadzono dzieci z sali gimnastycznej do klas. Cecylka posłusznie ruszyła za swoją grupą. Gdy doszli do drzwi oznaczonych tabliczką Ia, nauczycielka otworzyła je długim kluczem z doczepionym do niego tekturowym kartonikiem. Uczniowie wbiegli do środka i pospiesznie zajęli miejsca w ławkach. Dziewczynka długo nie mogła się zdecydować, aż w końcu nie miała wyboru. Zostało tylko jedno wolne stanowisko na końcu sali pod ścianą. Tam skierowała kroki.

– Cecylia Krzepczyńska?

– Tak, to ja – odrzekła nieśmiało.

– Wiem, że to ty. Nie możesz siedzieć w ostatniej ławce. Nie będziesz widziała, co jest na tablicy. Tu obok Bożenki jest miejsce. Przesiądź się, proszę.

Dziewczynka posłusznie wykonała polecenie. Wcześniej nie zauważyła, że może zająć jedną z pierwszych ławek, ponieważ całą przestrzeń zawłaszczyła tęga szatynka o mocno zaróżowionych policzkach. Nowa koleżanka od razu wyciągnęła ku niej spoconą rękę i się przedstawiła.

Cecylia cicho wypowiedziała swoje imię i uściśnęła jej dłoń, zaraz jednak wytarła palce w spódnicę, ponieważ były oblepione syropem z cukierków. Przeszło jej przez myśl, że na materiale zostanie plama i mama z pewnością ją zauważy. W głowie już słyszała, że nie szanuje swoich rzeczy i naraża rodzicielkę na ciągłe pranie, nie mówiąc o wystawianiu na wstyd przed ludźmi. Tak, najgorsze dla mamy było to, co ludzie pomyślą. Cecylka nie mogła jednak postąpić inaczej. Nie miała nic, w co mogłaby wytrzeć polepioną dłoń.

Bożenka spojrzała na nią z zaciekawieniem.

– Chcesz cukierka? Mam dwa. – Na wyciągniętej ręce spoczęły wygniecione krówki.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała, a tamta bez wahania odwinęła papierki i włożyła łakocie do buzi.

Cecylia patrzyła z niedowierzaniem i fascynacją. Nie mogła uwierzyć, że ktoś może jeść podczas lekcji. Za chwilę miał być obiad, a w domu Krzepczyńskich przed obiadem nigdy się nie podjadało, poza tym pakowanie do ust dwóch cukierków na raz było po prostu niegrzeczne. Mielenie buzią – jak mawiała jej matka – przypomina raczej krowę na pastwisku niż dobrze wychowane dziecko.

Dziewczynka rozejrzała się wokół. Nikt poza nią nie zwrócił uwagi na zachowanie Bożenki. Nawet nauczycielka tylko uśmiechnęła się z sympatią na widok łasucha. Cecylia uznała więc, że widocznie pierwszego dnia dzieci mogą pozwolić sobie na więcej niż zwykle.

Koleżanka przesunęła się, robiąc miejsce w ławce. Cecylia usiadła na brzegu, zważając, by nie zetknąć się z nią choćby rąbkiem rękawa. Bardzo różniły się od siebie nie tylko posturą, ale i strojem. Bożenka miała na sobie bluzeczkę, która zapewne kiedyś była biała, ale utraciła

śnieżny odcień, i granatową spódniczkę na gumce. Choć strój był nienagannie wyprasowany, widać było ząb czasu. Pewnie ktoś nosił go wcześniej wielokrotnie. Cecylia przypomniała sobie, jak dzień wcześniej pani pomagająca w pracach domowych prasowała jej świeżo nabytą bluzkę. Starła się bardzo, ale gdy skończyła, Wanda Krzepczyńska zdjęła ubranie z wieszaka i rzuciła z powrotem na deskę.

– Proszę to porządnie wyprasować! Moja córka nie pójdzie do szkoły jak fleja! – Nie prosiła, tylko żądała, a gosposia posłusznie ponownie chwyciła za żelazko.

Nauczycielka poprosiła, by każde dziecko powiedziało kilka słów o sobie. Cecylia słuchała zafascynowana, gdyż każda historia była inna. Nie знаła świata przedstawianego przez kolegów i koleżanki. Dziewczynki opowiadały o swoich mało skomplikowanych, ale jakże przyjemnych pasjach i marzeniach. Na przykład Renatka pragnęła wybrać się na wycieczkę rowerową aż do Balina. Inna uczennica chciałyby pojechać do Krakowa na basen. Jeden chłopiec chciałby dostać tak duże pudło klocków, by wybudować z nich wieżę sięgającą do sufitu.

Gdy nadszedł czas Krzepczyńskiej, wstała niepewnie i wyrecytowała:

– Moja mama mówi, że posiadam największy dar, jakim mogła mnie obdarzyć, to jest inteligencję i kulturę osobistą, a moim marzeniem jest zostać baletnicą.

Po klasie przeszedł pomruk i zaległa cisza. Dzieci nie wiedziały, jak odnieść się do wypowiedzi nowej koleżanki, choć fakt, że chciała być baletnicą, bardzo im się spodobał.

– Super! Ja też bym chciała tańczyć – szepnęła Bożenka, przeglądając kieszeń w spódnicy. Niestety znajdowały się tam już tylko papierki po słodyczach. Wstała więc z ławki i zaniósła je do stojącego pod tablicą kosza.

Cecylia się zamyśliła. Matka zawsze powtarzała, że przy odpowiednim nakładzie pracy osiągnie sukces. Niestety nauczycielka tańca bardzo narzekała na umiejętności panny Krzepczyńskiej. Twierdziła, że nie ma poczucia rytmu. Nigdy nie mogła wejść równo z pozostałymi dziewczynkami, myliła kroki, potykała się. Mimo drobnej postury była niezgrabna. Stąpała ciężko i brakowało jej elastyczności. Matka najpierw twierdziła, że wina leży po stronie pedagoga, ale kiedy tę zastąpiła inna, a problem pozostał, uznała, że córka za mało ćwiczy.

– Tylko ciężką pracą można coś osiągnąć – powtarzała wielokrotnie. – Masz taniec we krwi, ale się nie starasz!

Mała nie chciała zawieść mamy, która w młodości tańczyła w balecie. Niestety kontuzja ścięgna sprawiła, że Wanda musiała porzucić wymarzoną karierę. Zamiłowanie do baletu pozostało, dlatego tak bardzo chciała zaspokoić ambicje, oglądając córkę na scenie. Pomimo wielu starań spektakularne postępy nie przychodziły. Cecylia wiedziała, jakie to ważne dla matki, dlatego wmówiła sobie, że taniec jest jej pasją. W rzeczywistości coraz częściej miała go dość. Koncentrowała się, po tysiącokrotnie powtarzała układy, żeby pokazać, że potrafi. Wytężona praca dawała pewne efekty. Dziewczynka popełniała coraz mniej błędów, a nauczycielka i matka chwaliły ją za postępy. Z czasem jednak Cecylia w głębi duszy znienawidziła zajęcia.

Kiedy wychowawczynie w pierwszym dniu szkoły zapytały dzieci o marzenia, mała Krzepczyńska odpowiedziała natychmiast i z przekonaniem. Nie zdawała sobie wówczas sprawy, że wypowiada marzenie kogoś, kto bez reszty kieruje jej życiem.

Po powrocie do domu szczegółowo o wszystko ją wypymano. Mamie oczywiście nie spodobała się spontaniczna koleżanka z ławki.

Nazajutrz ku swemu zaskoczeniu Cecylia usłyszała, jak wychowawczynie prosi Bożenkę, by przesiadła się do ostatniej ławki.

– Jesteś wysoka. Doszłam do wniosku, że powinnaś siedzieć dalej, żeby nie zasłaniać niższym dzieciom.

Pani Krzepczyńska niespodziewanie poczuła się samotna. Nowakówna była zupełnie

inna od niej, a jednak coś ją przyciągało do tej pulchnej, uśmiechniętej dziewczyny. Złapała się na tym, że lubi ją obserwować. Była dla Cecylii trochę jak egzotyczny eksponat przywieziony przez podróżnika z dalekiego kraju. Nigdy wcześniej, nawet w książkach, które czytała jej opiekunka, nie spotkała dziecka o podobnym usposobieniu. I to właśnie Cecylię fascynowało, poruszało jakieś nieznanne struny, budziło emocje.

Wieczorem, zupełnie nieświadoma interwencji matki, pożaliła się rodzicom, że nikt nie chce z nią siedzieć, że nawet Bożenkę przesadzono gdzieś indziej. Pokiwali tylko głowami, nie komentując sprawy. Kilka godzin później, gdy dziewczynka od dawna była już w łóżku, przebudziła się, czując nagłą potrzebę udania się do łazienki. Wymknęła się po cichu z sypialni. Po drodze usłyszała rozmowę rodziców dolatującą z kuchni. Wstrzymała oddech.

– Musiałam zgłosić to wychowawczyni. Wyobraź sobie, że ta gruba dziewczucha jest córką Nowakowej, naszej sprzątaczką z banku! Nie pozwolę, żeby Cecylia utrzymywała bliskie relacje z takimi ludźmi. Słyszałeś, co mówiła o jej zachowaniu na lekcji? Poniżej wszelkiego poziomu! Mam nadzieję, że znajdą się w tej klasie dzieci z przyzwoitych rodzin. Nie żebym miała coś przeciwko prostym ludziom...

– Wandziu, przecież to szkoła publiczna, więc będą tam uczniowie z różnych środowisk. Nie unikniesz takich kontaktów.

– Nie uniknę, ale póki mogę mieć jakiś wpływ, to będę miała. Aha, chciałabym, żeby Cecylia miała lekcje francuskiego. Szkoda zaprzepaścić nauki Zuzanny. Taka porządna dziewczyna, a musiała wyjść za męż!

– Nie przesadzasz? Przecież to wspaniale, że Zuzia poznała tego chłopca! Wesele było na sto dwa!

– Tobie tylko dobre wesele w głowie, a ja myślę o przyszłości naszej córki.

– Czy ty się, Wandziu, aby nie zagalopowałaś? Co wspólnego ma przyszłość naszej córki ze szczęściem jej guwernantki? O Cecylkę nie musisz się martwić. I tak zrobiłaś już dla niej bardzo dużo. Będzie miała do czynienia z różnymi ludźmi. Niech się zawczasu uodparnia.

– Ona jest jeszcze zbyt mała, by odróżnić dobre od złego. Ludzie mogą mieć na nią fatalny wpływ. Im więcej ostrzeżeń dostanie teraz, tym lepiej dla jej przyszłości. Czy nie tak?

– Tak, tak...

Tej nocy Cecylia długo nie mogła zasnąć. Wiedziała, że mama dba o jej rozwój i naukę, o poprawne zachowanie i właściwe słownictwo. Ale dlaczego zabrania jej bawić się z dziećmi? Tego nie mogła pojąć. Dziewczynce nie przeszkadzała ani tusza Bożenki, ani to, że jej mama sprząta w banku. Przynajmniej umiała sobie wyobrazić, na czym polega taka praca, bo zajęcie matki było dla niej czarną magią. Nowakówna, pomimo swej niezdarności i nie zawsze właściwego zachowania, sprawiała wrażenie bardzo życzliwej koleżanki. Przy niej Cecylka bała się odrobinę mniej. Wydawało się jej nawet, że mogłyby się kiedyś zaprzyjaźnić. Tak myślała, choć nigdy wcześniej nie miała przyjaciółki i nie do końca rozumiała tę relację. Znała ją tylko z książek. Matka i Zuzanna czytały jej wiele ciekawych historii. Szczególnie zapamiętała opowieść pod tytułem *Buleczka* o przyjaźni dwóch dziewczynek wychowanych w całkiem różnych domach. Tę książkę przyniosła guwernantka, ale matka wkrótce zabrała powieść, mówiąc, że może mieć na córkę zły wpływ. Cecylia nie potrafiła sobie wyobrazić, jak może jej zaszkodzić. Nie miała nic przeciwko temu, by taka Buleczka pojawiła się w jej życiu. Choć nie widziała w sobie podobieństw do którejś z bohaterek, tak jak Dziunia czuła się ogromnie samotna. Czy szkoła może coś zmienić w tej kwestii? Cecylka na myśl o nowym środowisku doznawała fali gorąca i szybszego bicia serca. Po chwili wręcz odwrotnie: gęsiej skórki i uczucia zimna. Jak zwykle przytuliła się do puszystego futerka swojej maskotki, modląc się cichutko, by sen przyszedł jak najszybciej.

Rozdział 2

Narodziny Cecylii były długo wyczekiwany wydarzeniem w rodzinie Krzeczkińskich. Czterdziestoletnia już Wanda jeszcze kilka miesięcy wcześniej nie wierzyła, że ta chwila w końcu nastąpi. Od piętnastu lat starali się z Marianem o dziecko. Kiedy wreszcie się udało, radość przysłonił strach. Kobieta wciąż lękała się o ciążę.

Małżeństwu niczego oprócz potomka nie brakowało. Wanda – zatrudniona na wysokim stanowisku w banku – zarabiała dwukrotnie więcej niż jej mąż, inżynier w fabryce lokomotyw. Mieszkali w komfortowym czteropokojowym lokalu położonym w jednej z kamienic przy rynku. W całym budynku tylko oni wykupili lokum na własność. Sąsiedzi korzystali z administracyjnego przydziału i nie mieli motywacji, by dbać o budynek. Krzeczkińscy inwestowali w nieruchomości, bo po pierwsze było ich na to stać, a po drugie zadbane dom świadczył o ich pozycji.

Mieszkanie Wanda odziedziczyła po rodzicach. Wychowywała się w nim, dlatego pomimo próśb męża, by zamiast wkładać pieniądze w rozpadającą się ze starości kamienicę, wybudować gdzieś na obrzeżach miasta jednorodzinny dom, nie zdecydowała się na zmianę. Chrzanów, choć niewiele się w nim działo, był miastem, w którym czuła się dobrze. Miała tu wszystko pod nosem: pracę, sklepy, kościół. Z przedmieść musiałaby dojeżdżać samochodem albo podmiejskim autobusem. Nie odpowiadała jej taka perspektywa. Wanda nie lubiła prowadzić samochodu, w związku z tym nie zrobiła prawa jazdy. Natomiast z komunikacji publicznej korzystała tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne, na przykład gdy musiała dostać się do Balic, skąd wylatywała służbowo za granicę. Po przejechaniu autobusem choćby kilku kilometrów zawsze czuła się brudna i zdawało się jej, że ubranie przeszło niepożądanymi zapachami otaczających ją ludzi. Wielokrotnie to podkreślała.

– Na Zachodzie tego nie ma – mawiała nieraz, porównując polską rzeczywistość do zagranicznej. – Tutaj ludzie chyba nie wiedzą, co to mydło i dezodorant. Ich ubrania śmierdzą potem oraz papierosami, a odór z ust jest nie do wytrzymania.

– Ale chyba autobusem przemieszczają się nie tylko brudasy? – Empatyczny mąż próbował tłumaczyć anonimowy tłum.

– Wystarczy, żeby jeden taki jechał! Smród jest tak niemiłosierny, że wszystkim się udziela. Nie pojedę już nigdy więcej miejskim transportem! Ty będziesz mnie woził!

– A jeśli będę w pracy?

– Weźmiesz urlop. Czy ty zdajesz sobie sprawę, jak to wpływa na mój wizerunek? Nie jadę na lotnisko dla własnego widzimisię. Wsiadam do samolotu w pomiętym kostiumie, ciągnąc za sobą smród jakiegoś pijaczka albo niedomytej staruchy! Ludzie dziwnie na mnie patrzą.

– Przesadzasz. To jest w twojej głowie. Patrzą na ciebie, bo jesteś atrakcyjną kobietą! – Próbował udobruchać żonę.

– Flirciarz jesteś. Wiesz, jak mi poprawić humor. Ale i tak nie będę jeździć komunikacją miejską. To nie na moje nerwy. Ostatnio dałam się ponieść emocjom. Nie wytrzymałam, bo jakiś maluch wciąż wrzeszczał i ciągnął mnie za spódnicę. Tymczasem jego matka rozmawiała z koleżanką o cieniach do powiek. Wyobrazasz to sobie?

Mina męża wskazywała, że niestety wyobraża sobie tę scenę z żoną w roli głównej. Niezrażona kobieta kontynuowała:

– Odsuwałam się, jak mogłam, ale to nic nie pomagało, bo miejsca tam jest niewiele, a ten gówniarz wychylał się z wózka i podnosił mi spódnicę. W końcu zwróciłam uwagę matce, żeby go lepiej pilnowała.

– Tak? I co się stało? – Marian spodziewał się najgorszego. Jakoś trudno było mu wyobrazić sobie Wandę spokojnie proszącą o interwencję.

– Co się miało stać? Te głupie baby, co to na targ jadą i tylko czekają na jakiś pretekst, żeby rajfurzyć, zaczęły na mnie wrzeszczeć, że to tylko dziecko i żebym mu dała spokój! Jedna nawet policję chciała wzywać. A ten mały ryczał, jakby go zarzynali. Matka nie mogła sobie z nim poradzić, ale temu to się akurat nie dziwię.

– Policję? Hm... A z jakiego powodu?

– Że niby znęcam się nad dzieckiem. Przecież ja go tylko skarciłam. Odpędziłam jak muchę. A te kwoki podniosły larum, że niby dziecko biję. Dobrze, że autobus się zatrzymał, bo mogłam wysiąść.

– Całe szczęście...

Marian zdawał sobie sprawę, że jego żona jest specyficzna. Zawsze bez wahania wyrażała poglądy, nie bacząc, czy kogoś nie rani. Jedynym słusznym spojrzeniem na sprawy była jej perspektywa. Zdawała się tak samo surowa i wymagająca wobec wszystkich, także w stosunku do siebie i córki. Od najmłodszych lat karmiła ją opowieściami, jak w wieku dwunastu lat musiała wykazać się samodzielnością i odpowiedzialnością, gdy zmarła jej matka, a kilka lat później również ojciec. Bez niczyjej pomocy osiągnęła sukces: skończyła studia z wyróżnieniem, otrzymała pracę w bankowości i pięła się po szczeblach kariery. Cecylia miała w domu wspaniały przykład kobiety sukcesu. Matka jej powtarzała, że to dzięki niezłomnemu charakterowi daje sobie radę. Marian obawiał się jednak, że część ludzi po prostu woli usuwać się jej z drogi, oddając pole do popisu, niż wchodzić z nią w konflikt.

Ojciec Wandy, Leopold Wiekucki, przez całe życie związany był z męskim chórem. Często zabierał na próby swą córkę. Wandzia od najmłodszych lat ćwiczyła się w nawiązywaniu rozmów z mężczyznami w różnym wieku, co nieraz przydało jej się później, gdy musiała walczyć o szacunek na kierowniczych stanowiskach. To w chórze właśnie poznała nieśmiałego Mariana Krzeczynskiego, który z uwielbieniem wsłuchiwał się w męski śpiew i marzył, że któregoś dnia zasili szeregi miłośników muzyki i stanie obok swojego ojca, by wraz z nim oddawać się pasji. Jako nastolatka Wanda nudziła się podczas prób, więc za wszelką cenę próbowała odciągać równolatka od przysłuchiwania się.

– Marian, zapalisz? – Któregoś razu wyciągnęła zmiętą paczkę papierosów w jego kierunku.

– No co ty?! Ojciec by mnie zabił. A twój wie, że palisz?

– Żartujesz? Nie jestem głupia! Chodź na podwórze, to nikt nie zauważy. Oni tu jeszcze będą śpiewać z godzinę. – Wanda ruszyła pierwsza w kierunku drzwi, udając, że nie obchodzi ją to, czy chłopak za nią podąży, czy nie. W rzeczywistości zerkała kątem oka. Kiedy nie spostrzegła żadnego ruchu w pobliżu, mruknęła jakby od niechcenia: – Rób, jak chcesz. – A potem, przypuszczając, że Marian odprowadza ją wzrokiem, wykonała parę gestów, które czasem ćwiczyła na kolegach z klasy: wyprostowała plecy, delikatnie zakołysała biodrami, spowolnionym ruchem odgarnęła włosy z twarzy, zatrzymując dłoń na szyi, jakby przez moment ją masowała.

Gdy dotarła do wyjścia, odwróciła się w stronę chłopaka, który tkwił w tym samym miejscu i rzeczywiście na nią patrzył. Nim otworzyła drzwi, wyciągnęła z paczki papierosa i chwytając go pomiędzy dwa wyprostowane palce, przyłożyła do ust. Drugą ręką uruchomiła zapalniczkę. Spokojnie zaciągnęła się dymem, a potem powoli wypuściła smugę, oblizując usta. Tak zakończył się pokaz przeznaczony dla oczu upatrzonej ofiary. Czuła, że sieć została zarzucona. To, kiedy Marian się podda, było tylko kwestią czasu. I rzeczywiście, chłopak był zauroczony koleżanką, ale jego nieśmiałość paraliżowała go za każdym razem, gdy chciał zaproponować jej randkę. Taka dziewczyna mogła mieć każdego, a w liceum, do którego już chodziła, z pewnością można było spotkać wielu ciekawszych chłopców niż on.

Wanda nie odpuszczała. To nie sztuka umawiać się z odważnymi chłopakami. Niejeden taki już się z nią spotykał, ale wcześniej czy później dochodziło do konfliktu silnych osobowości i młodzi zrywali znajomość. Marian opierał się najdłużej. Wanda postanowiła więc spróbować innej techniki. Gdy jej ojciec zaczął chorować na nerki i nie mógł uczestniczyć w próbach chóru, któregoś dnia sama poszła do domu kultury i odnalazła jak zwykle przysłuchującego się śpiewom chłopca.

– Przyszłam tu, żeby cię prosić o przysługę – zwróciła się do niego błagalnym tonem.
– Wiesz, że mój tata jest bardzo chory... Praktycznie nie może chodzić. Najbardziej mu brakuje wspólnych koncertów. Pomyślałam sobie, że może udałoby się namówić kilku chórzystów, by zaśpiewali wraz z nim w domu. Mógłbyś porozmawiać o tym ze swoim tatą?

– Oczywiście! Dziś to załatwię. To... – Marian zarumienił się na myśl o tym, co właśnie chciał powiedzieć. – To wspaniałe, że tak troszczysz się o tatę! Musi być wam bardzo ciężko. A może... może mógłbym ci jakoś jeszcze pomóc, bo skoro on... Chyba masz wiele obowiązków, co?

– Och, Marian, jaki ty jesteś miły! To prawda, że nie jest łatwo, ale daję sobie radę.

– Na pewno! Jednak gdybyś potrzebowała...

– Właściwie tak. Byłoby miło, gdybyś czasem wpadł do nas i z nim posiedział. Mogłabym zrobić zakupy, pójść do pralni... Wiesz, na czas, gdy jestem w szkole, proszę o pomoc sąsiadkę, ale trochę mi głupio wciąż korzystać z jej uprzejmości. Poza tym myślę, że tacie byłoby miło porozmawiać z tobą. Opowiedziałbyś mu wszystkie nowinki z życia chóru, co?

– Nie ma sprawy. Kiedy mam przyjść?

– Dziś wieczorem. Potem ustalimy szczegóły. – Wanda spojrzała na zegarek, zgarnęła siatki z zakupami, które wcześniej odstawiła na podłogę, i już miała odejść, ale zatrzymała się, podeszła do Mariana, by – ku jego zaskoczeniu – pocałować go w policzek.

– Dziękuję i do zobaczenia! – zawołała, wybiegając z pomieszczenia.

Tak zaczęły się ich regularne spotkania. Marian ośmielił się wreszcie i okazał Wandzie zainteresowanie. Choć początkowo jedynie bawiła się nim, z czasem zaczęła angażować się w tę relację. Leopold zmarł po kilku miesiącach nierównej walki z chorobą, osierocając córkę. Od niedawna była już pełnoletnia, miała gdzie mieszkać i za co żyć, bo spore środki finansowe odziedziczyła po rodzicach. Została sama: bez rodziny i przyjaciół, których nigdy tak naprawdę nie miała. Dotąd nie byli jej potrzebni. Wszystkie znajomości traktowała płytko. Nie szanowała innych. Ludzie jedynie przesuwali się w jej życiu jak nic nieznaczące pionki. Nie potrafiłaby nawet wymienić nazwisk koleżanek ze szkół. Nigdy nie miało to dla niej znaczenia. I dopiero wtedy, gdy zabrakło ojca, zorientowała się, że jest sama jak palec. Towarzyszył jej tylko Marian. Ten poczciwy, nieśmiały chłopiec, którego wielką pasją był śpiew. Nastolatek, który na jej oczach przeobrażał się w troskliwego, godnego zaufania, żyjącego w cieniu innych mężczyznę. Wprawdzie inaczej wyobrażała sobie człowieka, z którym miałaby spędzić życie, ale na razie i tak nie planowała wiązać się z kimś na stałe, więc pustkę w jej życiu mógł zapełniać właśnie on.

Przyszły mąż wspierał ją zawsze, gdy go potrzebowała, a było tak do czasu, gdy otrząsnęła się po śmierci ojca i postanowiła wykorzystać życie najlepiej, jak potrafi. W jej przekonaniu największą wartość stanowiły wykształcenie i wysoki status materialny. Przeniosła się więc do Krakowa, gdzie zrobiła studia z zakresu bankowości. Choć miasto nad Wisłą było urokliwe, Wanda nie widziała w nim swojej przyszłości. O wiele lepiej czuła się w małym miasteczku niż w grodzie Kraka, bo u siebie była kimś, a w mieście uniwersyteckim jedną z tysięcy anonimowych studentek.

Po ukończeniu edukacji z wyróżnieniem szybko otrzymała pracę w jednym z oddziałów banku w rodzinnym mieście. Z przyjemnością wróciła do Chrzanowa, gdzie znali i podziwiali ją

wszyscy. Dla wielu była córką Leopolda Wiekuckiego, wieloletniego śpiewaka miejscowego chóru, postaci cenionej tak przez środowisko związane z kulturą, jak i zwyczajnych mieszkańców. Stała się też wzorem kobiety sukcesu, sieroty, która dzięki własnej pracy i wytrwałości osiągnęła sukces.

Z Marianem kontakt urwał się krótko po wyjeździe do Krakowa. Zabrakło jej zapału, by podtrzymywać młodzieńczą przyjaźń. Perspektywa bujnego życia studenckiego w wielkim mieście kusila i zapewniała odcięcie się od dotychczasowych zobowiązań partnerskich w Chrzanowie. Niestety wszelkie nowe znajomości podobnie jak wcześniej były powierzchowne i nie wносиły niczego do jej życia. Kobieta uświadomiła sobie, że może liczyć tylko na siebie. Inwestycja w rozwój osobisty była najlepszym wyborem i na to właśnie postawiła. Przez kolejne lata pięła się więc po szczeblach kariery, niejednej osobie grając na nosie. Kobiety z banku nienawidziły jej, mężczyźni w skrytości podziwiali za hart ducha i siłę przebiccia, a w praktyce starali się na każdym kroku podkreślić, że jej płeć jest słaba i skłonna do popełniania zbyt wielu błędów, a oferowane stanowisko nienależne. Wanda nie dawała sobie w kaszę dmuchać. Nieczuła na kąśliwe uwagi, wymagała od siebie jeszcze więcej niż od innych. Stawiała na profesjonalizm i samodzielność. W stosunkach z podwładnymi była zimną, nieczułą na ludzkie słabości szefową. Dla nikogo nie było taryfy ulgowej. Skoro od siebie wymagała perfekcjonizmu, nie widziała powodów, by inni mogli obniżać loty.

Tymczasem Marian ukończył technikum mechaniczno-elektryczne w Chrzanowie. W tym czasie w mieście nie było wielu możliwości kształcenia się w technicznych kierunkach, dlatego jego edukacja zakończyła się na maturze. Tęsknił za dziewczyną, która wyjechała do Krakowa, ale wkrótce nauka pochłonęła go tak, że nie miał czasu podzielać jej zachwyty nad życiem studenckim w dużym mieście. Musiał skupić się na egzaminie dojrzałości. W technikum odbywał praktyki w miejscowej fabryce lokomotyw. Jeden z brygadzystów obiecał mu wówczas, że jeśli tylko będzie starał się o pracę w Fabloku, poprze jego kandydaturę. Tak też się stało, dlatego tuż po maturze chłopak zatrudnił się w zakładzie, który okazał się jego jedynym miejscem zatrudnienia. Wciąż mieszkał z rodzicami. Nie było sensu się wynosić, bo nie prowadził życia towarzyskiego. Nie miał na to ochoty. Liczył, że któregoś dnia Wanda wróci do Chrzanowa i wtedy założą rodzinę. Lata mijały, a ona zerwała z nim kontakt. Matka wielokrotnie wypytywała go, kiedy przyprowadzi do domu miłą dziewczynę. Syn zbywał ją machnięciem ręki.

Do ponownego spotkania Wandy i Mariana doszło w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku. Mężczyzna zakładał właśnie księżeczkę mieszkaniową w banku, gdy stanęła przed nim dawna znajoma. Spoważniała. A może to służbowy uniform nadawał kobiecie taki wygląd? Granatowa garsonka, spódnica za kolano, włosy upięte w kok. Gdzieś podziały się luz i nuta prowokacji, jakie zawsze cechowały jej styl, ale nadal była piękna i pociągająca. Serce zabiło mu mocniej na jej widok.

– Nie wiedziałem, że jesteś w Chrzanowie – stwierdził zaskoczony, gdy i ona go rozpoznała.

– Jestem. Od dwóch lat.

Zdziwił się jeszcze bardziej.

– Dlaczego nie skontaktowałaś się ze mną?

– A wiesz, czas tak szybko leci! Najpierw przyjechałam na chwilę, by zobaczyć, co z mieszkaniem, a potem, przechodząc aleją Henryka, pomyślałam, że zajrzę do banku i zapytam, czy potrzebują kogoś do pracy. Okazało się, że jest wolny etat, więc złożyłam podanie i dostałam tę pracę. A jak już wpadłam w wir... Sam rozumiesz.

– Ale przecież nie chciałaś tu wracać.

– Chciałam, nie chciałam. Wiesz, Kraków to duże miasto, wielkie możliwości i wielka

konkurencja. Staralam się o pracę w dwóch bankach, ale mam wrażenie, że tam ręka rękę myje. Może się mylę, ale tak czy inaczej nie było łatwo o zatrudnienie. Poza tym Michał...

– Kto to jest Michał?

– Nikt. Już nikt. To przeszłość. Tu jest moje miejsce. Mój dom. Chyba lepiej się tu czuję.

W jej głosie wyczuł tęsknotę, ale też rozżalenie. Być może Kraków nie spełnił jej oczekiwań. Dobrze, że wróciła, pomyślał, a w jego sercu na nowo rozkwitła nadzieja.

– Może pójdziesz ze mną na kawę? – zaproponował nieśmiało.

Wanda zawahała się, ale po chwili stwierdziła:

– No dobra. To kiedy?

Umówili się na następny dzień po pracy.

Spotkali się w kawiarni Bajka usytuowanej w rynku niedaleko kamienicy, w której mieszkała Wanda. Rozmowa z początku się nie kleiła. Kobieta nie wydawała się zainteresowana życiem Mariana. Nie zapytała o jego rodziców czy pracę, a o studiach w Krakowie też nie chciała mówić. W końcu jednak mężczyźnie udało się poruszyć strunę, która skupiła jej uwagę.

– Śpiewam w chórze – wyznał.

– O! Poszedłeś w ślady swojego ojca! – powiedziała i pomyślała o własnym rodzicu.

– Tak, ale tato już nie koncertuje. Wysiadły mu struny głosowe. Wciąż przychodzi na próby. Od jakiegoś czasu to on się przysłuchuje. Pamiętasz, jak razem słuchaliśmy występów?

Wanda kiwnęła głową. Przyglądała się młodemu mężczyźnie, który zrobił na niej wrażenie. Zmęźniał, wyprzystojniał, a jednodniowy zarost łamał wspomnienie łagodnego jak baranek przyjaciela.

Patrzyli na siebie w milczeniu dopóty, dopóki nie spytał z troską w głosie:

– Jak sobie radzisz sama?

– Nie od dziś jestem sierotą. Bywają trudne chwile, ale życie takie jest. Muszę być twarda – odparła szorstko.

Wyczuł w jej głosie żal.

– Nie chciałem cię urazić. Po prostu wyobrażam sobie, że musi być ci ciężko. Mama prosiła, żeby cię pozdrowić. Może przyszedłabyś w niedzielę do nas na obiad?

– Jeśli tylko znajdę czas...

Wanda nie miała żadnych planów na niedzielę. Ani na tę, ani na inne. Nie znosiła weekendów, bo w wolne dni czuła się samotna. Nie miała przyjaciółek, chłopaka, rodziny. Siedziała w czterech ścianach, wymyślając wciąż nowe zajęcia, by tylko zająć czymś umysł. Zdecydowanie bardziej wolała dni pracy, gdy nie mogła odbiegać myślami zbyt daleko. Pochlebiała jej troska Mariana, ale wciąż zastanawiała się, czy jest to mężczyzna, z którym chce spędzić życie. Co on mógłby jej zaoferować? Nudny żywot w małym miasteczku? Podtykanie śniadania pod nos i poprawianie kołdry, żeby nie zmarzła? Jednak czuła się tak bardzo samotna... Nikt nie rozumiał jej sposobu patrzenia na świat. Co złego w tym, że chciała być najlepsza, osiągać sukcesy zawodowe, inwestować w swój rozwój? Co niewłaściwego jest w tym, że wymaga perfekcjonizmu od innych? Gdyby wszyscy byli tak solidni jak ona, nie byłoby absurdów w urzędach i w życiu codziennym. A Marian? Cóż... Marian zawsze był poczciwy, dobry, ale... nudny. No nic, zobaczymy, jak życie się potoczy, pomyślała i ostatecznie przyjęła zaproszenie na obiad do rodziny Krzeczkińskich.

Marian stopniowo zdobywał serce Wandy. Jego niezachwiane uczucie i wiara w to, że mogą być razem szczęśliwi, wydrążyły małą przestrzeń w jej sercu. W pięć miesięcy po pierwszym spotkaniu oświadczył się dziewczynie, a ta przyjęła pierścienek. Rodzice narzeczonego przekonali go, że nie ma na co czekać, i wkrótce zaczęli planować ceremonię ślubną, jednak Wanda kategorycznie się temu sprzeciwiła. Nie chciała, by przyszli teściowie

ponosili koszty związane z uroczystością, a jeszcze bardziej nie podobało jej się to, że chcieli decydować o najważniejszej chwili w jej życiu. Sama więc wszystko zaplanowała, a im pozwoliła jedynie zrealizować część spraw organizacyjnych.

Młodzi pobrali się w rocznicę spotkania po latach, przysięgając sobie dożywotnią miłość i wierność. Wanda nigdy nie żałowała tej decyzji. Nadal realizowała się zawodowo, a wieczorami i w weekendy miała kogoś, do kogo mogła się odezwać i spędzić z nim czas. Mogła też liczyć, że jej zachcianki będą spełniane. To ona w domu wyznaczała granice i priorytety. To jej decyzje miały pierwszeństwo. Marian mógł się jedynie podporządkować. Nie był jednak, jak się zdawało, całkiem bezwolny. Akceptował taki podział ról, gdyż wychodził z założenia, że Wanda jest urodzonym szefem i źle się czuje, jeśli nie może kimś kierować. Mężczyzna starał się być jej głosem rozsądku i tłumikiem emocji. Gdy za bardzo dawała się im ponieść, stopował ją, uświadamiając, że życie ma różne barwy, nie tylko czerń i biel, i warto mieć dystans do codzienności.

Jedną z niewielu wspólnych decyzji, jaką podjęli po analizie wszystkich za i przeciw, były starania o dziecko. Choć Marian podejrzewał, że ich motywacje są różne, co do samego faktu posiadania potomstwa byli zgodni. Mężczyzna wierzył, że mała istota zacieśni i rozwinie ich relacje, a macierzyńskie uczucia złagodzą charakter Wandy. Nie mógł wiedzieć, że dla niej posiadanie dziecka stało się kolejnym celem do osiągnięcia, spełnieniem się tym razem jako kobieta, a im dłużej celu tego nie dało się zrealizować, tym większa była jej determinacja.

Rozdział 3

Przyzwyczajona do tego, że zawsze osiąga swój cel, Wanda źle znosiła fakt, że nie może zająć w ciąży. Po wielomiesięcznych próbach naturalnych starań, a potem także ingerencjach medycznych, które wciąż okazywały się nieskuteczne, oficjalnie porzuciła plan zostania matką. Tak przynajmniej informowała każdego, kto poruszył ten temat. Twierdziła, że macierzyństwo nie jest dla niej, a ciąża i potem noworodek tylko ograniczałyby karierę. Coraz więcej czasu poświęcała pracy, co przekładało się na jej awanse i umocnienie pozycji zawodowej w świecie zdominowanym przez mężczyzn.

Nigdy nie była kobietą uległą, nie znała kompromisu, ale od momentu gdy zrezygnowała ze starań o dziecko, stała się nie do zniesienia dla wszystkich, którzy w jakiś sposób od niej zależeli. Zawsze wszystko musiała mieć pod kontrolą i wymagała najwyższych standardów postępowania. Tylko wtedy, gdy sprawy zawodowe toczyły się w narzucony przez nią sposób, miała poczucie, że panuje nad sytuacją. Nie mogła znieść braku kontroli. Wywoływał w niej złość. W banku stała się postrachem, a i w domu nieraz dochodziło do konfliktów. Na szczęście Marian nie tylko był ugodowy, ale też doskonale znał Wandę i wiedział, kiedy nie należy się sprzeciwiać oraz co zrobić, by zyskać jej aprobatę. Tylko dzięki niemu małżeńskie konflikty równie szybko się kończyły, jak wybuchały.

Kiedy po kilkunastu latach okazało się, że Wanda jednak zaszła w ciążę, po raz kolejny musiała przewartościować swoje plany. Osiągnęła już stabilną pozycję zawodową, więc gdy tylko zorientowała się, że wkrótce zostanie mamą, włożyła wielki wysiłek w przygotowanie gniazda dla dziecka oraz w plany wychowania i edukacji potomka.

Cecylia urodziła się siłami natury w szpitalu powiatowym, jednak do porodu wezwano jednego z najznajmniejszych lekarzy i polecaną położną z Krakowa. Nie to, żeby miejscowi medycy byli niekompetentni, ale Wanda wołała dmuchać na zimne. Jej i dziecku nie mogło przydarzyć się nic niespodziewanego, a opiekę powinni mieć zapewnioną przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Jeszcze przed narodzinami przyszli rodzice nie mieli wątpliwości, jakie wybrać imię. Skoro zarówno ojciec Wandy, jak i Mariana, a potem i on sam śpiewali w chórze, a cała rodzina

pasjonowała się tym, naturalnym wyborem stały się imiona jednego z patronów muzyki. Dla dziewczynki jedyną opcją była Cecylia, dla chłopca Grzegorz lub Leon. Kiedy więc pojawiła się na świecie córka, wybrana święta objęła nad nią pieczę. Życie Krzepczyńskich skoncentrowało się na dziecku. Szybko jednak okazało się, że Wanda nie może żyć bez pracy. Spędzając czas w domu, dzwoniła do banku, by upewnić się, czy wszystko należycie funkcjonuje, gdy jej tam nie ma. Nie dawała sobie wytłumaczyć, że radzą sobie bez niej, bo w jej przekonaniu była niezastąpiona.

– Marian, powinniśmy znaleźć opiekunkę. Ja muszę wrócić do pracy. Po prostu muszę.

– Przecież mała ma dopiero trzy miesiące i karmisz ją piersią. Ona ciebie potrzebuje.

– Próbował przekonywać żonę.

– Będę przy niej po pracy i przez całą noc. A tam sobie po prostu nie radzą. Ja to wiem, nawet jeśli twierdzą inaczej. Mam taki zakres obowiązków, których nikt nie jest w stanie pociągnąć. Jeśli nie wrócę, to wkrótce będą kłopoty.

– Ale...

– I popatrz na mnie. Obwisłe ciało, nabrzmiałe piersi. Jak ja wyglądam?! Im szybciej wrócę do pracy, tym sprawniej odzyskam formę.

– Nie chcesz już karmić? Przecież to ważne dla dziecka.

– A ty niby skąd wiesz, co?

– Tak słyszałem.

– No to posłuchaj, co ja mam do powiedzenia. Matki wiedzą najlepiej, czego dziecku potrzeba. Nie powtarzała ci tak twoja?

– Owszem, ale...

– Zostanę w domu dopóty, dopóki nie znajdę opiekunki – odrzekła pojednawczo, jednak po chwili dodała: – Z pewnością nie będzie to długo trwało.

Krzepczyńska nie porzucała raz podjętej decyzji, dlatego zapowiedziała w banku szybki powrót do pracy. Rozwiesiła w mieście ogłoszenia, a gdy zaczęły zgłaszać się kandydatki na nianię, poprosiła je o szczegółowy życiorys i przedstawienie doświadczenia zawodowego. Część kobiet rezygnowała od razu, bo nie miały pojęcia, co to jest owo tajemnicze „si-wi”, o którym mówiła pracodawczyni, a gdy kolejnym łaskawie objaśniała, oburzały się:

– Gdzie ja tam pisać będę jakieś dyrdymały! Czworom dzieci odchowala i wnuczeta. Po co komu wiedzieć, czym jakie szkoły pokończyła?

– Nie ma pani racji, pani Kowalowa. Moja córka potrzebuje nie tylko opiekunki, która ją nakarmi i przewinie. Ona potrzebuje guwernantki.

– Gu... co?

– Guwernantki. Osoby, która zadba także o jej rozwój intelektualny i nauczy zasad savoir-vivre'u.

– Idź se pani szukać tej gównorantki do Krakowa, bo tu to raczej takich kształconych nie znajdzieta. – Starsza kobieta ukloniła się i odeszła. Pod nosem rzuciła jeszcze: – Tej paniusi to się w głowie porzewracało.

Choć większość kandydatek pochodziła z niewykształconych rodzin, Wandzie udało się znaleźć dwie kobiety, które podczas pierwszej rozmowy zdawały się reprezentować pożądany poziom. Dwudziestopięcioletnia Zuzanna, córka jednego z miejscowych radnych, skończyła studia pedagogiczne. Młoda kobieta znała francuski, grała na pianinie i charakteryzowała się wysoką kulturą osobistą. Nigdy profesjonalnie nie zajmowała się dziećmi, ale miała kontakt z maluchami swojej siostry, które często odwiedzała. Brak doświadczenia w opiece nad niemowlakiem był niemałym problemem, lecz poza tym kandydatka ta doskonale pasowała do wyobrażeń Wandy. Druga wybrana kobieta – Weronika – zawodowo trudniła się opieką nad

dziećmi. Jej ostatni podopieczny właśnie rozpoczął naukę w szkole, dlatego szukała nowej pracy. Znała angielski w stopniu zadowalającym, a spod jej rąk wychodziły cudne ozdoby i zabawki z papieru oraz tkanin. Niestety nie posiadała jakże pożądanego talentu muzycznego i nie lubiła kuchni.

Nikt nie był idealny. Wanda wiedziała, że w tak małym mieście nie znajdzie lepszych kandydatek. Zdecydowała się na Zuzannę. Początkowo zamierzała towarzyszyć jej w codziennych czynnościach i sprawdzić, jak poradzi sobie z dzieckiem. Cecylia na szczęście była spokojnym i uśmiechniętym niemowlakiem, a opiekunka wzbudziła jej ufność. Dziewczyna szybko nauczyła się postępowania z małym dzieckiem i otwarta była na wszelkie sugestie Wandy, jak stymulować Cecylię w rozwoju. Codziennie grała jej utwory muzyki poważnej, czytała bajki, pokazywała kontrastowe obrazki. Na życzenie pracodawczyni zapisała się na weekendowy kurs pierwszej pomocy z elementami masażu relaksacyjnego dzieci. Nabyte umiejętności bardzo przydały się w opiece nad Cecylią.

Wanda wróciła do pracy szczęśliwa, że pozostawia dziecko pod najlepszą z możliwych opieką. Nawet Marian musiał przyznać, że wykwalifikowana niania radzi sobie doskonale, choć początkowo do pomysłu żony podchodził sceptycznie. Sam wracał z Fabloku dopiero pod wieczór, dlatego z przyjemnością witał wysprzątaną dom, ugotowany obiad i zadowolone dziecko, które wyciągało w jego kierunku rączki.

Zuzanna nie mogła jednak przebywać u Krzeczynskich aż do nocy, więc gdy tylko któryś rodzic stawał w drzwiach, natychmiast wychodziła.

Powodziło im się bardzo dobrze. Cecylia miała wszystko, a nawet więcej. Z każdej zagranicznej podróży Wanda przywoziła masę ubranek i zabawek, a także nowinki technologiczne i udogodnienia dla młodych rodziców.

Pewnego dnia matka wezwała do siebie opiekunkę.

– Zuzanno, najwyższy czas, żebyś zwracała się do Cecylii po francusku. Ona ma być dwujęzyczna. Bardzo mi na tym zależy.

– Nie wiem, czy będę w stanie nauczyć ją biegle mówić. Nie jestem nauczycielką języka. Poza tym... czy to nie za wcześnie?

– Oszuchanie da wyniki w przyszłości. Nie zakładam, że nauczy się płynnej mowy. Do tego zatrudnię rodowitego Francuza. Przy tobie przynajmniej się osłucha. Tylko proszę, żebyś mówiła do niej pięknym językiem literackim. Zwracaj uwagę na akcent!

– Zrobię, co w mojej mocy, proszę pani. – Kobieta zdawała sobie sprawę, że sprzeciwienie się Krzeczynskiej równa się z utratą pracy. Bardzo chciała ją utrzymać, bo w gruncie rzeczy było to przyjemne zajęcie. Dziecko okazało się bezproblemowe i spokojne, Marian sympatyczny, a Wandy nie widywała zbyt często. Zazwyczaj kontaktowały się za pomocą karteczek. Pani domu spisywała instrukcje i zostawiała je przypięte do mebli. Zuzanna otrzymywała przyzwoite wynagrodzenie, a innych ofert pracy na razie nie miała.

Marian sprzeciwiał się nauce francuskiego, argumentując, że Cecylka jest za mała i nic z tego nie zrozumie, a zbyt wczesne nadmierne obciążanie dziecka może mu zaszkodzić. Matka uważała, że wie najlepiej, czego potrzeba małej, nawet później, gdy przez dwa lata z rzędu była nieobecna na urodzinach córki, bo przebywała w delegacjach. Ojciec z córką siedzieli sami przy torcie, który piekła Zuzanna, i próbowali zgadnąć, co mama przywiezie w prezencie, choć dla córki najlepsza byłaby jej obecność, a nie kolejna zabawka edukacyjna.

Dziewczynka chowała się zdrowo. Była bardzo inteligentna i dobrze wyedukowana. Od najmłodszych lat wymagano od niej, by zachowywała się nienagannie. Matka często ją strofowała, dlatego dziwne w ustach kilkulatki wydawało się zdanie: „Przepraszam, muszę wyjść za potrzebą”.

Kiedy Cecylka pokazywała coś palcem, Wanda karciła ją, mówiąc, że jeśli kolejny raz wyciągnie w ten sposób rękę, zwiąże jej paluszki bandażem. Dziewczynka nieraz bawiła się jedną rączką, bo druga miała karę.

Rozdział 4

Dla Bożenki Nowakówny pierwszy września był wielkim dniem. Nareszcie poszła do wymarzonej szkoły! Przez całe wakacje nie mogła się tego doczekać, wciąż wyobrażając sobie nowe koleżanki, panią i salę, w której miała się uczyć. Żałowała jedynie, że mamusia nie mogła z nią przyjść na rozpoczęcie roku, bo już od rana musiała być w pracy. Ojciec został z rodzeństwem, a babcia Dusia, która zazwyczaj opiekowała się dziećmi, odprowadziła Bożenkę do szkoły.

Gdy weszły do sali gimnastycznej, gdzie miała odbyć się ceremonia rozpoczęcia roku szkolnego, sporo osób już się tam zgromadziło. Dzieci biegały, śmiejąc się radośnie. Dziewczynka z ciekawością rozglądała się za kimś znajomym i rzeczywiście zauważyła kilka osób. Babcia ukloniła się rodzicom. W końcu Chrzanów to niewielkie miasto i większość ludzi się tu zna.

Pierwszoklasistka pobiegła do miejsca oznaczonego karteczką „Ia”, bo do tej klasy została zapisana.

– Dzień dobry – powiedziała do stojącej tam nauczycielki. – Czy pani będzie moją wychowawczynią?

– Dzień dobry! A jak się nazywasz? – Głos kobiety brzmiał ciepło i przyjaźnie. Wydała się dziecku bardzo sympatyczna.

– Bożenka Nowak. Jest pani bardzo miła. Chciałabym, żeby była pani moją nauczycielką.

– I będę. Witaj w szkole, Bożenko. Znasz już koleżanki? – Wskazała na dwie dziewczynki, które stały nieopodal i trzymały się za ręce.

Tych akurat nie kojarzyła, więc pokręciła przecząco głową. Zaraz jednak dostrzegła chłopca, z którym czasem biegała po podwórku, więc do niego podeszła. Chwilę później gonili się już po sali, dopóki wychowawczyni nie przywołała uczniów do porządku, bo uroczystość właśnie się zaczynała.

Gdy stali w szeregu, do klasy podeszła jeszcze jedna dziewczynka. Była przeraźliwie chuda, zgarbiona i patrzyła na nich z lękiem. Czego się bała? Babcia mówiła kiedyś Bożence, że nie wszystkie dzieci są takie otwarte jak ona, że niektóre bywają nieśmiałe. Możliwe, że ta nowa taka właśnie była. Pulchna dziewczynka uśmiechnęła się więc do niej, ale tamta chyba tego nie zauważyła. Stanęła na uboczu z miną, jakby zaraz miała się rozpląkać. Bożenka postanowiła potem do niej podejść i zagadać, tymczasem wraz z innymi śpiewała hymn.

Po uroczystości pani poprowadziła ich do klasy. Dzieci rzuciły się, żeby zająć najlepsze miejsca. Bożenka też pobiegła i zdobyła drugą ławkę od biurka nauczycielki. Ucieszyła się, bo miała widok na całą klasę i jeszcze na boisko, gdyż stół znajdował się pod oknem. Bardzo szybko poczuła burczenie w brzuchu. Jej zdaniem akademia trwała za długo. Na szczęście babcia dała jej cukierki. Dziewczynka wyciągnęła więc jeden z kieszeni i po rozwinięciu papierka wsunęła łakocie do buzi. Krówki to jej ulubione słodczyce.

– Hm, pyszne – mruzczała do siebie, siadając w ławce.

Fajnie jest poczuć się jak prawdziwy uczeń, pomyślała. Po chwili stwierdziła, że krzesło jest niewygodne: twarde i trochę za wąskie. Szybko znalazła rozwiązanie, bo przy ławce stały dwa. Zsunęła je więc i usiadła na obu.

Kiedy każdy znalazł już miejsce, pani rozejrzała się po klasie, jakby sprawdzała, czy wszystko jest w porządku. Nowakówna zorientowała się, że nauczycielka chce kogoś koło niej posadzić. Pomyślała, że będzie jej ciasno. Niechętnie przesunęła się na jedno krzesło. Nagle

spozstrzegła, że podeszła tajemnicza dziewczynka, z którą wcześniej chciała zawrzeć znajomość. Uśmiechnęła się więc do siebie, myśląc, że nie będzie wcale źle dzielić ławkę akurat z nią. Wyciągnęła rękę w kierunku nowej koleżanki i przedstawiła się. Tamta grzecznie odpowiedziała, ściskając jej dłoń, ale szybko ją cofnęła.

Jakaś niedotykalska, pomyślała Bożenka, patrząc, jak Cecylia nerwowo wyciera rękę o spódnicę tak mocno, że bluzka wyszła jej zza paska. Zaraz potem jednak koleżanka perfekcyjnie poprawiła ubranie, rozglądając się w popłochu po klasie, jakby stało się coś bardzo złego.

Bożenka przypomniała sobie o cukierkach. Słodczyce zawsze poprawiały jej humor, więc doszła do wniosku, że mogą być dobrym sposobem na przełamanie lodów. Wyciągnęła dwa i zaproponowała, by nowa poczęstowała się, a gdy ta odmówiła, sama je zjadła. Krówki już trochę się rozpuściły i papierek mocno kleił się do cukierka, więc na wszelki wypadek wylizała też opakowanie, by nie stracić ani odrobiny cudownej słodczy. Przez chwilę nie mogła mówić, bo zakleiła się jej buzia, ale uśmiechała się do nowej koleżanki, żeby tamta wiedziała, że cieszy ją towarzystwo. Cecylia zajęła miejsce na rogu ławki, jakby szykowała się do ucieczki. Dziwna była, ale tym bardziej zaciekawiła Bożenkę.

Gdy padło pytanie o marzenia dzieci, Nowakówna natychmiast podniosła rękę. Wyrwała się wielokrotnie, ale dopiero pod koniec pani pozwoliła jej zabrać głos. Przed nią wypowiadała się Cecylia. Mówiła o balecie. Ten pomysł bardzo jej się spodobał. Raz tylko widziała taneczny popis w telewizji. Te filigranowe dziewczynki w tiulowych spódniczkach zrobiły na niej wielkie wrażenie. Potrafiła wyobrazić sobie nową koleżankę w tej roli. Sama również chciałaby lekko unosić się na palcach, ale zdawała sobie sprawę, że jest za duża. Tam tańczyły same chudziny, jak nazywała je babcia, a Bożenka miała grube kości.

To nic. Przecież jest wiele rzeczy, które mogłabym w życiu robić, pomyślała tuż przed tym, gdy pani dopuściła ją wreszcie do głosu.

– Chciałabym zostać podróżnikiem – rzuciła. – Uwielbiam odkrywać nowe miejsca. A do tego bardzo chciałabym mieć rower, żeby mogła pojechać za miasto. Na nogach to trochę daleko. Wiem, bo czasem robię sobie takie wycieczki.

Nie wiedziała wówczas, że jej marzenie wkrótce się spełni. Pewnego dnia matka przyniosła do domu rowerek. Ktoś go wyrzucił. Całkiem dobry pojazd stał przy śmietniku obok banku, w którym pracowała. Miał dzwonek, lusterko i dziurawą oponę, był odrapany, poza tym łańcuch się zerwał. Kiedy ojciec przyjrzał mu się uważnie, stwierdził, że da się go zreperować.

Karol Nowak był złotą rączką. Od kiedy po wypadku przeszedł na rentę, dużo czasu spędzał w domu i zajmował się drobnymi pracami. Wcześniej zatrudnił się w kopalni. Któregoś dnia wagonik z węglem zmiażdżył mu stopę. W szpitalu zdecydowano o amputacji. Ręce mężczyzna nadal miał sprawne, więc naprawiał różne rzeczy. Sąsiedzi wiedzieli, że jeśli coś się popsuje, mogą zanieść do Nowaka, a on da sobie radę ze wszystkim. Dzięki temu mógł trochę dorobić do rodzinnego budżetu.

– Pomalujemy rower. Nie będzie taki odrapany – powiedział córce po tym, jak zakleił kawałkiem starej dętki dziurę, przez którą uchodziło powietrze, i naprawił łańcuch.

Dziewczynka wzięła więc lakier, który pozostał w piwnicy po malowaniu rur, i wkrótce rama błyszczała na żółto. Potem rozochocona pisakami domalowała kwiatki. Wyszło naprawdę dobrze. Nikt w całym mieście nie miał tak wesołego rowerka jak ona.

Drugiego dnia w szkole Nowakównę spotkała przykra niespodzianka. Wychowawczyni poprosiła ją, żeby przesiadła się do ostatniej ławki, zostawiając Cecylię samą. Pani wprawdzie mówiła, że mogłaby zasłaniać innym dzieciom, ale Bożenka nie słyszała, by któreś się skarżyło. Ponieważ babcia kazała jej słuchać nauczycieli, grzecznie zmieniła miejsce. Do koleżanki

próbowała zagadnąć na przerwie, lecz ta nie chciała z nią rozmawiać. Bożenka zauważyła, że inne dziewczynki z klasy szeptały za jej plecami, czasem też dokuczały, mówiąc nieprzyjemne rzeczy o mamie Cecylii. Nie podobało jej się to. Z córki Nowaków rówieśnicy też czasem śmiali się na podwórku, więc wiedziała, że nie jest to przyjemne. Ona już dawno się nie przejmowała. Babcia jej wyjaśniła, że dzieci często dokuczają, gdy czegoś zazdroszczą, i że poczucie szczęścia zależy od niej, a nie od innych.

Nowa koleżanka była stale smutna. Zawsze stała w kącie, z nikim nie nawiązywała rozmowy. Bożenka wielokrotnie próbowała do niej dotrzeć. Cecylia wydawała się miła i nigdy nie mówiła do niej brzydko, w przeciwieństwie do Renaty i Zuzy, które czasem nazywały ją grubasem, albo Ryśka, który wyśmiał jej rower.

Kiedy Bożenka nudziła się na lekcji, rozmyślała o koleżance. Zapragnęła, żeby Cecylia któregoś dnia po szkole przysłała do niej na podwórko albo żeby wybrała się z nią na wycieczkę rowerową. Kiedy ją o to zapytała na przerwie, koleżanka odpowiedziała, że nie może, bo musi odrobić pracę domową. Innym razem miała lekcje baletu albo francuskiego.

– Mamusiu, znasz panią Krzeczpińską? – zapytała córka któregoś wieczoru, gdy Nowakowa wróciła z pracy.

Dziewczynka leżała już w łóżku, bo było bardzo późno, ale zwykle nie mogła zasnąć, dopóki mama nie wróciła z pracy. Czasem musiała czekać bardzo długo, bo rodzicielka prosto z banku szła do notariusza, gdzie sprzątała biuro, a potem jego dom. Nieraz pojawiała się dopiero w nocy.

– Krzeczpińską? Prezeskę? Ją to wszyscy znają. A cóż cię na nią naszło?

– Bo to mama mojej najlepszej koleżanki.

– Co ty mówisz, dziecko? I niby ona pozwala swojej córce bawić się z tobą? Jakoś nie chce mi się wierzyć. To okropna baba.

– Halinko! – wtrąciła się babcia, która krzątała się jeszcze po domu. – Nie mów jej takich rzeczy.

– Idę zrobić pranie. Mam już dość. Ta cała Krzeczpińska nawrzeszczała dziś na mnie, że hol jest brudny, choć dopiero co go wymyłam. Nie moja wina, że deszcz leje i ludzie błoto wnoszą.

Nowakowa poszła do łazienki, a babcia okryła wnuczkę kołdrą i pocałowała w czoło.

– Śpij już – szepnęła, zgasiła lampkę przy łóżku i po ciemku zbierała porozrzucane części garderoby, by zanieść je do prania.

Bożenka z półprzymkniętymi powiekami zastanawiała się, czy Cecylia nie chce się z nią bawić z powodu śladów błota na podłodze w banku. Nie potrafiła sobie wyobrazić jej matki. To znaczy widziała ją na rozpoczęciu roku szkolnego, ale nie przyjrzała się wystarczająco. Zapamiętała ją jako bardzo elegancką panią. Czyżby mama koleżanki zabraniała jej bawić się z nią? Długo o tym myślała. Przypomniała sobie, że gdy ostatnio rozmawiały, wydawało jej się, że Cecylia naprawdę żałuje, że nie ma czasu. A gdy zaproponowała wspólną wycieczkę, przez moment widziała blask w oku koleżanki, choć równie szybko zgasł i dziewczynka odmówiła. A może tylko tak jej się teraz zdawało?

– Babciu... – wyszeptano, gdy starszuszka stała już w drzwiach i zamierzała opuścić pokój.

– Cecylia to fajna dziewczynka. Myślisz, że naprawdę mama zabrania jej bawić się ze mną?

– Nie wiem, skarbie. To możliwe. Są ludzie, którzy uważają się za lepszych od innych. A ta koleżanka jak cię traktuje?

– Dobrze. Tylko jest nieśmiała i na nic nie ma czasu. No i jest bardzo smutna. W ogóle się nie uśmiecha.

– Może czuje się samotna? Jeśli ciągle tylko albo siedzi w domu, albo ma zajęcia, to

tęskni za koleżankami.

Babcia Dusia zawahała się, nie mogąc zdecydować, czy wyjść, czy też porozmawiać jeszcze z wnuczką mimo późnej pory. Ale Bożenka była rozbudzona. Kobieta wróciła więc do niej i usiadła na skraju łóżka.

– Wiesz, miałam kiedyś taką przyjaciółkę. Żydówkę. Miała na imię Irma. Mieszkała obok nas przy Krzyskiej. W czterdziestym drugim roku Niemcy zaczęli wywozić Żydów do Auschwitz. Wiesz, co było w Auschwitz? Obóz zagłady. Jesteś jeszcze mała i pewnie nie powinnam ci opowiadać takich okropności. W każdym razie to był taki obóz, gdzie mieszkali Żydzi przywożeni z całego kraju. Większość już stamtąd nie wracała.

– A czemu nie chcieli wracać?

– Nie to, że nie chcieli. Umierali tam.

– Dlaczego? – zapytała dziewczynka zdziwiona.

– Po prostu umierali. – Kobieta zamyśliła się na chwilę. – Kiedyś opowiem ci więcej, a na razie tyle wystarczy. Co to ja... A! W każdym razie cała rodzina Irmy została tam wywieziona. Jak się potem okazało, wszyscy oprócz niej. Ale wtedy myślałam, że już nie spotkam mojej drogiej koleżanki. Dopiero kilka lat po wojnie w szpitalu zobaczyłam dziewczynę ładną podobną do dawnej przyjaciółki. Zapytałam, czy to ona. Początkowo nie chciała się przyznać. Twierdziła, że się pomyliłam, ale nie ustępowałam, więc dała za wygraną i opowiedziała prawdę.

– To gdzie ona się podziewała przez tyle lat?

– Otóż w dniu, w którym Niemcy przyszli po jej rodzinę, była poza domem. Zaniósła Kowalikom mleko od krowy, którą hodowali. Ich córka była wtedy chora, bardzo wychudła i nie chciała nic jeść. Podobno tylko to mleko od rodziców Irmy przyjmowała. Moja przyjaciółka lubiła tam chodzić, bo stara Kowalikowa pięknie opowiadała tajemnicze historie. I tak było też tego dnia. Irma się zasiedziała, a wieczorem zastała pusty dom, przewracane meble, rozgardiasz. Z powrotem pobiegła do Kowalików, bo tam czuła się bezpiecznie. Wiadomości szybko się rozchodziły, więc już do nich dotarła wieść o wywozie Żydów do obozu. Zaprzyjaźnieni Polacy postanowili ukrywać dziewczynkę do końca wojny. Nawet jeszcze kilka lat później rzadko wychodziła z domu. Irma była przedstawiana jako Kasia, młodsza siostra Zosi, tej chorowitej. W sumie nawet były podobne. Nosiły takie same kokardy i szyte przez Kowalickową ubrania.

– Co było dalej? – Bożenka podniosła się na łokciach, by być bliżej babci.

– Trzy lata po wojnie Zosia wyszła za męża i do domu męża przeniosła się razem z siostrą. Podobno dwukrotnie rodziła dzieci, które były tak słabe, że umierały kilka dni po narodzinach. Dopiero w pięćdziesiątym drugim powiła zdrową córeczkę. Wtedy właśnie spotkałam Irnę w szpitalu. Przyszła do Zosi, wierna jej przez cały czas.

– Dlaczego nie skontaktowała się z tobą wcześniej?

– Bo powiedziano jej, że jeśli chce przeżyć, to musi całkowicie zerwać z dotychczasowym życiem. To były trudne czasy dla Żydów. W Chrzanowie zamieszkiwało coraz więcej Niemców. Gdyby okazało się, że ktoś ukrywa Żyda, rozstrzelano by całą rodzinę. Całe szczęście, że ona się uchowała. No ale tego przez lata nie wiedziałam.

Przez ciało Bożenki przeszedł dreszcz. To, co opowiedziała jej babcia, było przerażające. Jakie okropne czasy! – myślała. Przypomniała sobie film o wojnie, który kiedyś oglądała w telewizji. Żli strzelali do dobrych. Nie pamiętała, czy to byli Niemcy, czy ktoś inny.

– Wojna to okropna sprawa – podsumowała. – Nie chciałabym, żeby kiedyś znowu wybuchała.

– Daj, Panie Boże... – Babcia wstała, ale wnuczka pociągnęła ją za rękę. – Puść mnie. Późno jest.

– Jeszcze chwilę, babciu, proszę. Opowiedz mi więcej o Irmie. Jaka była? I czy potem dalej się przyjaźniłyście? Obiecuję, że zaraz zasnę.

– No dobrze, ale tylko chwilę. Kasia, czyli Irma, wolała nie utrzymywać ze mną kontaktu, niż zaszkodzić nowej rodzinie. Pewnie powiedzieli jej, co mogło spotkać rodziców, bo była bardzo przerażona. Ale pisała przez ten czas pamiętnik. Potem go u mnie zostawiła. Tam były wpisy niemal z każdego dnia. Najpierw pojedyncze zdania, potem całe zapisane kartki. Właściwie to nie pamiętnik, tylko listy do mnie.

– Masz je?

– Niestety nie. Zagięły gdzieś przy przeprowadzce. Szukałam ich wszędzie, ale przepadły jak kamień w wodę. Z nich dowiedziałam się dużo na temat jej życia u Kowalików. Długie siedzenie w domu sprawiło, że zaczęła lękać się ludzi. Bała się otaczającego ją świata. Jediną osobą, z którą rozmawiała, była Zosia. To dla niej zrobiła wyjątek i wyszła z domu, gdy ta urodziła córeczkę. Potem opiekowała się małą i chodziła z nią na spacer. Kochała to dziecko jak własne.

– Czy dalej się z nią spotykasz, babciu?

– Nie. Wtedy w szpitalu powiedziała, żebym na razie jej nie odwiedzała, że mnie znajdzie. Nie rozumiałam, dlaczego nie możemy się widywać, ale uspokoiła mnie, że wszystko wyjaśni. Ze trzy lata później spotkałam ją na spacerze z dzieckiem. Byłam wtedy z twoją mamusią. Porozmawiałam z Irmą i doszliśmy do wniosku, że czasy się zmieniły i dzieci mogą się bawić razem. Zaprosiła mnie do domu przyszywanej siostry. Przyszłam któregoś dnia z Halinką, ale zastałam tylko męża Zosi. Powiedziałam mu, że ja do Irmy, bo się umówiliśmy. Wypytał, o jaką Irmę chodzi, więc wyjaśniłam, że o tę, która udaje siostrę Zosi, a tak naprawdę jest pochodzenia żydowskiego. Nie wiem, dlaczego powiedziałam to wszystko. Ten mężczyzna był miły i wyciągał ze mnie informacje. Potem się okazało, że on nic nie wiedział o losach mojej przyjaciółki i wyniknęła z tego ogromna awantura. Wyrzucił ją z domu.

Przyszła do mnie ze swoimi rzeczami i mieszkała tu przez kilka dni. Niespodziewanie dotarła do niej wiadomość, że być może jej rodzina żyje, bo za granicą widziano jej starszego brata. Pojechała do Belgii. Tam go nie odnalazła. Ślad prowadził do Mediolanu. W poszukiwaniach pomagał jej Włoch. Jakiś Francesco albo Frederico. Zakochała się w nim i postanowiła tam zostać. Pisała do mnie listy, ale z czasem zaczęły przychodzić coraz rzadziej. W końcu przestały. Nigdy nie poznałam nazwiska Zosi po mężu, więc nie wiem, jak się nazywała. Spotykałam ją w mieście. Któregoś dnia powiedziała mi, że Kasia nie żyje, że utopiła się w morzu. To było w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym. Dobrze zapamiętałam tę datę. Kilka lat później zmarła też Zosia.

– Tęskniłaś za nią przez te lata?

– Oczywiście. Los nas okrutnie rozdzielił. Choć byliśmy dziećmi, wiedzieliśmy, co to przyjaźń. Czasem tak jest, że drugi człowiek, pozornie całkiem różny od ciebie, może być ci bliższy niż rodzony brat. Kochałam ją całym sercem i nadal kocham. Wiem, że gdzieś tam jest we wszechświecie i wspiera mnie, gdy nie daję rady. A teraz śpij, bo rano będziesz miała kłopot ze wstaniem.

– Dobranoc, babciu.

– Dobranoc, kochana. Idę pomóc mamie. – Ucałowała wnuczkę i wyszła cichutko z pokoju.

W drugim pomieszczeniu spało już czworo rodzeństwa Bożenki, w kolejnym rodzice z najmłodszym, a w tym najmniejszym tylko babcia z wnuczką. Starsza kobieta chodziła bardzo późno spać, gdy dziewczynka już dawno śniła swoje przygody. Pierwszoklasistka tej nocy jednak nie mogła zasnąć. Myślała o Irmie i o Cecylii.

Rozdział 5

Dni mijały, a siedmiolatka wciąż nie mogła zaadaptować się w szkole. Większość dzieci trzymała się od niej z daleka. Czasem słyszała, jak któraś z matek koleżanek mówiła o Krzeczkińskiej „paniusia”. Doszła do wniosku, że jej mama jest nielubiana. Nauczycielka natomiast zawsze zwracała się do niej uprzejmie i wiele razy dopytywała, czy czegoś nie potrzebuje albo czy chciałaby coś szczególnego zrobić. Te pytania początkowo bardzo jej odpowiadały, bo czuła się wyróżniona, ale kiedy Dorotka wykrzyczała na gimnastyce, że nauczycielka boi się Krzeczkińskiej i dlatego nadskakuje jej córce, Cecylii przestało zależeć na atencji nauczycielki. Coraz częściej zadawała sobie pytanie, dlaczego nikt nie chce poznać, jaka jest, tylko do wszystkiego miesza jej mamę.

Zazdrościła koleżankom, kiedy umawiały się na podwórko po szkole. Grały w gumę, bawiły się w chowanego. Czasem obserwowała je z okna, kiedy biegały po rynku. Matka nie zgadzała się, żeby Cecylia wyszła na zewnątrz, bo wciąż było coś do zrobienia. A to nauka, a to gra na fortepianie, a to sprzątanie pokoju, w którym i tak wszystko lśniło.

W drugim miesiącu nauki dziewczynka wylała herbatę na zeszyt.

– Coś ty najlepszego narobiła?! – krzyknęła rodzicielka. – Przepisuj całość!

– Ale...

– Żadne ale! Wyobrażasz sobie, że pokażesz w szkole ten brudnopis?! Moja córka nie będzie miała żadnych plam w zeszytach! Natychmiast przepisz! Nie ma tego wcale tak dużo. Ot, kilkanaście kartek ze szlaczkami.

Po przerysowaniu kilku stron matka pozwoliła jej zrobić przerwę. Dziewczynkę bolały palce i nadgarstek. Ręka nie była jeszcze przygotowana do długiej pracy. Choć Cecylia bardzo lubiła kreślić zadawane wzory, to na jeden raz było tego za dużo. Bardzo się starała, żeby dociągnąć każdy kształt do linii, w obawie, że mama mogłaby się na nią rozgniewać. Późnym wieczorem, pomimo ogarniającej ją senności, dokończyła przepisywanie.

Na drugi dzień nauczycielka zbierała zeszyty do oceny. Cecylia w duchu się ucieszyła, że matka kazała jej wszystko przepisać, bo wkrótce okazało się, że jako jedyna w klasie dostała szóstkę w serduszku za najstaranniejszą pracę. Rodzice byli bardzo zadowoleni, a ona szczęśliwa, widząc uśmiechy na ich twarzach. Po południu poszli razem na spacer, co nie zdarzało się często. Cecylia założyła na tę okazję najładniejszą sukienkę, jesienny płaszczyk i białe rajstopy, tak jak chodziła ubrana do kościoła. Ten spacer był dla niej świętem, dlatego chciała być elegancka.

Ruszyli wzdłuż ulicy Mickiewicza, gdzie na skrzyżowaniu z Woynarowskiej znajdowała się szkoła. Tuż obok stał kościół Świętego Mikołaja, bardzo piękny w środku i na zewnątrz, a jednak budzący obawy Cecylii, od kiedy usłyszała, że w podziemiach budowli znajdują się krypty z prochami dawnych właścicieli miasta i innych wybitnych mieszkańców. Choć ojciec tłumaczył jej, że nie ma się czego bać, wołała nie wchodzić do świątyni sama. Miała bogatą wyobraźnię, która czasem tworzyła w jej głowie przerażające obrazy. Obok kościoła stała dzwonnica wzniesiona już w szesnastym wieku. Kilka dni wcześniej wraz z klasą uczestniczyli w uroczystości wmurowania tablicy pamiątkowej na fasadzie dzwonnicy upamiętniającej chrzanowian walczących o wolną i niepodległą Polskę. Zosia, koleżanka z klasy, mówiła dzieciom, że ta płyta jest również ku czci jej dziadka.

Kawałek dalej, przy alei Henryka – najpiękniejszej według wielu ulicy Chrzanowa – spotkali Bożenkę stojącą ze starszą kobietą podpierającą się laską. Cecylia pomyślała, że to pewnie babcia albo prababcia koleżanki, bo pomimo sporej różnicy wieku miały ze sobą wiele wspólnego: rysy twarzy i posturę. Była pewna, że są rodziną.

Krzeczkińscy odклонili się grzecznie w odpowiedzi na „dzień dobry” koleżanki, jednak nie zwolnili kroku i choć Cecylia miała ochotę przystanąć, nie udało się jej to, bo oboje trzymali

ją za rękę. Ten układ, który przed chwilą wydawał się wyrazem bliskości z rodzicami, okazał się kajdanami, które ciągnęły ją za nimi niczym maszyna. Uśmiechnęła się smutno do Bożenki, a ta w geście sympatii pomachała jej ręką. Tej dziewczynce trudno było zepsuć humor. Zawsze była taka radosna! Także teraz podskakiwała wokół staruszki, jakby spokojne stanie było ponad jej możliwości. Wszystko wokół ją interesowało, wszystkiego musiała dotknąć.

– Mamo? – zagadnęła Cecylia zniechęta. – Czy mogłabym kiedyś zaprosić Bożenkę do domu?

– A po co?

– Żeby się pobawić.

– Widzicie się w szkole. To wystarczy. Zresztą nie sędzę, żeby ta dziewczynka potrafiła grać w twoje gry.

– Możemy przecież bawić się lalkami. Zgódź się, mamusiu, proszę!

– Zastanowię się. Muszę to przemyśleć. Wolałabym, żebyś wybrała sobie inną koleżankę.

– Nie mam innej. Nikt prócz Bożenki nie zwraca na mnie uwagi.

– Może jesteś dla nich niemiła? Za mało się starasz? To niemożliwe, żeby mojej córki nikt nie lubił. Musiałaś jakoś im podpaść.

– Staram się...

– Widocznie za mało. Możesz przyprowadzić któregoś dnia inną koleżankę. Tylko uzgodnij ze mną kogo i kiedy.

Dziewczynka spuściła głowę ze smutkiem. Wiedziała, że nie ugości nikogo. Podejmowała wiele prób rozmów z dziewczynkami z klasy, ale one jej nie lubiły. Nie potrafiła, jak inne uczennice, szeptać podczas przerw, chwalić się różnymi gadżetami, które przynosiły do szkoły. Nie mogła umówić się z nimi na rower czy na ciastka. Czasem, gdy któraś miała dobry humor, podchodziła do niej i zagadywała, ale Cecylia nigdy nie była pewna, czy rozmówczyni mówi poważnie, czy drwi sobie z niej. Stała więc jak słup soli i patrzyła na koleżanki, próbując odgadnąć intencje. Wtedy zazwyczaj wokół rozlegał się chichot pozostałych dziewczynek.

– Mówiłam wam, że ona jest jakaś inna! – Inicjatorka rozmowy wracała do swojej grupy, a Cecylia spuszczała tylko głowę, nie próbując nawet ratować swojej sytuacji.

– Nie przejmuj się nimi. To flądry – szepnęła jej Bożenka prosto do ucha i nim Krzepczyńska zdążyła zareagować, już jej nie było.

Nowakówna biegła po korytarzu, udając, że łapie motyla. Cecylia wróciła więc do klasy i usiadła w ławce. Za chwilę i tak miał rozbrzmieć dzwonek na lekcję. Nim nauczycielka zamknęła drzwi, mała Krzepczyńska usłyszała świst przelatującej kulki z papieru. Choć przesyłka spadła na podłogę tuż obok ławki, Cecylia nie miała odwagi jej podnieść. Patrzyła na papierowy pocisk, jakby miał wybuchnąć.

– Czy coś się stało? – zapytała pani.

– Neeee. Nic. – Uczennica poderwała się z krzeselka, by zaraz na nie ponownie opaść.

Cóż miała powiedzieć? W końcu nie działo się nic poza tym, że czuła się w klasie obco. Samotnie.

– W takim razie rozpoczynamy lekcję.

Doszli do muzeum imienia Ireny i Mieczysława Mazarakich usytuowanego w starym dworcu na obrzeżach parku miejskiego. Cecylia była tam już kiedyś z tatą na wystawie o pradziejach ziemi chrzanowskiej, która wywarła na niej duże wrażenie. Utkwiło jej w głowie wspomnienie szkieletu i czaszek, które znajdowały się w gablotach. Przez kilka kolejnych nocy śniły jej się koszmary, z których budziła się z krzykiem.

W parku dziewczynka puściła ręce rodziców i pobiegła przed siebie. Jesienne słońce chyliło się już ku zachodowi, ale powietrze wciąż było jeszcze przyjemnie ciepłe. Żółto-brązowe

liście szeleściły pod stopami, a ona celowo podbijała je w górę.

– Cecyljo! – Głos matki przywołał ją do porządku, więc zrezygnowała z tej spontanicznej zabawy. – Tumany kurzu osiadają na sukience i płaszczu, nie mówiąc już o rajstopach...

Rzeczywiście, na białym materiale pojawiły się szare smugi. Nie pomyślała o tym. Strój, który założyła, nadawał się na przyjęcie albo do kościoła, ale nie do parku. Skoro jednak go wybrała, nie mógł popsuć jej przyjemności wspólnego spaceru. Wróciła na alejkę i razem z rodzicami niespiesznie przemierzała park. Rozmawiali o szkole i o dodatkowej pracy plastycznej, do której się zgłosiła. Temat, który wybrała, dotyczył jej miasta. Miała pokazać to, co według niej jest w nim najpiękniejsze.

– Początkowo chciałam narysować rynek z naszego okna albo budynku przy alei Henryka, ale teraz przyszło mi do głowy, by namalować park. Tak ślicznie wygląda o tej porze roku!

Rzeczywiście drzewa nie pogubiły jeszcze całkiem liści, więc mieniły się wieloma barwami: od zieleni przez pomarańcz i różne odcienie żółci po brąz. Mosiężne ławeczki, kosze na śmieci i latarnie dopełniały obrazu. Szkoda tylko, że fontanna znów była nieczynna. Dziewczynka podniosła kilka liści, by ozdobić nimi swoją pracę. Nie była pewna, czy mama zaakceptuje ten pomysł. Chciała pokazać jej obrazek dopiero wtedy, gdy go ukończy.

W parku nie byli sami. Wiele osób postanowiło skorzystać z ostatnich pięknych dni w tym roku. Usiedli na jednej z ławeczek i przyglądali się przechodniom. W pewnej chwili nadbiegł chłopiec z małym kundelkiem na sznurku. Widać było, że piesek jest młody, bo radośnie skakał wokół swojego towarzysza, a gdy ten przestawał zwracać na psa uwagę, delikatnie szarpał dziecko za nogawkę. Chłopiec spuścił zwierzę ze smyczy i rzucił przed siebie patyk. Pies aportował, machając ogonem.

– Też chciałabym mieć pieska – powiedziała dziewczynka z westchnieniem.

– To nie jest dobry pomysł. Trzeba go wyprowadzać, karmić, pilnować. Poza tym niszczy w domu rzeczy. – Tym razem odpowiedział jej tata.

– Ja się nim będę zajmować! Proszę!

– Nie ma mowy! – Kategoryczny ton matki uciął rozmowę.

Zamilkła, bo wiedziała, co to oznacza. Matka zawsze realizowała tylko to, co sama wymyśliła. Niestety nie przepadała za zwierzętami. Cecylia powinna była wiedzieć, że temat posiadania psa z góry skazany był na niepowodzenie. Gdyby mogła mieć pupila, zyskałaby przyjaciela. Gdy o tym pomyślała, poczuła, że łzy cisną jej się do oczu. Postanowiła, że kiedyś, gdy będzie dorosła, kupi sobie psa. A jeszcze lepiej: weźmie go ze schroniska. I kota też. Ta myśl sprawiła, że poczuła się lepiej. Coś sobie obiecała. Coś, co zrobi wbrew matce. Tyle że na dorosłość musiała jeszcze długo poczekać.

Jednym z problemów Cecylii w szkole była gimnastyka. Nie radziła sobie. Szybko męczył ją wysiłek i mimo że chodziła na zajęcia baletu, jej ciało, zamiast nabierać gibkości, sztywniało. Dziewczynka potykała się o swoje nogi i nie wierzyła już w to, że może osiągnąć sportowy sukces. Nie zależałoby jej na tym, gdyby nie karzące spojrzenia matki. Tak bardzo chciała sprostać jej wymaganiom! Tymczasem często ją poprawiano, krytykowano za niedbałą postawę czy mylenie pozycji.

Historia z baletem zaczęła się, gdy Cecylia miała cztery lata. Pierwsze zajęcia odbywały się w miejskim domu kultury, jednak nie spełniały oczekiwań Wandy. W gruncie rzeczy były gimnastyką dla najmłodszych dziewczynek, które dopiero uczyły się koordynacji ruchów. Krzeczynska chciała czegoś więcej. Oczekiwała, że nauczycielka tańca szybko odkryje u jej córki wybitny talent. Ta jednak traktowała ją na równi z pozostałymi piętnastoma dziewczynkami – ani lepiej, ani gorzej. Cecylii od początku brakowało lekkości. Choć była szczuplutka, na scenie zdawała się ważyć tonę. Miała problem z oderwaniem się od ziemi

i z koordynacją.

– Ogarnij się, dziecko. Skup uwagę na tym, co robisz. – Wielokrotnie słyszała od matki, która marzyła, że jej córka odniesie estradowy sukces. – Twoje ruchy muszą być eteryczne. Słyszysz? E-te-rycz-ne!

Cecylia robiła więc, co w jej mocy, by osiągnąć zakładany efekt, choć Wanda nigdy nie wyjaśniła jej, co kryje się pod tym dziwnym słowem. Krzeczynska, która zapewniała córce wszystko, łącznie ze stymulacją muzyczną od pierwszych dni życia, frustrowała się, widząc kolejne nieudane próby. Nie była jednak osobą, która szybko się poddaje.

– Zrobię z ciebie baletnicę, ooo, jeszcze zrobię! – krzyczała nieraz, a córka w milczeniu ćwiczyła dalej.

Skoro matka tak nalegała, musiało to być ważne. Dziewczynka zaciskała więc zęby, czasem przygryzając wargę do krwi, byle tylko nie usłyszeć znowu, że zawiodła troskliwą rodzicielkę.

Z wyprzedzeniem zaplanowano występ w sali teatralnej domu kultury, do którego Cecylia przygotowywała się przez kilka miesięcy. Było to wydarzenie wyczekiwane przez wielu rodziców, a dzieci mocno je przeżywały. Od kilku dni dziewczynka czuła się niewyraźnie, jakby łąpało ją przeziębienie, ale nie przyznawała się do tego rodzicom. Obawiała się gniewu matki. Tyle przygotowań i wysiłku nie mogło pójść na marne. Krzeczynska uczestniczyła niemal w każdej próbie i widziała postępy. Mozolne, ale jednak. Córka opanowała w końcu cały układ i najczęściej udawało jej się wykonać rytmicznie wszystkie figury. Co innego jednak przyglądać się próbie, a co innego siedzieć na widowni wśród innych rodziców i zaproszonych gości. Jej mała córeczka, w którą tak bardzo wierzyła, bała się, że mimo dobrego przygotowania, zawiedzie.

Dzieci zebrały się w szatni, gdzie kilka mam pomagało im się czesać i ubierać. Cecylia włożyła baletki i stanęła na nich dla sprawdzenia, czy sznurki są odpowiednio zawiązane. Niespodziewanie straciła równowagę. Zachwiała się i w ostatniej chwili przytrzymała ściany, by nie upaść.

– Co się dzieje, Cecylko? – Pani Dagmara zauważyła, że dziecko nie czuje się najlepiej.

– Zawirowało mi w głowie.

– Jadłaś coś dzisiaj?

– Tak. Jadłam.

– Napij się wody. To pewnie trema. Jak myślisz?

– Już czuję się dobrze.

W rzeczywistości nic od rana nie zjadła. Schowała kanapki, które przygotowano jej na śniadanie, a potem wyrzuciła je do kosza. Nie czuła głodu. Słyszała przecież tyle razy, że baletnice nie powinny dużo jeść, bo robią się wtedy ciężkie i niezdarne.

Może jestem za ciężka, dlatego coraz gorzej mi idzie? – myślała.

Trenerka dała znak, że za chwilę wychodzą na scenę. Cecylia postanowiła wziąć się w garść. Na widowni była jej matka z koleżankami z banku. Krzeczynska była tak dumna, że jej córka będzie występować, że nagłośniła wydarzenie w miejscu pracy. Nic dziwnego, że dziewczynka chciała dać z siebie wszystko, żeby wypaść możliwie jak najlepiej.

Dzieci wybiegły na scenę całą grupą, ustawiając się na swoich pozycjach. Układ nie był skomplikowany, ale dla Cecylii i tak wszystko działo się za szybko. Choć do tej samej muzyki ćwiczyły wielokrotnie na próbach, teraz dziewczynka goniła tyły. Wciąż jako jedna z ostatnich wykonywała figury. Żeby nadażyć, przestała zwracać uwagę na precyzję ruchów. Niepewnie spojrziała w kierunku widowni, szukając wzrokiem matki, lecz nie widziała jej. Tłum zlewał się w jedną masę. Miała wrażenie, że coś dzieje się z jej wzrokiem. Obraz się zamazywał. Nagle

przezeń wokół zaczęła Cecylię osaczać, jakby przybliżać się do niej. Gdy na moment część baletnic zesła ze sceny, dziewczynka usiadła na ławeczce i spuściła głowę między nogi, żeby nie zemdleć.

– Cecylio, źle się czujesz? – Pani Dagmara znów była przy niej.

Dziecko podniosło na nią wzrok. Nauczycielka przeraziła się tym, co zobaczyła na twarzy dziewczynki.

– Jesteś zielona. Zaraz mi tu zemdlejesz! Połóż się na ławce. Dziewczynki – zwróciła się do pozostałych baletnic – ponownie wchodzimy na scenę. No, już, już!

Cecylia nie poszła razem z nimi. Na szczęście nie miała solowego występu, więc mogli sobie bez niej poradzić. Opiekunka wróciła do szatni i delikatnie gładziła ją po głowie.

– Powiedz, skarbie, co się dzieje?

– Nie chcę tańczyć.

– Boisz się występu? Już dziś nie będziesz wychodzić.

– Nie, ja nie chcę w ogóle.

– To nie tańcz.

– Ale mama...

– Cecylio, spójrz na mnie...

Dziewczynka podniosła wzrok na nauczycielkę. Kobieta wyglądała na przejętą. Mówiła przekonująco:

– Twoja mama bardzo chciałaby, żebyś była znakomitą baletnicą, ale nigdy nie osiągniesz zawodowego poziomu, jeśli sama tego nie zapragniesz. Od dłuższego czasu obserwuję, jak bardzo się starasz, jak pracujesz za dwóch, a jednocześnie widzę udrękę na twojej twarzy. Czasem tak jest, że nawet jeśli pracuje się dużo, ale tu – dotknęła dłonią miejsca, gdzie biło jej serce – tu tego nie ma, to nic nie wyjdzie. Musisz naprawdę chcieć. I nigdy nie rób takich rzeczy dla kogoś. Poświęć się tylko dla siebie.

– Hm...

Podskoczyły obie na dźwięk, który doszedł od strony drzwi do szatni. Z przerażeniem zobaczyły tam Krzepczyńską. Cecylia skuliła się w sobie w obawie przed jej reakcją. Gdy matka odezwała się, powiało chłodem.

– Przebieraj się! – powiedziała do córki, a następnie zwróciła się do pani Dagmary: – Tymczasem chciałabym prosić panią na słówko.

Gestem ręki pokazała, by odeszły na bezpieczną odległość, gdzie dziecko nie będzie słyszało rozmowy. Wyszły do sąsiedniego pomieszczenia. Występ się skończył, więc baletnice zaczęły wracać do przebieralni. Pełne entuzjazmu opowiadały, jak długo widownia była im brawa za ten wspaniały występ. Cecylia szybko naciągnęła spodnie na rajstopy i założyła buty. Nie zdjęła nawet body, zsunęła tylko spódniczkę. Włożyła sweter i kurtkę. Delikatnie otworzyła drzwi, czego nie zauważyły stojące po drugiej stronie kobiety. Były zbyt zajęte rozmową, by ją dostrzec. Pani Dagmara próbowała tłumaczyć coś Krzepczyńskiej ściszym głosem, jednak bezskutecznie, gdyż matka Cecylii wciąż jej przerywała. Zauważyła wreszcie córkę, podeszła do niej i chwyciła za rękę.

– Idziemy! Nie będziesz chodzić więcej na balet. Tu i tak cię niczego nie nauczyli. A pani powinna liczyć się ze słowami. – Ostatnie zdanie rzuciła w kierunku zszokowanej nauczycielki.

Wyszły pospiesznie. Cecylia myślała, że zaraz eksploduje z nadmiaru emocji. Z jednej strony czuła radość, że nie będzie więcej chodzić na zajęcia, z drugiej – przerażenie, co też czeka ją w domu. Matka była bardzo zdenerwowana. Nie można było spodziewać się niczego przyjemnego.

Wkrótce potem stało się jasne, skąd jej oburzenie. Wyjaśniła córce, że nauczycielka nie

ma prawa buntować dziecka przeciwko matce, po czym dodała:

– Cały ten występ był po prostu amatorski. Wszystkie dzieci tańczyły pokracznie, a ta niby-baletnica nie umiała was niczego sensownego nauczyć. Zamiast wziąć się do porządnej pracy, mówiła, że sobie nie radzisz. Ty, nie ona!

Dziewczynka nie rozumiała, o co chodzi. Sama nie widziała występu, ale koleżanki były zadowolone i mówiły, że widowia długo biła im brawa. Pani też je chwaliła. Nie pamiętała, by trenerka mówiła jej kiedykolwiek, że sobie nie radzi. Inaczej ją rozumiała. Cecylii zdawało się, że jest jeszcze mała i potrzebuje czasu, by się wszystkiego nauczyć, ale po tym, co mówiła matka, zaczęła w to wątpić.

Kiedy tylko Krzepczyńska wypuściła ją ze swoich kleszczy, bo tak Cecylia odbierała mocny uścisk dłoni na nadgarstku, i pozwoliła oddalić się do swojego pokoju, dziewczynka padła na łóżko i przykryła się kołdrą. Tuliła do siebie pluszową małą, by dodała jej choć odrobinę otuchy. W domu kultury po raz pierwszy doznała silnego uczucia, którego nie potrafiła nazwać. Kręciło jej się w głowie, ściany przybliżały się do niej, ludzie przypominali rój pszczół, jaki kiedyś widziała w telewizji. Szumieli i nie dało się rozróżnić pojedynczych osób. Czuła też ucisk w gardle, nie mogła przełknąć śliny. Na wspomnienie tego, co działo się z nią na scenie, łzy napływały jej do oczu.

Jestem jakaś dziwna – myślała – dlatego nikt mnie nie lubi. A może umieram? – zastanawiała się i mocniej tuliła do siebie małą. – Co powie mama, gdy umrę? Czy będzie za mną tęsknić?

Długo przeżywała wydarzenia tego dnia, analizując, co właściwie się zdarzyło. Tak bardzo chciała z kimś o tym porozmawiać, ale była samotna jak palec. Nie miała żadnej przyjaciółki. Z matką nie mogła dyskutować z oczywistych względów, a ojciec... Cóż ojciec? Tylko patrzył na nią smutno i uciekał do pracy. Zawsze kiedy zbierała się na odwagę, by podzielić się z nim troskami, znajdował jakiś pretekst, by przesunąć rozmowę na inny czas. Ostatecznie nigdy do niej nie dochodziło.

Tego dnia matka się więcej nie odezwała. Dziewczynka sama zrobiła sobie kolację, umyła się i grzecznie poszła spać, życząc mamie dobrej nocy. Ta jednak nie odwróciła nawet głowy, zajęta przeglądaniem jakichś papierów. Nie mogąc zasnąć, Cecylia sięgnęła do szuflady po plastelinę. Praca manualna dawała jej ukojenie. Koncentracja na szczegółach pozwalała odbiec myślom od bolesnych tematów. Siedmiolatka często nie planowała tego, co ulepi. Spod jej rąk wychodziły rozmaite figurki, które potem chowała do pudełka po butach i wsuwała pod łóżko. Nikt nie widział tych prac, a kiedy materiał kończył się i prosiła mamę o nową paczkę plasteliny, kłamała, tłumacząc, że tyle zużywają w szkole.

Następnego dnia Krzepczyńska wciąż traktowała córkę z chłodną rezerwą. Gniewała się na nią. Dziewczynka zachodziła w głowę, dlaczego matka ma pretensje, aż w końcu wytłumaczyła sobie, że po raz kolejny ją zawiodła.

Była sobota – dzień, który mogli spędzić rodzinnie, tymczasem w domu czuć było wszechobecny chłód. Cecylia starała się nie wchodzić matce w drogę, więc większość czasu spędzała w swoim pokoju. Nienaturalna cisza jednak bardzo ją uwierała. W końcu zebrała w sobie odwagę i stanęła w progu kuchni, gdzie matka przygotowywała obiad.

– Mamusiu...

Wanda milczała, nieprzerwanie mieszając w garnku.

– Słyszysz mnie, mamusiu? Przepraszam, że się na mnie pogniewałaś. Nie chciałam cię rozzłościć.

Matka nie spojrzała na córkę, jedynie przestała zajmować się zupą. Cecylia przestępowała z nogi na nogę, nie wiedząc, czy ma wyjść, czy zostać. Patrzyła niepewnie na rodzicielkę.

– Gniewasz się na mnie jeszcze? – zapytała ledwie słyszalnym głosem. Nerwowo skubała rąbek bluzki, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. – Wczoraj...

– Ty lepiej już nic nie mów. Opowiadasz obcym ludziom nie wiadomo co, a potem ja muszę się wstydzić. – Wanda wreszcie się odezwała. Odeszła od kuchenki, wytarła dłonie w ściereczkę wiszącą na haku niedaleko drzwi i wymijając córkę, wyszła z kuchni. Na odchodne dodała: – Za dziesięć minut obiad.

Cecylia poczuła, jak w gardle rośnie jej jakiś guz. Pęcznieje i blokuje oddech. Nie była w stanie ani odezwać się, ani nawet zaczerpnąć powietrza. W głowie zaczynało wirować. Oparła się o ścianę, by się nie przewrócić. Zawiodła na całej linii. Zrobiła coś tak okropnego, że nawet własna matka nie chce jej wybaczyć. Chwyciła się za gardło, jakby chciała usunąć to, co ją blokuje, ale nic tam nie było. Ostatkiem sił podeszła do zlewu. Odkręciła kran i nalała wody do szklanki. Wypiła duszkiem. Poczowała, że siły wracają. Ucisk w gardle nieznacznie zelżał. Nie chciała dalej postępować wbrew woli matki, musiała więc opanować się i za chwilę zasiąść przy stole do obiadu.

Rozdział 6

Cecylia coraz częściej chorowała: a to na anginę, a to na grypę czy zapalenie oskrzeli. Często miewała gorączkę, duszący kaszel i była osłabiona. Lekarz zwolnił ją całkowicie z zajęć gimnastycznych, a na lekcje chodziła w kratkę. Kiedy tylko czuła się gorzej, brała do domu wszystkie książki i przerabiała kilka lekcji naprzód, żeby nie mieć zaległości. Na szczęście był koniec roku szkolnego, nie musiała więc martwić się o promocję do drugiej klasy. Z ulgą przyjmowała to, że przez najbliższe miesiące nie będzie musiała chodzić do szkoły.

Krzepczyńscy zdecydowali się wyjechać na wakacje nad morze, żeby Cecylia nabrała odporności, ale przez całe dwa tygodnie urlopu było pochmurno i nieprzyjemnie wiało. Mimo niepogody rodzice wyciągali ją z pensjonatu, by spacerowała po plaży. Polubiłaby to, gdyby nie podmuchy, momentami aż zwalające z nóg. Gdy dzień robił się cieplejszy, wielu wczasowiczów wchodziło do morza, ale dla niej woda była za zimna. Poza tym przerażał ją ogrom toni i złowieszczy chlupot fal rozbijających się o drewnianą konstrukcję mola.

Wanda też nie była w formie. W ostatnim czasie schudła, zrobiła się blada i od czasu do czasu łykała tabletki przeciwbólne. Starła się robić to po kryjomu, ale Cecylii udało się kilka razy ją na tym przyłapać. Któregoś dnia córka zapytała:

– Jesteś chora, mamusiu?

– Nie. To witaminy, żeby mieć zdrowe włosy. Widzisz, jak mi od tego wiatru poszarzały?

– Czy ja też mogę je łykać?

– Nie, córeczko. To preparaty dla dorosłych. Zresztą twoje włosy nadal pięknie się błyszczą.

Po tych witaminach przez jakiś czas Wanda się uśmiechała. Przychodziła do małej, by się z nią pobawić, była spokojniejsza i – co Cecylia zauważyła z zaskoczeniem – inni ludzie tak bardzo jej nie denerwowali. Kiedy jednak leki przestawały działać, znów wszystko ją złościło, czasem nawet bardziej niż zwykle. Atmosfera bywała wtedy nerwowa. Zamiast odpoczywać, wszyscy chodzili spięci. Cecylia starała się być grzeczna, nie sprawiać przykrości matce, ale zawsze zdarzało się coś, czego potem żałowała. Matka i tak częściej niż zwykle przymykała oko na jej wybryki, jak nazywała te rzadkie chwile niesubordynacji dziecka.

Po wakacjach wrócili do swoich obowiązków. Cecylia do szkoły, a Marian i Wanda do pracy. Jednak Krzepczyńska nie spędzała w banku już tyle czasu co wcześniej. Szybciej wracała do domu. Początkowo córka cieszyła się, że nie musi siedzieć sama jak palec. Miała nadzieję, że matka poświęci jej trochę czasu. Ta jednak nie chciała z nią ani rozmawiać, ani się bawić. Często mówiła, że jest zmęczona i potrzebuje spokoju. Ojciec natomiast zniknął na całe dnie, a córce

tłumaczono, że musi zarabiać na rodzinę, by mogła mieć wszystko, czego potrzebuje. Szkoda, że czułości i przyjaźni nie dało się kupić. Cecylia coraz wyraźniej zdawała sobie z tego sprawę.

Dziewczynka opuściła się w nauce, bo nadal często chorowała. Nie były to poważne infekcje, ale wciąż albo bolał ją brzuch i wymiotowała, albo mdlała. W takie dni matka pozwalała jej zostawać w domu. Zdaniem Wandy w szkole i tak niczego dobrego jej nie uczyli. Niestety nie dało się przeskoczyć kwestii obowiązku szkolnego, więc by uzyskać klasyfikację do następnej klasy, musiała zdobywać oceny i wykazać się obecnością na zajęciach. Na sprawdzianach pisemnych dobrze sobie radziła, ale odpytywanie było dla niej katorgą.

Kiedy pani wywołała ją do tablicy, prosząc o wyrecytowanie wiersza, Cecylia nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. A przecież poprzedniego dnia powtarzała go matce tak, jakby znała od lat. Spoglądała po twarzach dzieci, które uśmiechały się głupkowato. W ostatniej ławce chłopcy robili samoloty z papieru i rzucali nimi, gdy nauczycielka nie patrzyła. Jediną osobą, która zdawała się podtrzymywać ją na duchu, była Bożenka. Pokazywała kciuk wyciągnięty do góry i uśmiechała się przyjaźnie. Dodało to Cecylii odwagi i spróbowała ponownie, lecz przy końcu pierwszej zwrotki zaczęła się zacinać. Dziewczynki z pierwszej ławki ryknęły śmiechem. Ktoś skomentował, że nie umie nauczyć się wiersza. Wtedy w jej głowie pojawiła się pustka. Nie pamiętała już ani jednej strofy. Pani ponagliła ją, dopytywała, czy na pewno się nauczyła, a w końcu zagroziła, że jeśli nie odpowie, będzie zmuszona postawić jej ocenę niedostateczną. Wtedy Renata odezwała się teatralnym szeptem:

– Czyżby mamusia nie dopilnowała, żeby córeczka nauczyła się recytacji? Uuu, co za wstyd...

Nagle sala zaczęła wirować, a głosy zlały się w jeden szum. Cecylia nie potrafiła odróżnić, czy nauczycielka coś do niej mówi, czy dzieci z klasy wołają. Robiło się jej na przemian gorąco i zimno. Po głowie tłukła się jedna myśl: „Uciekaj!”. Serce waliło jak oszalałe. Potwór, który się zbliżał, już prawie ją miał.

Musiała działać. Wybiegła z klasy, trzaskając drzwiami. Gnała korytarzem aż do bocznego wyjścia. Minęła woźną, lecz ta, zajęta układaniem pudeł, nie zdążyła nawet zareagować. Dziewczynka otworzyła drzwi wyjściowe i wybiegła na ulicę, o mały włos nie potracając przy tym przechodnia. Wciąż słyszała w głowie śmiech dzieci i władczy ton Renaty, która nie pierwszy raz jej dokuczyła.

Cecylia w mgnieniu oka znalazła się na terenie sąsiadującego ze szkołą kościoła. W pierwszej chwili chciała wejść do świątyni, ale wtedy przypomniała sobie o kryptach znajdujących się w podziemiach. Pomimo że ojciec wielokrotnie tłumaczył, iż nic jej tam nie grozi, czuła nieprzyjemny chłód na myśl o ciałach pochowanych pod posadzką. Nie miała gdzie się schronić. Każde miejsce w pobliżu ją przerażało. Kręciła się w kółko, a potem już chyba świat sam kręcił się wokół niej. Nie potrafiła tego ocenić. W pewnej chwili nie mogła dłużej znieść przygniatających ją doznań i wtedy zaczęła krzyczeć.

Obudziła się w swoim łóżku. Nad nią stała matka z posępną miną.

– Słyszysz mnie?

Kiwnęła głową. Nie pamiętała, jak znalazła się w domu. Ostatnie wspomnienie, jakie zachowała, to fatalny występ przed klasą. Wraz z ostrością widzenia wracały wspomnienia. Zaraz... były jakieś docinki, śmiechy, potem uciekała. Dalej miała w głowie czarną dziurę, pustkę. Musiało wydarzyć się coś, czego nie pamiętała. Chciała zapytać o to mamę, ale usta odmawiały współpracy. Zupełnie jakby nie miała nad nimi kontroli.

– Straciłaś przytomność przed kościołem, po tym jak wybiegłaś ze szkoły. Nauczycielka cię znalazła. Co się tam wydarzyło?

Wzruszyła ramionami. Była to jedyna reakcja, na jaką w tej chwili się zdobyła. Nie

odzywała się, ale intensywnie myślała. Najpewniej podczas omdlenia coś sobie uszkodziła i straciła mowę. Może to i dobrze, stwierdziła w myślach. W końcu zawsze mówiła nie to, co jej matka chciała usłyszeć. Zastanawiała się, czy to rzeczywiście możliwe, by utracić zdolność mówienia. Nagle poczuła ulgę. Osunęła się spokojnie na poduszki i odwróciła wzrok od twarzy matki. Nie chciała z nią rozmawiać. W świecie, w którym niespodziewanie się znalazła, było jej dużo lepiej niż na zewnątrz razem z rodzicami, nauczycielami i dziećmi ze szkoły.

– Cecyljo, masz się do mnie odezwać! Co to wszystko znaczy?! – Wysoki ton głosu Wandy wskazywał, że jest bezradna. Nie potrafiła wymóc na córce, żeby ta nawiązała z nią werbalny kontakt.

Pierwszy raz w życiu Cecylia nie wykonywała jej poleceń.

Tymczasem dziewczynka uświadomiła sobie, że niczego nie musi. Czowała się lekka, jakby lewitowała nad łóżkiem, jakby została otulona bańką mydlaną, do której próbowały się dostać przytłumione głosy z zewnątrz. Oby ta bariera nie pękła, pomyślała. Tu było jej miejsce. Tu czowała się bezpiecznie. Tutaj chciała zostać.

– Marian, przemów do niej. Ona mnie całkiem ignoruje... – Matka usiadła na skraju łóżka.

Cecylia uśmiechnęła się do niej. A może do swoich myśli?

– Widzisz? Śmieje się ze mnie! – W głosie matki słychać było rezygnację. Chwilę potem jednak wzięła się w garść i zsunęła z córki kołdrę. – Wyłaż natychmiast. Już ja cię nauczę posłuszeństwa! Gdzie zasady, które ci wpajałam? Nie będziesz mnie ignorować. No już! Rusz się!

Siłą ściągnęła ją z łóżka. Dziewczynka poddała się temu i posłusznie stanęła na nogi.

– A teraz marsz do kuchni. Zjesz kolację, to może rozum ci wróci.

Ledwo powłóczęc nogami, Cecylia ruszyła do kuchni. Na stole przygotowano talerz z kanapkami, lecz nie wykazywała nimi zainteresowania.

– Marian, muszę się położyć. Zrób coś z nią, bo oszaleję! – krzyknęła matka i odeszła w kierunku sypialni.

Dziewczynka usiadła na taborecie. Ojciec przysunął drugi obok niej i sam go zajął.

– Cecylko, kochanie, jedz.

Chciała zrobić to dla niego, ale zupełnie nie miała ochoty. Wzruszyła ramionami.

– Córeczko, muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego. Mama jest chora. Ma raka. Czy ty wiesz, co to jest rak?

Zdziwiła się. Wiedziała, że to skorupiak, ale skąd matka by go wzięła, nie miała pojęcia. Nigdy nie słyszała, żeby to zwierzątko powodowało chorobę. Ponownie wzruszyła ramionami, a Krzeczkiński sam odpowiedział na swoje pytanie:

– To ciężka choroba. Nie ma na nią lekarstwa. Czasem... często... kończy się śmiercią. Ale musimy wierzyć, że mamie się uda ją zwalczyć. Niestety troski nie pomagają. Musi mieć spokój i wypoczywać. A tym, co stało się dziś w szkole, bardzo się zmartwiła. Jedz, skarbie, jedz. Zrób to dla mamy.

Widziała w jego oczach niewyobrażalny smutek. Nagle ojciec wydał się Cecylii bardzo stary. Włosy miejscami mu posiwiały, a wokół oczu pojawiło się pełno zmarszczek. Bruzdy biegnące od nosa do ust wyostrzyły się.

Kim jest ten człowiek przypominający mojego tatę? – zastanawiała się.

Miał jego głos, jego oczy, ale przygarbiona postawa ciała i flegmatyczne ruchy wskazywały, że może być to ktoś, kogo nie zna.

– Czemu nic nie mówisz? Córeczko... – Mężczyzna przytulił dziecko do siebie.

Cecylia poddała się tej czułości. Tak, to był jej tata. Pachniał jak on. Nagle przyszło jej do

głowy, że może to ze zmartwień tak się zmienić. Kochała go i nie chciała przysparzać mu trosk. Wyciągnęła rękę w kierunku talerza. Pomiędzy myślą o tym a ruchem minęła wieczność, ale jednak zrobiła to. Niepewnie chwyciła kromkę i podniosła ją do ust.

– Dobrze. Bardzo dobrze. Jedz.

Na twarzy ojca zauważyła ulgę. Ugryzła kęs, ale nie była w stanie go przełknąć. Tak bardzo chciała to zrobić dla niego. Zmuszała się. Żuła wytrwale, ale po spożyciu połowy kanapki nie mogła przełknąć już więcej. Odłożyła resztę na talerz.

– Idź teraz spać. Przykryję kanapki talerzem. Jeśli zgłodniejesz, będą jak znalazł. Zajrzę teraz do mamy.

Cecylia posłusznie udała się do łóżka. Ledwo położyła głowę na poduszce, zasnęła. Nazajutrz rano, kiedy ojciec budził ją do szkoły, jedynie przecząco pokręciła głową. Nie podniosła się nawet.

– Nie chcesz iść?

Kilka razy pokiwała, nadal się nie odzywając. Marian niepewnie rozglądał się po pokoju, jakby szukając pomysłu, jak sprowokować córkę do wstania. Sam spieszył się do pracy, liczył więc na to, że wystarczy obudzić Cecylię, a dalej sama się sobą zajmie. Nie spodziewał się, że ona w ogóle się nie podniesie. Spojrzał na córkę niepewny, co powinien zrobić. Jej wzrok mówił mu jednak, że łatwo nie będzie, więc odpuścił.

– Dobrze, posiedzisz kilka dni w domu. Zresztą nie mam do tego głowy. Muszę zawieźć mamę na badania, a potem lecę do pracy. Poradzisz sobie sama? Dziś zastępuję też kolegę na drugiej zmianie, więc wrócę późno.

Dziewczynka skinęła głową, potwierdzając, że zrozumiała. Tego właśnie chciała. Pragnęła zostać w domu sama i żeby wszyscy dali jej święty spokój. To tutaj czuła się najbezpieczniej, a na myśl o wyjściu do szkoły wzbierała w niej panika.

Nigdy więcej już tam nie pójdę, postanowiła i odwróciła się na drugi bok.

Wanda została w szpitalu, bo podczas badań wyszły jakieś nieścisłości i należało powtórzyć procedury po kilku godzinach. Wygodniej było mieć pacjentkę na miejscu, a przy okazji przeprowadzić dalszą diagnostykę, na którą nigdy nie dość czasu podczas rutynowych wizyt. Marian nie informował córki o stanie zdrowia matki, ale Cecylia widziała, że jest mocno przygnębiony. Przeczowała więc, że nie wszystko jest w porządku. Gdy wracał z pracy, siadał przy stole kuchennym i wpatrywał się w blat przez długie minuty. Jadali, co popadło. Albo któreś z nich przynosiło danie dnia z pobliskiego baru, albo gotowali makaron z sosem z tego, co akurat można było znaleźć w lodówce. Posiłki spożywali w milczeniu, każde zamknięte we własnym świecie.

Kilka dni później Wanda wróciła do domu. Czuła się już dużo lepiej, ale nie była tą samą osobą co wcześniej. W ogóle nie interesowało ją to, co robi córka i czy ma odrobione lekcje. Nie pytała o szkołę ani o nic innego. Cecylia miała wrażenie, że w tym czasie matka interesowała się wyłącznie sobą. Marian pomagał w domu, jak mógł, ale większość dnia i tak przebywał w pracy, więc szybko okazało się, że bez pomocy z zewnątrz się nie obejdzie. Zatrudniono panią, która opiekowała się Wandą i wykonywała podstawowe obowiązki w domu. Poprzednia gospoia zrezygnowała jakiś czas wcześniej.

Cecylia od czasu do czasu dawała się namówić na wyjście do szkoły. Zazwyczaj działało się to wtedy, gdy nauczycielka dzwoniła, by poinformować, że zbliża się sprawdzian, a dziecko nie ma wystarczającej liczby ocen do klasyfikacji. Szła więc i robiła to, co musiała, ale nie zostawała tam ani minuty dłużej, niż było konieczne. Któregoś dnia odkryła, że jednak może mówić, choć życie w milczeniu wydawało jej się bardzo atrakcyjne. Podeszła wówczas do niej Bożenka i zapytała o zdrowie mamy:

– Moja mama mówiła, że twoja jest bardzo chora. W banku tak gadają. I że może umrzeć. Czy to prawda?

– Nie – wyrwało się Cecylii ku jej wielkiemu zaskoczeniu.

– Nie?

– Nie. To znaczy tak. Jest chora, ale nie umrze. Już jest lepiej.

– To dobrze. A może poszłabyś ze mną do lasu po lekcjach?

– Nie mogę. Muszę wracać do domu.

– Jasne. Tak tylko zapytałam. No to cześć! – Bożenka odeszła do swojej ławki, by spakować książki.

Cecylia w tym czasie chwyciła za swoją teczkę i odwróciła się w kierunku drzwi, by zaraz wybiec. Zbliżała się do niej Renata z przyjaciółkami, a to oznaczało, że szykują kolejne drwiny z niej lub z jej rodziny. Nie miała na to ochoty. Wypadła szybko, nie dając koleżankom szansy na zaczepkę.

Wróciła do domu i przekonała się, że matki nie ma w mieszkaniu. Nie zostawiono jej żadnej informacji. Nie namyślając się długo, co to może oznaczać, wzięła się za odgrzewanie obiadu, który znalazła w garnkach na kuchence. Zjadła w samotności wołowy gulasz, który był zylasty, więc długo mieliła go w ustach. Kilka kęsów wypłuła z powrotem na talerz. Nie lubiła ani takiego mięsa, ani kaszy perłowej, z którą był podany. Wmusiła w siebie tyle, by zaspokoić głód, a następnie zabrała się do odrabiania lekcji.

W trakcie pracy z przyrody przypomniała sobie propozycję Bożenki. Pomyślała, że miło byłoby pobiegać z nią po lesie. Rozpamiętując kuszącą propozycję, kreśliła ołówkiem nieregularne kształty na marginesie zeszytu. Była ciekawa, co też mogłaby tam robić. Przeszedł ją dreszcz, gdy uświadomiła sobie, że nigdy nie była w lesie sama. Spacerowała zawsze pod opieką dorosłych. Matka wielokrotnie opowiadała jej, że po lesie chodzą różni dziwni ludzie, podkreślając, jakie to niebezpieczne. Gdyby ktoś chciał zrobić drugiemu krzywdę, to właśnie wybrałby takie miejsce, bo jest osłonięte drzewami od zabudowań, rzadko ktoś tamtędy chodzi i nikt nic by nie usłyszał. Nie mówiąc już o dzikach, które podobno w lasach grasowały na potęgę. Cecylia wyobraziła sobie, że spotyka dzikie zwierzę, a potem niezdarnie wdrapuje się na drzewo jak w wierszu Brzechwy. Chyba nie byłoby to takie proste, dumiała zupełnie oderwana od książek, które przed nią leżały. Automatycznie sięgnęła po plastelinę i ulepiła figurkę zwierza z wyraźnymi szablami.

Rozdział 7

Wanda poddała się kilkumiesięcznej chemioterapii. Efekty były zadowalające. Wyglądało na to, że pokona nowotwór. Niestety jej pracodawca nie mógł pozwolić sobie na pracownika, który częściej przebywa na zwolnieniu lekarskim niż w biurze, zwłaszcza że szykowałą się cesja innego banku i całość przechodziła poważną reorganizację. W takiej sytuacji niedługo po powrocie ze zwolnienia chorobowego Wanda Krzepczyńska otrzymała wypowiedzenie.

Żeby odnaleźć się w sytuacji, założyła własną działalność i wykonywała ekspertyzy na zlecenie innych banków, firm i klientów indywidualnych. Praca ta nie zajmowała jej jednak w takim zakresie jak etat, dlatego znów skoncentrowała się na córce, a właściwie na planowaniu jej przyszłości. Cecylia dużo czasu spędzała w domu, w szkole bywając tylko tyle, ile było konieczne, by przejść do kolejnej klasy. Matka uznała, że skoro córka nie chce chodzić na lekcje, to tak jej zorganizuje czas, żeby nie nudziła się w domu. Cecylia wróciła do nauki zaniedbanego w ostatnich latach francuskiego. Wymagało to znalezienia nowej nauczycielki, bo Zuzanna, która od małego uczyła dziewczynkę, po wyjściu za mąż przeprowadziła się do innego miasta. Wanda chciała również, żeby córka w domu uczyła się angielskiego, słusznie zakładając, że poziom oferowany w szkole jest bardzo niski. Dziewczynka rozpoczęła więc naukę obu języków, ale

biorąc pod uwagę jej wycofanie, trudno było ocenić, czy wynosi korzyść z tych lekcji. Bywały dni, że lektorki jedynie rozwiązywały z nią testy gramatyczne czy polecały napisać kilka zdań w języku obcym, bo Cecylia nie odzywała się ani słowem. Z przyjemnością natomiast grała na pianinie, bo choć wymagało to od niej wielu godzin ćwiczeń, nostalgiczne utwory pomagały jej uciec w muzykę od świata.

Kiedy miała lepsze dni, sama wybierała się do szkoły. Rodzice zostawili jej decyzję, czy pójdzie na lekcje, czy nie, jednak postawili warunek: musiała spędzić w szkole tyle dni i zdać wszystkie sprawdziany, by mieć oceny i żeby dało się ją klasyfikować. Dyrekcja szkoły, wiedząc o chorobie matki, przymykała oko i tak udawało się dziewczynce kończyć klasę za klasą.

W domu było nudno. Mimo że matka większość czasu spędzała w mieszkaniu, Cecylia czuła się samotna. Nudziły ją gry edukacyjne, w które grała sama ze sobą, książki popularnonaukowe czy słuchanie muzyki. Jej ulubionym zajęciem stało się obserwowanie świata za oknem i tulenie maskotki. Była to jedyna nieedukacyjna zabawka, jaką udało się jej zachować. Świat obserwowany przez okno był dla niej bezpieczny, choć nierealny. Widziała go tak, jak ogląda się film czy czyta powieść. Nie bała się go, dopóki sama nie musiała się w nim znaleźć. Wówczas niebo zasnuwały ciemne chmury, wiał złowrogi wiatr, a ludzie groźnie spoglądali. Często wyciągała pudełko spod łóżka i z ulepionych figurek układała swój świat.

Bywały dni, gdy wydawało się, że wszelkie lęki minęły i od tej chwili Cecylia będzie funkcjonować normalnie. Pojawiała się wtedy w szkole, wychodziła z rodzicami na spacer. Któregoś razu wychowawczyni nie zadzwoniła z informacją o zadaniach. Zamiast niej zjawiała się Bożenka ze szkolnym plecakiem na ramieniu.

– Dzień dobry! Przyniosłam Cecylii lekcje. Czy mogę wejść? – zapytała od progu obcą kobietę, która otworzyła jej drzwi. Była to nauczycielka francuskiego, która właśnie zbierała się do wyjścia.

– Cecyljo! – zawołała swą uczennicę. – Koleżanka do ciebie. Ma wejść?

– Tak – odparła dziewczynka, a serce zabiło jej mocniej. Nie mogła uwierzyć swojemu szczęściu. Tyle dni się nie widziały!

Wanda nie wróciła jeszcze z zakupów, na które wybrała się, korzystając z tego, że córka ma zajęcia. Dziewczynki uśmiechnęły się do siebie i przeszły do pokoju Cecylii. Tam usiadły na dywanie i rozłożyły książki.

– Cecylko, przyszedłam nie tylko z lekcjami. – Bożenka zawiesiła tajemniczo głos, sprawdzając, jakie wrażenie na koleżance zrobi jej deklaracja. – Wpadłam na świetny pomysł. – Widząc zainteresowanie, nie trzymała jej długo w niepewności. – Chodź ze mną na rower. Pojedziemy do Kościelca.

Cecylia bardzo chciałaby skorzystać z tej propozycji, ale na samą myśl, że musiałaby opuścić dom, przeszedł ją dreszcz. Miała piękny rower, różowy z przyczepionymi do kierownicy wstążkami, który stał nieużywany w piwnicy. Przejechała się na nim może kilka razy na rynku obok domu. Był prezentem od rodziców z okazji komunii. Od tego czasu minęły już dwa lata. Ciekawa była, czy rower nie jest na nią za mały, ale nie śmiałyby prosić rodziców o nowy. I tak wystarczająco często słyszała od matki, że taki piękny prezent się marnuje i rdzewieje w piwnicy. Cecylia niejednokrotnie wyobrażała sobie, jak pędzi na nim po parku, a wokół niej nie ma nikogo prócz matki, ojca i Bożenki – jedynych osób, przy których czuła się bezpiecznie.

– No to co? Pojedziesz? – Koleżanka wyrwała ją z zamyślenia.

– Ja... nie mogę. – Cecylia próbowała znaleźć jakieś wytłumaczenie.

– Mama ci nie pozwala?

– Nie, nie o to chodzi. Ona... ona nawet by chciała, żebym to zrobiła, ale ja... Nie czuję się najlepiej. Innym razem, dobrze?

Bożenka pokiwała głową ze zrozumieniem.

– A może bierze cię choroba? Moja siostra Basia też jest chora. Ma gorączkę i babcia mówi, żeby jej nie przeszkadzać, tylko pójść się pomodlić. Tak sobie pomyślałam, że pojedę do Kościelca do kościoła i zmówię modlitwę przy dzwonie Świętej Barbary. Jak myślisz? To powinno pomóc, prawda?

– Pewnie pomoże. – Cecylia nigdy nie była w kościele w Kościelcu, nie wiedziała też, o jakim dzwonie mówi Bożenka, ale jeśli był to dzwon patronki jej siostry, to prawdopodobnie znalazła najlepsze miejsce do modlitwy za chorą. Kusiło ją, żeby pojechać tam z koleżanką. Przez okno widziała, że jest piękna pogoda. Cudownie byłoby znaleźć się na łonie natury.

– To połóż się do łóżka i czytaj lekturę, a ja jutro opowiem ci, gdzie byłam. Chcesz?

Oczywiście, że chciała. Bożenka była jej oknem na świat. Szkoda, że matka nie pozwalała córce sprzątaczkę przychodzić do nich częściej. Mówiła, że to nie jest towarzystwo dla Cecylii, że przyzwoite dzieci nie paplają, co im ślina na język przyniesie, tylko ważą słowa. To prawda, że Bożenka była gadułą, nawet w szkole dostawała uwagi, bo ciągle miała coś do powiedzenia, ale Cecylia nie widziała w tym nic złego. Dzięki odwiedzinom koleżanki nie czuła się tak bardzo samotna. Jeszcze nie podzieliła się z nią swoją tajemnicą, choć nieraz chciała opowiedzieć o lęku, który odczuwa. Kiedy Bożenka namawiała ją na jakieś wyjście, zawsze znajdowała wymówkę. A to matka ma inne plany, a to czekają na gości, a to jest przeziębiona czy musi czegoś się nauczyć. Bała się, że gdy powie koleżance prawdę, ta nie zechce już więcej do niej przychodzić, a tego chyba by nie zniosła.

Kiedy zamykała drzwi za Bożenką, ogarnął ją smutek. Przez chwilę nawet chciała zawołać rówieśnicę i poprosić, by poczekała, aż wyciągnie rower z piwnicy i ruszy za nią. Podbiegła do okna i otworzyła je, aby zawołać koleżankę. Zobaczyła ją jednak szybko pedałowującą wzdłuż kamienic.

– Bożen... – Krzyk uwiązał jej w gardle ściśniętym strachem. Nagły wietrzyk owiał jej twarz i rozburzył włosy. Do uszu dotarły dźwięki miasta, trąbienie klaksonu, praca młota pneumatycznego kującego chodnik na którejś z przecznic, gwar przechodzących ludzi.

Koleżanka oddalała się. Za kilka sekund miała skręcić w aleję Henryka i zniknąć Cecylii z oczu. Było za późno, żeby ją usłyszała. Dziewczynce zakręciło się w głowie, a serce mocno zakołatało. Czuła, że zaczyna ogarniać ją panika. Zamknęła szybko okno i zaciągnęła zasłonę. Chciała odciąć się od świata, który przed chwilą tak kusił. Do oczu napłynęły łzy i leniwie znaczyły korytarze na policzkach. Zrobiła więc to, co zawsze w chwilach ogarniającej ją paniki: pobiegła do swojego pokoju, weszła do łóżka i przykryła głowę kołdrą. Czekał już tam na nią Pelusz, jej przyjaciel i powiernik wszystkich sekretów, a w rzeczywistości pluszowa małpka, która towarzyszyła Cecylii od najmłodszych lat. Nie pamiętała, kiedy ją dostała, ale wiedziała, kiedy nadała imię. Podczas jednej z lekcji francuskiego panna Boutonnet zapytała ją o to, jak wygląda jej najlepszy przyjaciel. Opisała małpkę bardzo dokładnie, a że siedziała na kanapie tuż obok niej, nauczycielka zaskoczona zapytała:

– *Cette peluche?*¹

1 Ten pluszak?

Dziewczynka kiwnęła głową i pomyślała, że Pelusz to idealne imię dla jej przyjaciela. Teraz małpka była już mocno zniszczona, ale Cecylia kochała ją nadal najbardziej na świecie. Wyliniałe futerko dodawało maskotce uroku. Ten pluszak znał wszystkie tajemnice samotnej dziewczynki i przez lata pomagał jej walczyć z lękiem, wspierał, gdy próbowała znaleźć sens otaczającego ją świata. Także w tej chwili bardzo na niego liczyła.

Siedziała pod kołdrą, mimo że było jej duszno, a na czole wystąpiły kropelki potu. Próbowała zrozumieć, co się z nią dzieje. Wciąż zadawała sobie pytanie, dlaczego nie może być

taka jak Bożenka, cieszyć się życiem i iść tam, gdzie podpowie jej wyobraźnia. Czuła się inna, beznadziejna, nic niewarta. A do tego miała poczucie, że po raz kolejny kogoś zawiodła. Znowu ją okłamała. Nie było jej z tym dobrze, ale musiała wymyślać wymówki, żeby nikt nie zmuszał jej do wyjścia z domu. Bała się, że gdy powie o swoim lęku, koleżanka będzie się z niej śmiać. Pewnie zapytałaby, jak to możliwe, żeby jedenastoletnia dziewczynka czuła strach przed wyjściem na ulicę. Dzieci w tym wieku bawią się w parkach bez opieki dorosłych, chodzą same nad rzekę, na łąki i gdzie tylko mają ochotę. Cecylia też miała. Kiedy jednak tylko podobna myśl kiełkowała jej w głowie, narastała panika. Nie potrafiła tego zrozumieć, choć uczucie to towarzyszyło jej od małego. Od kiedy pamiętała, lęk był z nią. Czasem lekko wycofany, innym razem przejmował całkowicie kontrolę. Tych razów, kiedy nie mogła decydować o sobie, było coraz więcej.

Tuliła Pelusza. Zaczynał ją wreszcie ogarniać spokój. Odważyła się zdjąć kołdrę z głowy i zaczerpnąć powietrza. Rozejrzała się wokół. W pokoju nic się nie zmieniło. Zabawki spokojnie siedziały na półkach, książki stały w rzędzie na szafie. To był jej świat. Spokojny, przewidywalny, bezpieczny. Odrzuciła nakrycie. Dopiero teraz poczuła, jak bardzo było pod nim gorąco.

– A, tu jesteś! – Nagle w drzwiach stanęła Wanda. Widocznie dopiero co wróciła ze sklepu. – O rany! Ale jesteś rozpalona! – Z przejściem dotknęła czoła córki. – Znowu jesteś chora. Same kłopoty!

Matka czuła rozczarowanie. Dziewczynka wiedziała to. Nie była takim dzieckiem, jakiego Krzeczkińska oczekiwała. A ponieważ krzyczała na nią za każdym razem, kiedy opowiadała o lęku, który ją ogarnia, córka postanowiła milczeć. Za to w jej głowie zakwitła nowa myśl: faktycznie jest chora. Może to jakaś nieznana choroba powoduje jej lęki? W końcu matka lepiej wie, co się z nią dzieje, niż ona sama. Skoro mówi, że dziewczynka jest chora, to pewnie tak jest. Cecylia nie zamierzała się sprzeciwiać. Kiedy matka kazała jej położyć się do łóżka, przebrawszy pościel na świeżą, dziewczynka posłusznie włożyła czystą piżamę i wsunęła się pod kołdrę. Było wczesne popołudnie. Nie chciała jeszcze spać, ale surowy wzrok Wandy nakazał jej się nie sprzeciwiać. Dostała syrop i pozostała w łóżku.

– Powinno ci po tym przejść, ale na wszelki wypadek nie pójdziesz jutro do szkoły, żeby choroba się nie rozwinęła. Zajrzę do ciebie później. – Matka odeszła, lekko przysmykając drzwi.

Cecylii nie chciało się czytać. Leżąc, patrzyła na poruszające się na wietrze liście drzewa, które rosło nieopodal jej okna. Były takie lekkie, beztroskie. Zazdrościła im. Gdyby tak mogła zamienić się w liść i żyć sobie swobodnie na gałęzi, frunąc z wiatrem, opadać i znowu się wznosić! Życie wtedy nie byłoby takie trudne. Marząc tak w zaciszu swojego pokoju, nie wiadomo kiedy, zasnęła.

– Widzisz, mówiłam, że jest chora. Zdrowe dziecko nie śpi tyle godzin. – Usłyszała gdzieś w tle, ale powieki zbyt jej ciążyły, by je otworzyć. Po chwili dotarło do niej, że rodzice stoją nad łóżkiem i szepczą zapewne po to, by jej nie obudzić. Nie otwierała oczu, bo nie chciała nawiązywać kontaktu. Oni i tak jej przecież nie rozumieli.

Wyszli, a Cecylia znowu odpląnęła w świat sennych marzeń, gdzie była wolna, bez lęku i ograniczeń.

Nazajutrz Bożenka znowu ją odwiedziła. Tym razem Wanda zgodziła się na to, by koleżanka przyniosła córce szkolne zeszyty.

– Rzeczywiście się rozchorowałaś! Jak się dziś czujesz? – zapytała Cecylię, lecz nie otrzymując natychmiastowej odpowiedzi, mówiła dalej: – Bo Basi dziś spadła gorączka. Na pewno pomogła moja modlitwa. To może za ciebie też się pomodłę? Tylko nie wiem, gdzie jest twoja patronka. A ty wiesz?

Dziewczynka wzruszyła ramionami. Nie miała pojęcia, czy w ogóle ma jakiegoś patrona.

– Słuchaj, jaką miałam przygodę! Niesamowitą! Żałuj, że nie pojechałaś ze mną!

– Opowiedz mi, proszę!

– Opowiem, ale najpierw musisz przepisać lekcje, bo mnie twoja mama wyrzuci.

Obiecałam, że nie będziemy zajmować się głupotami. – Podsunęła Cecylii zeszyt do przyrody, w którym zapisane były dwie strony nowej lekcji. – Ale mówię ci, jaką miałam przygodę!

Matka zajrzała do pokoju, upewniając się, że dziewczynki zajmują się sprawami szkolnymi.

– Mam nadzieję, że przepisujesz notatki – oznajmiła córce na wszelki wypadek. – Bożena niedługo musi iść.

Cecylia spojrzała pytająco na koleżankę, a ta delikatnie zaprzeczyła głową. Znała niechęć matki do Nowaków, choć nie potrafiła jej zrozumieć. Rodzicielka mawiała:

– Ta dziewczucha to nie jest odpowiednie towarzystwo dla ciebie. Niczego się od niej nie nauczysz. Pamiętaj, warto otaczać się ludźmi, którzy coś wnoszą w nasze życie. A co może ci dać taka jak ona? Ani to wykształcone, ani mądre. Słyszałam, że tam w domu dzieją się różne rzeczy. Wstyd mi, że w ogóle przychodzi do nas. Co ludzie powiedzą?! Nie masz ty innych koleżanek w szkole?

Niestety, nikt inny nie zwracał na Cecylię uwagi. W klasie była dziwolągiem, odludkiem. Tylko Bożenka szepnęła jej kiedyś na przerwie:

– Nie przejmuj się. Ja ciebie lubię.

Ale ona była inna. Bez względu na to, co działo się w jej domu – Cecylia nie miała pojęcia, o czym mówi matka – Nowakówna była jedyną osobą, która próbowała ją zrozumieć. Poza tym Cecylia uwielbiała słuchać, jak koleżanka żywo opowiada o swoich przygodach. Nieważne, czy wszystko, o czym mówiła, jest prawdą. Lubiła słuchać, cokolwiek ta miała do powiedzenia. Z czasem wyczekiwała tych chwil, kiedy siedziały razem na dywanie i Bożenka snuła różne historie. Tak było i tym razem. Wprost nie mogła doczekać się, aż koleżanka zacznie opowieść. Najpierw jednak trzeba było zadowolić matkę. Na wszelki wypadek Cecylia usiadła przy biurku i trwała z długopisem w ręce. Rozłożony zeszyt dawał złudzenie, że ciągle jeszcze jest coś do zrobienia. To wszystko na wypadek, gdyby Wanda znów chciała skontrolować sytuację.

Bożenka wszędzie czuła się swobodnie. Odwrotnie niż Cecylia, która nawet u siebie siedziała sztywno, jakby połknęła kij od miotły. Koleżanka tymczasem wskoczyła na jej niepościelone łóżko, usiadła po turecku i żywo gestykułując, zaczęła opowiadać przygodę z poprzedniego dnia. W tym czasie Cecylia sięgnęła pod łóżko i wyciągnęła pudełko z plastelinowymi figurkami. Zasluchana pozwalała, by jej palce czarowały kolejne.

– O ja cię! Pokaż to! – Bożenka przerwała opowieść, gdy zobaczyła zawartość pudełka.

– Sama to zrobiłaś? To jest piękne!

– E, takie sobie. Lubię czasem polepić.

Koleżanka przyglądała się każdej figurce z osobna.

– Jesteś niesamowita! I bardzo zdolna. Te postaci wyglądają jak żywe. Twoja mama musi być z ciebie dumna.

– Nie pokazywałam jej. Nie chcę. Są moje.

– Ale mi pokazałaś.

– Tak, bo ciebie lubię.

– Nikomu nie powiem. A pokażesz mi jeszcze kiedyś, co nowego ulepiłaś?

– Jasne. Ale opowiadaj już, bo bardzo mnie to zaciekało.

Potem do późnej nocy Cecylia rozpamiętywała to, co od niej usłyszała. Znowu pojawiły się

wypieki na jej twarzy, a ciało drżało z przejęcia. Opowieść Bożenki była pożywką dla wyobraźni nastolatki, pozwoliła jej przenieść się tam, gdzie sama nie miała odwagi dotrzeć. Nie miało dla niej znaczenia, czy to, co usłyszała, naprawdę się wydarzyło, czy było tylko owocem wybujałej fantazji przyjaciółki. Choć rozsądek podpowiadał jej, że niektóre fragmenty opowieści nie mogły być prawdziwe, pozwalała sobie w nie wierzyć, bo przenosiły ją w lepszy, ciekawszy świat. Dzięki opowieściom poznawała dużo więcej niż to, czego uczono w szkole i co opowiadali rodzice.

Rozdział 8

Bożenka była upartym dzieckiem. Kiedy raz wbiła sobie do głowy jakiś pomysł, nic nie mogło jej od niego odwieść. Żałowała, że Cecylia nie może jechać do Kościelca, ale doszła do wniosku, że koleżanka faktycznie wygląda niewyraźnie, więc taka wycieczka nie wyszłaby jej na dobre. Mała Basia nadal była chora, więc siostra postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Wsiadła na rower i ruszyła przed siebie. Zanim jednak dojechała do kościoła, w którym znajdował się dzwon Świętej Barbary, postanowiła porozglądać się po okolicznym parku. Zostawiła rower przy pomniku żołnierzy radzieckich i przespacerowała się po okolicy. Nagle poczuła smród spalenizny, ale nie znalazła przyczyny. Nigdzie nie było widać dymu. Im dalej jednak odbiegała od pomnika, tym bardziej niepokojący swąd się ulatniał. Z ciekawością zbadała cokolwiek z każdej strony, nie znajdując źródła pożaru. Niedaleko spostrzegła starszą panią, która przyglądała się drzewom.

– Przepraszam. Czy wie pani, co się pali?

– A pali się coś?

– Nie czuje pani spalenizny?

Kobieta pokręciła głową i bez słowa odeszła.

Dziewczynka poczuła, jak dreszcz przebiega jej ciało. Była odważna, ale drażniący zapach niepokoił ją coraz bardziej. Przestraszona wsiadła na rower i pojechała w stronę kościoła. Przejeżdżając koło kapliczki znajdującej się w narożniku ogrodzenia tuż przed świątynią, zatrzymała się na chwilę refleksji. Wtedy spostrzegła, że figurka jest trochę przybrudzona czymś czarnym. Postanowiła zapytać w kościele o ten smród, którego już wprawdzie nie czuła, ale zakładała, że może być to niebezpieczne. Niestety nie spotkała księdza ani żadnego wiernego. Już miała zwrócić do zakrystii, gdy wyszła stamtąd zakonnica z miotłą w ręce.

– Szczęść Boże! Czy wie siostra, co się pali?

– Dlaczego uważasz, że coś się pali?

– Czułam dym. Tutaj niedaleko. W parku. A figurka jest osmolona.

– Dopiero tam byłam. Jesteś pewna?

– Tak, niech siostra zobaczy!

– Pewnie ktoś głupie żarty robi. A dymu żadnego nie czuję. Jesteś pewna?

Bożenka patrzyła na zakonnice z zdziwieniem. Dlaczego cały czas pytała ją, czy jest pewna? Była przekonana, że się nie myli. Siostra jednak nie sprawiała wrażenia przejętej. Zbierała miotłą niewidoczne pyłki z podłogi.

– Nic się nie martw. Zaraz się tym zajmę. Jeśli chcesz się pomodlić, to szybciotko, bo już zamykam kościół.

Dziewczynka zerknęła w kierunku dzwonu, uklękła w jednej z pobliskich ławek, zmówiła krótki pacierz za Basię i opuściła świątynię. Prędko pognęła do domu, wciąż myśląc o zapachu spalenizny w okolicy pomnika.

W progu mieszkania czekała na nią babcia, która – gdy tylko ją zobaczyła – spytała, co się stało.

– Nic. Tak tylko na rowerze sobie jeździłam.

Kobieta nie dała się jednak zwieść. Widziała, że wnuczka jest czymś bardzo przejęta, więc nie przestała dociekać.

– Wyglądasz, jakbyś zjawę zobaczyła. Włosy rozwichrzone, rumieńce na twarzy. Na pewno wszystko w porządku? Gdzie żeś była? – zapytała.

– W Kościelcu. Pojechałam, by pomodlić się za Basię, żeby do zdrowia wróciła.

Babcia przytuliła dziewczynkę i z czułością pogłaskała po głowie.

– Dobreś dziecko, dobre... – Pociągnęła wnuczkę do kuchni i posadziła przy stole. Za chwilę postawiła przed nią kubek z gorącą herbatą, choć Bożenka była wystarczająco rozgrzana po szybkiej jeździe. – Wypij herbatkę, to ochłoniesz.

Dziewczynka się zamyśliła. Nie mogła pojąć, jak gorący napój ma jej pomóc wrócić do równowagi, ale babcia nieraz miewała dziwne sposoby na różne dolegliwości, które o dziwo działały.

– Babciu...

– Tak, kochanie?

– Tam było coś dziwnego...

– A jednak coś się wydarzyło.

Bożenka powiedziała o dziwnym zapachu, który tylko ona czuła i który pojawił się jedynie koło pomnika. Starsza kobieta się zamyśliła.

– No to mam nadzieję, że nic tam w pobliżu nie spłonie. Może wiatr skądys przygnał ten zapach. A ty wiesz, co kiedyś było w tym parku?

– Co?

– Mniej więcej w tym miejscu, gdzie teraz jest pomnik, stał pałac hrabiego Adama Starzeńskiego. Budynek spłonął w czterdziestym trzecim. Pamiętam to bardzo wyraźnie. Moja mama pracowała u państwa jako pomoc i czasem zabierała mnie ze sobą, ale po tym, jak ich wysiedlili, zachodziłam tam coraz rzadziej. Pałac stał opustoszały przez kilka lat. Była zima, kiedy ktoś zawołał rodziców, że posiadłość płonie i żeby ratować. Wszyscy rzucili się na pomoc. Zjechała straż pożarna, przybiegło dużo ludzi z wiadrami, ale nic to nie dało. Pałac palił się i palił. Nikt nie wiedział, co się stało, czy ktoś to zrobił specjalnie, czy pocisk wpadł tam jakiś... Staliśmy nieopodal i patrzyliśmy, jak czerwona łuna unosi się nad budynkiem. Wokół pełno było śniegu, ale to niewiele dało.

Bożenka słuchała babci uważnie. Znów poczuła, jak przez ciało przechodzą jej dreszcze. Przecież dziś w tamtym miejscu unosił się smród spalenizny! To niemożliwe, żeby po tylu latach było czuć swąd. Patrzyła na babcię i widziała, jak ta na nowo przeżywa tamte wydarzenia. Staruszka trzymała w ręce pusty kubek po herbacie i patrzyła w jego dno, jakby tam kłębiły się wspomnienia. Bożenka chciała zadać jakieś pytanie, ale babcia po chwili zamyślenia sama wróciła do opowieści.

– Potem tak stał i niszczał. Rozpadał się na kawałki. Dużo młodzieży tam chodziło, bo pozostał piękny park i ogród. To było bardzo romantyczne miejsce. Nawet ja się tam z dziadkiem umawiałam, choć mamusia mi na to nie pozwalała, bo w tamtej okolicy ponoć było niebezpiecznie. Kiedy twoja mama miała może piętnaście lat, ją też ciągnęło do Kościelca. I wtedy runęła wieża biblioteczna, o mało nie przygniatając jej koleżanki. Jakoś niedługo potem rozebrali resztki tego pałacu, bo rumowisko nie tylko było zagrożeniem, ale też szpeciło okolicę. No i tak ludzie zapomnieli... Został tylko ten park.

– Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, jak ten pałac wyglądał. Opowiesz mi, babciu?

– Sama nie wszystko pamiętam, bo byłam mała, gdy chadzałam z mamą na służbę, ale z zewnątrz co nieco mogę opowiedzieć. Widziałaś figurkę Chrystusa Miłosiernego na resztkach kamiennego muru. Podobno sam hrabia Starzeński postawił ją tam. Kiedyś parkan biegł wokół

pałacu, czyli okalał całkiem spory teren. Aż pod osiedle sięgał. Tam, gdzie dziś jest Chechlana, był ogród, w którym mama pielęła grządki. Pamiętam, że jej pomagałam jarzynę do obiadu rwać. No więc, jak dziś ten pomnik żołnierzy radzieckich stoi, to za nim jest taka górka. Wiesz, o czym mówię?

Dziewczynka z przejęciem pokiwała głową, a babcia kontynuowała opowieść.

– Ja tam lata całe nie byłam, ale Józwiakowa mówiła, że jak do kościoła jedzie, to zawsze zachodzi. Ty wiesz, że jej mama z moją pracowała? Ona trochę starsza ode mnie jest, więc więcej pamięta. Józwiakowej w oko wpadł taki jeden... no to ci kiedyś opowiem, bo to historia romantyczna, ale nie dla dziecka. O czym to ja miałam mówić?

– O pałacu, babciu, gdzie był i jak wyglądał.

– A, już wiem. No to tam za tym pomnikiem stał. To znaczy pomnika wtedy nie było. Teraz to by widok zasłaniał, a wtedy było pięknie. Całą okolicę widziałam z okien. Zaraz za bramą znajdowały się budynki dla służby. Głównie tam bywałam, bo dziecka na salony nie wpuszczali. Ale jak mama służyła w pałacu, to potem w domu różne rzeczy opowiadała. Wyobrażałam sobie, że było pięknie.

– I co jeszcze pamiętasz?

– Ano stajnia była i chyba tylko wozownia jeszcze, gdzie hrabia trzymał piękny samochód. Zaraz... jeszcze kuźnia była, ale tam to mama nie pozwalała chodzić.

– Szkoda, że nie ma już tego pałacu! – Bożenka wyobrażała sobie, że w pięknej sukni przemierza przestronne sale, a jedzenie do stołu na srebrnej tacy podaje jej lokaj. Uśmiechnęła się do siebie i zanotowała w pamięci, żeby przy najbliższej okazji koniecznie opowiedzieć o tym Cecylii.

– Toć jeden mieszkaniec² Chrzanowa zrobił makietę tego pałacu, bo go odbudować chcą. Ten model może w urzędzie miasta, a może w muzeum jest. Zapytam Kowalską, bo ona sprząta w gmachu przy Mickiewicza. Pewno wie, czy to się da zobaczyć. Pójdiesz se i oglądniesz dokładnie, jak cię to tak interesuje.

² Autorem makiety pałacu w Kościelcu znajdującej się w Muzeum im. Ireny i Mieczysława Mazarakich w Chrzanowie jest Adam Waluszkiewicz.

Nagle dziewczynce przyszła do głowy jeszcze jedna myśl.

– Babciu, a może w przypałacowym parku zakopano jakieś skarby?

– Ja tam nie wiem, czy w Kościelcu... Mówiło się, że hrabia Adam ukrył kosztowności w Płazie. Niejeden już próbował tam kopać, ale nic nie znalazł. Ludzie gadali, że to tylko prawowity spadkobierca odnajdzie.

– A ten hrabia to bogaty był?

– Ano chyba bogaty. W pałacu miał pełno obrazów i jakichś takich rysunków. Kiedyś Józwiakowa mi mówiła, że hrabia Adam był wielkim patriotą. I na tych obrazach były bitwy, historyczne takie zdarzenia. Ja dzieckiem byłam, to się nie interesowałam takimi rzeczami, ale kiedy przyglądaliśmy się, jak pałac płonie, to ludzie krzyczeli, że kolekcja się pali, że to dobro narodowe.

– A właściciel gdzie był podczas pożaru?

– Starych Starzeńskich to do Związku Radzieckiego wywieźli w tysiąc dziewięćset czterdziestym. Wielu wtedy wywozili. Ich dzieci też zostały wysiedlone. Syn prawdopodobnie z rodziną do Krakowa pojechał. Bardzo go tu ludzie lubili, bo dużo im pomagał, ale niestety własnego pałacu nie uratował.

Bożenka zadumała się, a w jej głowie począł rodzić się plan. Postanowiła pojechać na wycieczkę do Płazy. Do tej wyprawy musiała się przygotować. Pomyślała, że dobrze byłoby, gdyby pomogła jej w tym Cecylia, bo w pojedynkę może nie zrealizować swojego zamierzenia.

Nie miała pojęcia, jak uda jej się przekonać koleżankę, ale tylko z nią chciała to zrobić. Tajemnicza wyprawa dwóch przyjaciółek – smakowała tę myśl. To mogła być naprawdę świetna przygoda. Wzięła do ręki ołówek i kartkę. Wynotowała wszystko, co mogło być potrzebne.

Rozdział 9

Cecylia się zamyśliła. Bożenka potrafiła tak pięknie opowiadać, że słuchaczowi od razu lepiej robiło się na duszy. W każdym razie ona mogła słuchać koleżanki godzinami. Taki spokój opanowywał jej myśli i ciało, że czuła się prawie szczęśliwa. W tych nielicznych chwilach wydawało się jej, że wszystkie lęki minęły i już nigdy nie wrócą. Zazdrościła koleżance, że ma taką łatwość snucia historii, a jeszcze bardziej zazdrościła jej babci, bo to od niej Bożenka wszystko wiedziała i po niej pewnie odziedziczyła talent do bajania. Łatwo dało się wyczuć, jak blisko były ze sobą i że rozumiały się pomimo sporej różnicy wieku. Takiej bliskości Cecylii bardzo brakowało w jej relacjach rodzinnych.

Któregoś dnia koleżanka przedstawiła plan kolejnej wyprawy, a Krzepczyńska postanowiła zrobić wszystko, żeby pomóc jej go zrealizować. W ostatnim czasie czuła się całkiem dobrze. Stany lękowe zdarzały się rzadko, więc codziennie wychodziła do szkoły, a czasem nawet do sklepu. Coraz lepiej radziła sobie w sytuacjach, gdy panika ogarniała jej ciało. Brała wówczas głęboki oddech i powoli wypuszczała powietrze. Po treningu oddechowym czuła, że napięcie ją opuszcza. Nie zawsze działało, ale w wielu przypadkach koło lęk.

Kiedy więc Bożenka zaproponowała jej wycieczkę do Płazy, tym razem Cecylia nie odmówiła od razu. Wyraziła zainteresowanie i po chwilowym przemyśleniu stwierdziła, że to może się udać. Wprawdzie miały sporo rzeczy do ustalenia, jednak nie przerażało jej to. Oczywiście musiała trzymać wszystko w tajemnicy przed matką, bo Wanda nigdy nie zgodziłaby się na taką wyprawę, ale uznała, że skoro Bożenka od dawna sama porusza się po ulicach i jeszcze nigdy nic jej się nie stało, a jej mama i babcia nie mają nic przeciwko temu, to na pewno wcale nie jest to niebezpieczne. Poza tym nastolatka bardzo chciała pojechać do legendarnej Płazy.

Wybrały dzień, w którym matka Cecylii miała badania, a ojciec był w pracy. Umówiły się, że nie pójdą na lekcje. Dla Cecylii nie było to trudne, bo rodzice przywykli do tego, że córka nie idzie do szkoły, natomiast Bożenka musiała jakoś to załatwić.

– Potem to wyjaśnię – tłumaczyła. – Poproszę babcie, żeby napisała mi usprawiedliwienie.

– Twoja babcia zgadza się na wagary?

– Nie. Powiem jej prawdę, ale dopiero po powrocie.

Cecylia wzruszyła ramionami. Wierzyła koleżance. Do wyprawy musiały się jeszcze przygotować.

– Wezmę plecak. Czego potrzebujemy? – Nie była pewna, co powinny zabrać. – Picie i jedzenie? – Tylko to przyszło jej na myśl.

– Łopatkę, grabki, mały nóż, worek na skarby i notes, gdyby trzeba było narysować jakąś mapę – wymieniła jednym tchem.

– A wiesz, gdzie to dokładnie jest? – Cecylia była pełna obaw.

– Jasne! Wypytałam babcie, gdzie znajduje się drzewo, pod którym ukryto skarb. Wydaje mi się, że nasz plan jest doskonały. W ciągu dnia nie powinno kręcić się tam wielu ludzi, bo pałac jest zamknięty, więc spokojnie możemy przekopać teren. – Bożenka aż podskakiwała z entuzjazmu, a tusza zupełnie jej w tym nie przeszkadzała. Energią mogłaby obdzielić kilkoro dzieci, a już na pewno dać jej trochę koleżance, której ciągle brakowało na wszystko sił. – Skoro tylko spadkobierca może znaleźć skarb, to gdy odkopimy kosztowności, odziedziczymy pałac i będziemy hrabiankami!

– Jak się tam dostaniemy?
– Możemy autobusem, ale babcia Dusia mówiła, że to mniej niż dziesięć kilometrów, więc proponuję rowerami.

– No, nie wiem, czy dam radę. Rzadko jeżdżę. Nie mam tyle sił.

– Cecylka, będziemy robić postoje, nie martw się. A co, jeśli nas ktoś zaczepi w autobusie, że jedziemy bez opieki? No i pieniądze trzeba mieć na bilet.

– Masz rację. Rowerem będzie bez kłopotów. Jeżeli nawet ktoś się nami zainteresuje, to powiemy, że mama jest gdzieś niedaleko.

– Ustalone. Pojutrze rano ruszamy. Sprawdź, czy rower ma napompowane kółka, bo to bardzo ważne przy długiej trasie. – Bożenka pouczyła koleżankę tonem znawcy.

Cecylia była jej wdzięczna za wskazówki, bo sama o tym nie pomyślała.

– Poproszę dziś tatę, żeby sprawdził rower.

– Tylko nic mu nie mów o naszych planach!

Cecylia pokręciła głową. Oczywiście, że nie mogła nic zdradzić. Kiedy jednak ojciec wieczorem pompował opony, korciło ją, żeby się z nim podzielić zamierzeniami. Na szczęście się powstrzymała. Marian pomyślał, że córka zamierza w sobotę wybrać się z nim do parku, dlatego chętnie sprawdził, czy wszystko dobrze funkcjonuje.

W ustalonym dniu rano, ledwo zamknęły się za rodzicami drzwi, Cecylia wyskoczyła spod kołdry. Z szafy wyciągnęła spakowany poprzedniego wieczoru plecak, do którego dopakowała ekwipunek odkrywcy, kanapki i butelkę wody mineralnej. Zamiast sukienki założyła legginsy i adidas, a na górę luźny podkoszulek i bluzę z kapturem. Kiedy usłyszała gwizd, sprawdziła przez okno, czy to rzeczywiście koleżanka wzywa ją ustalonym sygnałem.

Bożenka opierała się o donicę z kwiatami, a rower postawiła na nóżce. Włożyła luźny strój, a jej czoło przysłaniał daszek sportowej czapki. Słońce mogło przeszkadzać w długiej jeździe, niestety Cecylia nie miała odpowiedniej osłony. Matka uważała, że to nie jest dziewczęce nakrycie głowy i pozwalała jej nosić tylko kapelusik albo chusteczkę. Nastolatka szybko zdecydowała się na to drugie. Po chwili pomachała koleżance na znak, że już schodzi. Kiedy zamykała za sobą drzwi, poczuła kołatanie serca. Robiła coś, czego nie wolno. Miała świadomość, jaki gniew matki może to wywołać, jeśli się wyda. Gdy schodziła po schodach do pomieszczenia, gdzie przechowywany był rower, zwątpiła, czy postępuje właściwie.

– Bożenko, ja... – Chciała się wycofać, kiedy tylko stanęła naprzeciw koleżance.

Ta przerwała jej, jak to miała w zwyczaju, nie mogąc się doczekać, kiedy sama będzie mówić.

– Jesteś! Ruszamy! Ahoj, przygodo! – Wsiadła na swój pojazd i zrobiła kółko wokół placu.

Cecylia patrzyła na nią i walczyła z targającymi nią sprzecznymi uczuciami. Tak bardzo chciała się sprzeciwić matce i zrobić coś, na co ma ochotę. Jednocześnie ogromnie się bała. Powoli ruszyła za przyjaciółką. Gdy Bożenka odwróciła się na moment i zobaczyła, że Cecylia już jedzie, obrała właściwy kurs. Ruszyły w kierunku Płazy.

Najpierw droga wiodła przez miasto. Wiele razy musiały się zatrzymywać, bo chodniki były wąskie, czasem zaparkowane samochody czy piesi powodowali przestoje. Zgodnie z przewidywaniami nikt nie interesował się, gdzie jadą dwie nastoletnie dziewczynki.

Pierwszy kryzys Cecylia miała tuż za ostatnimi zabudowaniami. Otaczająca je przestrzeń wydała się jej nagle przytłaczająca. Musiała zejść z roweru.

– Co ci jest? – zapytała Bożenka z troską. – Odpocznij trochę i napij się wody.

Cecylia faktycznie czuła zmęczenie, ale nie to było głównym powodem jej zatrzymania się. Kręciło jej się w głowie, a rozległa przestrzeń przerażała. Zamknęła oczy. Trochę to

pomogło. Wzięła kilka łyków wody, kilka głębszych oddechów i stwierdziła, że fala paniki zaczęła odpływać.

– Jedźmy – powiedziała, choć bez przekonania, ale Bożenka tylko czekała na hasło do drogi, więc od razu ruszyła przodem.

Cecylia podziwiała ją za temperament i luz, z jakim podchodziła do wszystkiego. Była zupełnie inna od znanych jej ludzi.

Po kolejnych kilku kilometrach obie były zmęczone. Cecylia przywykła już do tego, że otaczają je pola i gdzieś tam tylko pojawiają się domy. Zbliżały się do lasu. Nowakówna zakomunikowała, że powinny zrobić postój, a potem jechać już jednym ciągiem. Usiadły na poboczu i częstowały się wzajemnie kanapkami. Cecylia miała pełnoziarniste pieczywo z szynką, sałatą i pomidorem, a Bożenka pajdy z kawałkami kiełbasy, bez masła i żadnej jarzyny.

– Wiesz, że człowiek powinien jeść warzywa i owoce pięć razy dziennie? Choćby małe porcje, byle regularnie. – Cecylia nie mogła się powstrzymać od podzielenia się nauką wyniesioną z domu.

Koleżanka wzruszyła ramionami.

– Phi – prychnęła. – U mnie czasem jemy same warzywa cały dzień.

– O, to twoja mama jest wegetarianką?

– Czym?

– No, taką osobą, która nie je mięsa.

– No co ty! Mama uwielbia mięso, ale jemy je zazwyczaj w niedzielę. I jeszcze na święta, gdy przywiezie ciotka ze świniołowca. No i kiełbasę też przywozi ze wsi. To już częściej, bo mają wędzarnię, w której przechowują zapasy. Spróbuj, jaka dobra! – Oblizwała się na widok kromki, którą właśnie odwijiała z papierka.

Cecylii wydało się to obrzydliwe, a kanapka koleżanki, choć pachniała wybornie, bardzo niezdrowa. Dziewczynka pokręciła głową i zjęła się swoją przekąską.

– Zostawię ci kawałek, gdybyś potem zechciała. – Bożenka oderwała połowę kromki i wpakowała z powrotem do papierowego opakowania, na którym pozostały tłuste plamy. Cecylia pomyślała, że gdyby jej matka to zobaczyła, zaraz wyrzuciłaby wszystko do kosza.

Pomimo że nastolatka zjadła normalne drugie śniadanie, wciąż czuła głód. A może to intensywny zapach czosnku pobudzał jej zmysł powonienia? Zerknęła kilkakrotnie w kierunku tłustego zawiniątka, aż w końcu Bożenka zorientowała się, w czym rzecz.

– No węź. Zostawiłam przecież dla ciebie.

– A ty nie jesteś głodna? – zapytała, bo wydawało jej się, że Bożenka zwykle pochłania większe porcje.

– Jestem, ale mam jeszcze zapasy. – Koleżanka pokazała jej woreczek z kilkoma suchymi kromkami chleba.

Cecylia sięgnęła niepewnie po kanapkę. Odwinęła ją ostrożnie, żeby się nie ubrudzić. Nie była pewna, czy dobrze robi, decydując się na zjedzenie zawartości. Zatopiła zęby i poczuła smaki, których nie miała okazji poznać wcześniej. Chrupiąca skórka pszenno-żytniego chleba na zakwasie zamiast wieloziarnistego ciemnego pieczywa, które jako jedyne pojawiało się u niej w domu. Czosnkowo-pieprzowy smak grubo mielonej kiełbasy, która rozpadała się przy każdym kęsie. Najsmaczniejsze były w niej fragmenty, które przypominały galaretkę, i mimo że skórka była trochę twarda, całość smakowała doskonale. Dziewczynka nie mogła pojąć, dlaczego u niej nigdy nie kupowano takiej kiełbasy.

– Dobrze, nie? – Bożenka zauważyła błogość na twarzy koleżanki. – Kończ, bo musimy się zbierać w dalszą drogę. – Otarła usta rękawem, a Cecylia rozglądała się za serwetką, jednak nic takiego nie spakowała do plecaka. Nawet chusteczek do nosa nie wzięła. Czuła, że ma tłuste

usta i ogromnie potrzebowała je wytrzeć. Nie mogła jednak zdobyć się na to, by w ślad za Bożenką użyć rękawa. Zerwała liść rosnącej w pobliżu babki lancetowatej i otarła nim buzię.

Koleżanka przyglądała jej się ze zdziwieniem, a potem ryknęła śmiechem.

– Co ty robisz? Wycierasz się liściem? Ha, ha, ha! – chichotała bez ustanku. – Tyłek to rozumiem, ale usta? Ha, ha, ha, ha!

Dziewczynka zawstydziała się, choć właściwie nie wiedziała dlaczego. Reakcja Bożenki sprawiła, że poczuła się, jakby zrobiła coś niestosownego.

Po chwili ruszyły w dalszą drogę. Niebawem ujrzały pierwsze zabudowania malowniczej, położonej wzdłuż potoku Płazianka wsi Płaza. Kiedy dojechały do centrum miejscowości, ich oczom ukazał się położony na wzgórzu pałac. Dalej postanowiły pójść pieszo. Rowery zostawiły pod kościołem.

Po kwadransie minęły bramę i znalazły się w pięknym ogrodzie pełnym klombów kwiatowych i drzew. Rosły tam ulubione hortensje Cecylii w kolorach od różu do niebieskiego. Pałac otaczało wiele starych drzew, ale celem dziewczynek było odnalezienie tego jednego, najważniejszego.

Zanim zaczęły szukać, stały jak zaczarowane, patrząc na dwór.

– Ten hrabia to miał dobrze... – westchnęła Bożenka, choć nie bardzo wiedziała, którą myśl wyraża ten ogólnik. – Chciałabym w takim mieszkać. Ciekawe, ile tam jest pokoi.

– Może z dziesięć? – strzeliła Cecylia.

– Och, to każdy z nas miałby swój pokój! – Bożenka myślała o rodzinie.

Cecylia nie była nigdy u koleżanki, ale gdy Nowakówna odwiedziła ją po raz pierwszy i zobaczyła, że Krzeczynscy zajmują cztery przestronne pokoje, wykrzyknęła, że jej cała dziewięcioosobowa rodzina gnieździ się w trzech małych pomieszczeniach.

Dziewczynki były w parku same, nie licząc ptaków, które świergotały gdzieś niedaleko.

– To dobrze, że tak tu cicho. Nikt nie będzie nam przeszkadzał. – Cecylia rozglądała się w poszukiwaniu drzewa, pod którym ukryto kosztowności. Miało znajdować się na środku parku i rzeczywiście jakieś tam rosło. Sprawiało wrażenie częściowo uschniętego, ale może to właśnie skarb był tego powodem i należało jak najszybciej go wyciągnąć, żeby uratować roślinę.

Krzeczynska zdjęła bluzę, żeby nie krępowała jej ruchów, i położyła ją na pobliskim krzewie. Bożenka wyjęła z plecaków narzędzia. Dała koleżance łopatkę i sama uzbroiła się w odpowiedni sprzęt.

– Gdzie zaczynamy?

– Może tam, gdzie jest trawa? Widać, że w tym miejscu nikt jeszcze nie szukał. Mamy dużą szansę. – Koleżanka była przekonana, że to właśnie im się uda.

Zaczęły grzebać w ziemi. Nie było łatwo, bo trawa mocno zwierzała glebę, a ich łopatki ledwo dawały radę. Dziewczynki nie poddawały się jednak. Systematycznie orały teren wokół drzewa. Pot ściekał Cecylii po twarzy. Czuła na przemian zimno i gorąco. Zmęczenie mieszało się z podnieceniem i wiarą, że jednak coś znajdą. Pracowały w absolutnym skupieniu, nawet ze sobą nie rozmawiając.

Nagle całkiem blisko usłyszały krzyk:

– Co wy wyrabiacie?! Niszczycie cudzą własność! To zabronione! – Głos był piskliwy, ale stanowczy. – Wzywam policję!

Cecylia wstała z kolan i odwróciła się. Przed nią stała kobieta w średnim wieku w kwiecistej chuście na głowie i z wiadrem na liście w ręku. Pewnie pielęgnowała ogród, do którego wdarty się – jej zdaniem – z zamiarem zniszczenia go. Wciąż krzyczała. Pytała o to, gdzie są ich rodzice i o coś jeszcze, ale Cecylia już jej nie rozumiała. Choć stała jak słup soli, miała wrażenie, że leci w przepaść. Ziemia falowała, drzewa napierały na nią, osaczały.

Rozejrzała się wokół z nadzieją, że nadejdzie pomoc, ale widziała tylko złowrogie rośliny, które wyciągały macki, by ją uwięzić. Czuła ucisk na gardle, jakby ktoś ją dusił. Nie mogła powiedzieć słowa. Gdzieś w oddali słyszała Bożenkę, która coś tłumaczyła, lecz nie była w stanie wyłapać sensu jej słów. Wciąż dzwoniło jej w uszach, a serce biło jak oszalałe. Potem nie czuła już nic.

Straciła przytomność. Kiedy się ocknęła, leżała na ziemi, a ktoś trzymał jej głowę na kolanach i gładził po czole. Bała się otworzyć oczy, bo strzępy wspomnień wracały do jej świadomości.

Bożenka chlipała nad Cecylią, od czasu do czasu wycierając nos ręką, którą głaskała przyjaciółkę. W pobliżu kręcili się obcy ludzie. Słyszała ich głosy.

– Cecylka, obudź się, Cecylka – prosiła ją koleżanka tak żałosnym głosem, że zemdlona otworzyła oczy, by ją uspokoić. – Musiałam im powiedzieć, jak się nazywamy. Wezwali rodziców. Już po nas jadą.

Dziewczynka znów poczuła dreszcze. Przerażała ją myśl, jak bardzo matka będzie się gniewać. Nagle uświadomiła sobie, jak bezsensowny był ich plan. Dały się ponieść fantazji, marzeniu o wielkim skarbie, który był tylko legendą. Złamały prawo i narobiły szkód, za co odpowiedzą ich rodzice.

– Boję się...

– Ja też się boję. – Bożenka nagle wydała jej się drobna, tak bardzo skurczyła się w sobie. – Boję się twojej mamy. Ale musiałam im powiedzieć, bo chcieli zadzwonić po policję. Mamusia mówiła mi kiedyś, że jeśli będziemy sprawiać problemy, to policja może nas zabrać do domu dziecka. Ja nie chcę tam iść.

Siedziały przytulone do siebie i cichutko popłakiwały. Czekały na przyjazd rodziców, choć bardzo bały się tego spotkania. Kobieta, która je znalazła, krzątała się nieopodal i od czasu do czasu komentowała zajście, zwracając się do innych ogrodników, którzy nie wiadomo kiedy pojawili się w okolicy.

Po dwóch kwadransach przyjechał Marian Krzeczynski. Wręczył kobiecie w chuście jakiś zwitek, a na dziewczynki skinął ręką i krótko zakomenderował:

– Wracamy do domu!

Cecylia wstała posłusznie i niepewnie spojrzała na koleżankę. Już chciała zapytać, kiedy przyjedzie ktoś po nią, gdy jej ojciec dodał:

– Obie!

Powlokły się do samochodu, który zaparkowany był na początku alei prowadzącej do dworu. Już mieli odjechać, kiedy Bożenka przypomniała sobie, że pod kościołem zostawiły rowery. Kierowca podjechał we wskazane miejsce i spakował pojazdy do bagażnika.

– Co wam do głów strzeliło? – zapytał, gdy znaleźli się na krajowej drodze.

Milczały, bo cóż mogły powiedzieć?

– To było idiotyczne! Jak można rozkopać pół cudzego ogrodu? Pewnie skarbu szukałyście, co?

Cecylia nieśmiało kiwnęła głową.

– Mama wie? – zapytała ostrożnie, modląc się w duchu, by odpowiedź była negatywna.

– Wie, wie... choć lepiej byłoby, żeby nie wiedziała. Ta pani zadzwoniła do banku i tam jej podali numer mamy. Źle się czuje, więc zadzwoniła po mnie. Cecyljo, co się z tobą stało?

– To moja wina, proszę pana – odezwała się Bożenka.

– Twoja, nie twoja... Nieważne. Dobrze, że nic wam nie jest. Przecież to bardzo niebezpieczna droga, duży ruch...

– Rano nie było tylu samochodów.

– Ale teraz, gdybyście wracały rowerami, naraziłybyście się na spore niebezpieczeństwo.

Nie spodziewałem się tego po tobie, moje dziecko. – Ojciec Cecylii nie był zły. Był smutny.

Dziewczynka poczuła, że zawiodła go na całej linii.

– Trzeba było mi powiedzieć.

– Nie pozwoliłbyś nam pojechać...

– Zawiozłbym was do Płazy i opowiedział o pałacu oraz o tym nieszczęsnym drzewie, co to wielu naiwnych nie daje mu spokoju. Tacy mądrale jak wy zniszczyli cały system korzeniowy tej rośliny. Co jakiś czas znajduje się tu ktoś, kto myśli, że jemu się uda.

– Więc nie ma tego skarbu?

– To legenda. Być może hrabia zakopał gdzieś kosztowności, ale albo dawno zostały wydobyte, albo ukrył je zupełnie gdzie indziej. A może na terenie parku, lecz bardzo głęboko. Jak to z legendami bywa, nie wiadomo, ile jest w nich prawdy.

Dojeżdżali do Chrzanowa. Najpierw odstawili Bożenkę do domu. W drzwiach czekała na nią babcia, która wzięła dziecko w ramiona i mocno utuliła. Kiedy zamknęły za sobą drzwi, Cecylia patrzyła długo na ich dom, tak jakby przeczuwała, że nieprędko zobaczy koleżankę.

Po chwili ojciec zaparkował pod kamienicą Krzepczyńskich. Wziął córkę za rękę i razem wspięli się po schodach na piętro. Drzwi od mieszkania nie były zamknięte na klucz. Dziewczynka nacisnęła klamkę i na paluszkach przeszła do przedpokoju, gdzie ściągnęła obuwie.

– Umyj twarz i ręce – szepnął ojciec. – Mama chce z tobą porozmawiać.

Nastolatka posłusznie skierowała się do łazienki. Gdy spojrzała w lustro, zrozumiała, dlaczego tata ją tam wysłał zamiast do pokoju matki. Twarz miała umorusaną błotem i łzami. Włosy sterczały posklejane, z kawałkami liści, które widocznie zaplątały się w warkocz, gdy upadła na ziemię. Nie miała nakrycia na głowie. Pewnie spadło gdzieś w ogrodzie. Również bluza została na krzewie. Legginsy i koszulka przedstawiały obraz nędzy i rozpacz. W takim stanie na pewno nie mogła pokazać się matce. Skrupulatnie umyła ręce i twarz, później oczyściła włosy. Brudne ubrania zdjęła i wrzuciła do kosza na pranie, wyciągając z niego sukienkę, która w zasadzie była czysta, jedynie lekko pomięta. Jeszcze raz opłukała twarz wodą, tym razem zimną. Dziewczyna tak bardzo bała się wyjść z łazienki i stanąć przed matką!

– Skończyłaś już? – Dobiegło ją nagle zza drzwi. – Jeśli tak, to pozwól do kuchni. – Ton Wandy nie wróżył niczego dobrego.

Cecylia zakręciła wodę, otarła twarz ręcznikiem i ruszyła stawić czoło temu, co było nieuniknione.

– Dzień dobry, mamó – powiedziała tak cicho, że tylko wytrawny słuchacz zrozumiałby jej słowa.

Matka usłyszała.

– Usiądź, Cecylio. Musimy porozmawiać.

Wykonała polecenie.

– Postąpiłaś dziś niewyobrażalnie głupio. Przyniosłaś wstyd naszej rodzinie i będziesz musiała ponieść konsekwencje. Ja się tak staram wychować cię na ludzi, a ty bierzesz przykład z jakiejś prostaczki i ulegasz jej durnym pomysłom. Wiem, że sama nie wpadłabyś na to, ale mimo wszystko muszę cię ukarać.

Dziewczynka spuściła głowę. Czuała się winna i była przekonana, że matka ma rację. Nie próbowała nawet się bronić, bo zasłużyła na pokutę.

– Ukarana będzie także ta Nowakówna, bo nie wyobrażam sobie, żeby dalej mąciła ci w głowie. Już ja się postaram, by ten bękart wyleciał ze szkoły. To nie jest miejsce dla niej.

– Jak to? – wyrwało się Cecylii. – Mamusiu!

– Nie przerywaj mi! Popełniłam błąd, że pozwoliłam jej tu przychodzić. Uwierzyłam ci, że to porządne dziecko i że razem się uczyście. Jak mogłaś uciec z domu?! Okłamać mnie! O nie,

moja panno, nie będziesz samowolnie opuszczała mieszkania podczas mojej nieobecności. Chcę znać każdy twój krok. A żeby głupoty nie chodziły ci po głowie, dodatkowo będziesz ćwiczyła dwie godziny dziennie grę na pianinie. Zaniedbałaś się ostatnio. A ja tyle poświęciłam czasu i pieniędzy, żebyś posiadała umiejętności, które każda panna z dobrego domu powinna mieć.

– Dobrze, mam... Tylko proszę, nie wyrzucaj Bożenki ze szkoły.

– Ja jej nie będę wyrzucać! Porozmawiam sobie tylko z dyrektorką. Opowiem, jakie to ziółko i jaki ma wpływ na porządne dzieci. A teraz marsz do swojego pokoju! Wysprzątaj go! I zdejmij tę brudną sukienkę!

Cecylia wstała, by opuścić kuchnię. W drzwiach zatrzymał ją jeszcze głos matki.

– Nie usłyszałam!

– Co... – Początkowo nie zrozumiała, ale spojrzenie Wandy powiedziało jej wszystko.

– A... Przepraszam, mamusiu!

– I co jeszcze?

– Nigdy więcej nie zachowam się w ten sposób.

– Jaka jesteś?

– Jestem nierozsądna i ulegam złym wpływom.

– Jaka powinnaś być?

– Powinnam zachowywać się jak panna z dobrego domu.

– Możesz iść.

Chciała biec, ale nie wypadało, więc powoli udała się do swojego pokoju. Gdy tam dotarła, pędem wskoczyła na łóżko i przytuliła leżącego na poduszce Pelusza. Wciąż miała w uszach zimny ton głosu matki, który mroził jej serce. Nic dziwnego. Zawiodła ją na całej linii.

Rozdział 10

Po feralnym wydarzeniu Cecylia znów podupała na zdrowiu. Zbliżał się koniec roku szkolnego, a zarazem pożegnanie szkoły podstawowej, dlatego skoncentrowała się na nauce. Musiała zdać dodatkowe testy z kilku przedmiotów, aby otrzymać promocję. Przyjaciółka nie pojawiała się w szkole, nie miały więc możliwości porozmawiać i choć Cecylia miała świadomość gróźb matki, to odsuwała od siebie myśl, że Bożenka faktycznie zmieniła szkołę. Zapytana o to nauczycielka odparła niedbale, że być może Nowakówna jest chora albo wyjechała na wcześniejsze wakacje.

Cecylia tęskniła, ale mając na względzie gniew matki i obietnicę, jaką jej złożyła, nie zdecydowała się iść do domu koleżanki. Ciągłe liczyła na to, że jednak spotkają się w szkole. Dlatego też sama chętniej niż zazwyczaj uczęszczała na zajęcia. Niestety przyjaciółka więcej się nie pokazała.

Pierwszego dnia wakacji ojciec zawiózł Cecylię wraz z matką do Rabki do sanatorium, gdzie spędziły cały miesiąc, korzystając z zabiegów leczniczych i zorganizowanych wycieczek, by poprawić stan zdrowia i jednej, i drugiej. Pomimo że wyjazd sprzyjał zacieśnieniu relacji, wydawało się, że mur raczej rośnie, niż maleje. Większość wolnego czasu spędzały osobno, każda zatopiona w swojej lekturze. Niewiele ze sobą rozmawiały. Dystans, który wytworzył się po pamiętnej wyprawie do Płazy, był nie do pokonania. Cecylia znów zamknęła się w sobie, prawie nie rozmawiając z nikim i nie wychodząc z pokoju, o ile nie była do tego zmuszona. Chętnie nawet nie schodziłaby na posiłki, bo nie czuła łaknienia, ale Wanda naciskała.

Nastolatka z lękiem myślała o końcu wakacji. Miała rozpocząć nowy etap edukacji: gimnazjum. Wprawdzie większość dzieci z jej klasy szła do tej samej szkoły, ale dla Cecylii nie było to pocieszeniem. Chciała spotkać tylko jedną osobę. Nadzieja, że we wrześniu zobaczy Bożenkę, trzymała ją w jako takiej formie.

Pierwszego września Wanda wymogła na córce, żeby założyła białą bluzkę i plisowaną

granatową spódnicę, i poszła z nią na rozpoczęcie roku. Dziewczynka nie odzywała się, tylko czujnie rozglądała wokół, jakby wietrzyła niebezpieczeństwo. Kręciło się jej w głowie i serce biło szybciej. Kiedy zatrzymała się przed budynkiem, matka popchnęła ją lekko w kierunku wejścia.

– Idź! – powiedziała, a potem dodała do siebie: – Skaranie boskie z tym dzieckiem...

Już na schodach dało się słyszeć gwar nastolatków podekscytowanych nowym etapem życia. Cecylii nie udzieliła się ta atmosfera. Wręcz przeraziła ją. Matka obiecywała, że w gimnazjum będzie lepiej, ale dziewczyna jakoś nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

– Załatwiłam ci miejsce w dobrej klasie. Znam wychowawczynię, więc będzie miała cię na oku. I te wszystkie dzieciaki, co to w głowie im głupoty zamiast nauki, nie będą sprowadzały cię na złą drogę. Ty się tylko ucz i wstydu mi nie przynoś – mówiła.

Wandzie wydawało się, że będzie dobrze, tylko jeśli ona się o to postara. Zupełnie nie zdawała sobie sprawy z tego, że pogarsza sytuację córki. W szkole podstawowej dzieci wciąż jej dokuczały także z tego powodu. Dziewczyna nienawidziła tego prowadzenia za rączkę, ale kiedy próbowała interweniować i przekonać matkę, że wołałaby mieć więcej swobody, słyszała:

– Jesteś niewdzięczna! Przecież ja to robię dla ciebie. Sama byś sobie nie załatwiła wszystkiego. Dzięki mnie to okropne dziewczynisko się przeniosło do innej szkoły i dzięki mnie masz świadectwo z paskiem. Tak się staram, żeby cię wszystkiego nauczyć! Och...

Cecylia zaczęła rozpoznawać u matki teatralne gesty. Rodzicielka zawsze podczas podobnych rozmów dotykała dłonią czoła. „Gdzie ja popełniłam błąd? No gdzie?” – zwykle tak kończyła przemowę i wychodziła do kuchni, by napić się wody. Córka wiele razy dawała się na to nabrać, bo ufała, że matka wie, co robi, i chce dla niej najlepiej. Pewnie w jej pojęciu tak właśnie było. Niestety przez to sama musiała zmagać się z demonami. W końcu i tak dochodziła do wniosku, że rodzice mają rację. Nastolatka była zbyt przerażona, by o siebie zawalczyć. Mogła tylko pozwolić, żeby przedstawiali ją jak kukłę z kąta w kąt. Dla niektórych dzieci w szkole to była woda na młyn: uwielbiali drwić z niej, a nauczyciele tylko kiwali głowami z pobłażaniem.

Wanda obiecała córce, że w gimnazjum będzie inaczej. Upewniła się, że żadne z dzieci ze szkoły podstawowej, które jej dokuczały, nie będzie chodzić z nią do klasy. Dziewczyna miała zacząć od nowa.

– Poznasz prawdziwych przyjaciół. Może wreszcie zaczniesz zachowywać się jak normalna nastolatka, nie jak dzikuska.

Ale Cecylia nie miała ochoty poznawać nikogo nowego. Na myśl o tym, że miałyby z kimś rozmawiać, pociły jej się dłonie, choć wizja, jaką roztaczała przed nią matka, była atrakcyjna. Marzyła przecież o normalnym życiu, o przygodach, o spotkaniach towarzyskich, o tym wszystkim, o czym mogła czytać w książkach albo opowiadała jej Bożenka, kiedy jeszcze się spotykały. W snach czasem taka właśnie była – otoczona przyjaciółkami, które patrzyły na nią z podziwem, nie z pogardą. Zawsze towarzyszyła jej Nowakówna. W rzeczywistości jedyna bliska osoba. Na wspomnienie o niej dziewczynka posmutniała. Nie widziały się już tyle czasu. Niejeden raz zastanawiała się, co się dzieje z koleżanką, ale ani nie miała kogo o nią zapytać, ani nawet z kim podzielić się swoimi troskami.

Kiedy Cecylia weszła do nowej klasy, nikt nie zwracał na nią uwagi, co było jej na rękę, więc spokojnie zajęła jedną z wolnych jeszcze ławek. Wychowawczyni przedstawiła się, przeczytała listę obecności i rozdała plan lekcji. Na szczęście wszystko trwało bardzo krótko.

Wanda czekała na córkę przed szkołą.

– I co? Fajna klasa?

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Co mogła powiedzieć po tych kilku chwilach?

– Nie odezwałaś się ani razu?

Znów wzruszyła ramionami. To rozzłościło Wandę, która chwyciła córkę za rękę.

– Hola, droga panno. Kiedy zadaję pytanie, masz mi odpowiedzieć. Wiesz, jak nie znoszę twojego milczenia. Doprowadza mnie do szału. I do choroby... – dodała ciszej.

– Przepraszam – wyszeptała tak cicho, że bardziej można było domyślić się, co mówi, z ruchu warg, niż usłyszeć.

Rzeczywiście odzywała się niezwykle rzadko. Słowa były zbędne, skoro i tak nikt nie rozumiał, co dzieje się w jej wnętrzu. W szkole odpowiadała na lekcjach tylko wtedy, gdy wyobrażała sobie, że jest kimś innym. Potrafiła zobaczyć siebie z boku siedzącą w ławce i odpowiadającą na pytania nauczyciela. Była na to gotowa. Ale kiedy ktoś ją zaczepiał, zagadywał – milczała. Lęk, który wtedy ogarniał jej ciało, paraliżował usta, a ona cały wysiłek skupiała na tym, by nie zemdleć albo nie uciec, więc stała wpatrzona w ziemię. Niektórzy rezygnowali, szepcząc coś pod nosem, inni wołali koleżanki i naśmiewali się z niej.

– Świruska! Patrzcie, jaka niemota! Albo debil... – Wielu wyzwick nasłuchiwała się przez te sześć lat szkoły podstawowej.

Nie spodziewała się, żeby w gimnazjum było inaczej. To raczej kwestia czasu, aż znów przylgnie do niej łaska osoby nienormalnej.

Przez pierwsze dni w szkole było w porządku. Dzieci nawiązywały znajomości, niektóre znały się już wcześniej, lecz nikt nie był zainteresowany Cecylią. Robiła to, co do niej należało, a zaraz po lekcjach z ulgą wracała do domu. Wcześniej czy później musiało jednak dojść do sytuacji, która wymknęła się spod kontroli. Wyobcowane dziecko w klasie jest doskonałym obiektem żartów innych kolegów, jednak dopóki przesadnie nie reaguje, nawet nauczycielka nie ma powodu, by interweniować. Któregoś dnia niewinna zabawa przerodziła się w konflikt, którego rozmiary zaskoczyły samych żartownisiów.

Zbliżał się koniec października. Szkoła zorganizowała w czasie lekcji imprezę halloweenową z przebraniami. Cecylia nawet nie powiedziała o tym rodzicom, bo nie zamierzała się wygłupiać razem z innymi. Przyszła więc zwyczajnie ubrana. Większość uczniów miała przynajmniej jakiś atrybut: wampirze zęby, pajęczynę wymalowaną na twarzy czy trupi makijaż. Rówieśnicy byli rozbawieni, tylko jedna Cecylia koncentrowała się na lekcji angielskiego. W pewnym momencie któryś z chłopców podszedł do jej ławki i usiadł na blacie, częściowo przysłaniając zeszyt dziewczyny.

– A gdzie twoje przebranie? – zapytał.

Wzruszyła ramionami. Próbowwała wyciągnąć notatnik, ale specjalnie tak go przygniatał, by zwrócić na siebie jej uwagę.

– E no, musisz być przebrana. Tak jak my wszyscy, bo inaczej zrobimy ci psikusa. *Trick or treat.*

– W tej zabawie nie chodzi o przebranie, a o słodycze – odpowiedziała całkiem poważnie.

– Nie chcę od ciebie słodyczy, tylko żebyś była jak cała klasa. Dziewczyny zrobią ci makijaż, co?

– Nie chcę.

– A powinnaś... – Odstąpił od dziewczyny i wrócił do swojej ławki. Cecylia obejrzała się za siebie, ale chłopak wydawał się już nią nie interesować. Wróciła do pisania zadania, które nauczycielka chwilę wcześniej zadała, a teraz siedziała przy biurku wpatrzona w książkę, zupełnie nie zważając na to, co dzieje się w klasie. Nie byli głośno, a to, że część osób chodziła po sali, w ogóle jej nie przeszkadzało.

Nagle rozległ się przeraźliwy krzyk. Wszyscy zwrócili głowy w kierunku Krzeczpińskiej, która w przerażeniu machała rękami, jakby chciała coś z siebie zrzucić, jednak nikt nie dostrzegł, z czym tak naprawdę walczy. Nie przestawała wrzeszczeć. Nauczycielka poderwała się zza

biurka i podbiegła do spanikowanej Cecylii. Ta jednak wydawała się nieobecna i nie reagowała na pytania. Nieoczekiwanie rozemocjonowana wybiegła z klasy. Ruszyła korytarzem w kierunku schodów, a nimi na parter i dalej na zewnątrz. Nauczycielka chwilę się wahała, czy zostać z klasą, czy biec na pomoc uczennicy, która wyraźnie straciła nad sobą kontrolę. Zdecydowała się jej pomóc, bo dziewczyna pod wpływem hysterii mogła zrobić sobie krzywdę. Kobieta zostawiła więc klasę bez nadzoru, rzucając w przelocie polecenie, by wszyscy zachowali spokój i nie robili głupot. Gdy znalazła się na zewnątrz, od razu usłyszała klakson i pisk opon, a potem głuchy odgłos uderzenia. Serce jej zamarło, gdy w głowie zaświtała myśl, że Cecylia wpadła pod samochód.

Anglistka pobiegła co sił w nogach przed siebie, zatrzymując się przy ulicy. Krzepczyńska na szczęście była już po drugiej stronie. Z samochodów, które musiały się zatrzymać, by uniknąć uderzenia jej, wysiedli ludzie. Nerwowa atmosfera udzieliła się wszystkim. Młoda kobieta w garsonce krzyczała do kierowcy drugiego samochodu:

– Co pan robi?! Jak można hamować na środku drogi?! Wzywam policję! Zapłaci pan za tę szkodę!

Kierujący autem, pod którym o mały włos nie znalazła się Cecylia, mężczyzna w średnim wieku, tłumaczył:

– To dziecko wskoczyło mi pod koła! To pani córka? Jezu! Mogłem ją zabić! – zwrócił się do świadka, a potem do kierowcy auta, z którym doszło do kolizji: – Uspokój się, kobieto! Słuczka nie słuczka, dobrze, że nie zabiłem człowieka!

Nauczycielka już ich nie słuchała. Przedostała się na drugą stronę jezdni i podeszła do Cecylii, która nagle całkowicie opadła z sił. Usiadła na chodniku i podkuliwszy nogi pod brodę, objęła je rękami i spuściła głowę. Anglistka pochyliła się nad nią i położyła jej dłoń na plecach.

– Już dobrze – powiedziała, zamiast pytać, co się stało.

Nie doczekała się żadnej reakcji. Przynajmniej Cecylia była bezpieczna.

– Chodź, wrócimy do szkoły, a potem zadzwonimy po twoich rodziców. – Chwyciła Krzepczyńską za rękę.

Dziewczyna wstała z ociąganiem. Dała się poprowadzić do budynku, jednak na parterze zaprotestowała. Nie zamierzała iść na piętro do klasy.

Kiedy nauczycielka uznała, że uczennica się uspokoiła, zostawiła ją w sekretariacie, a sama poszła do klasy, by sprawdzić, co tam się dzieje. Nie wolno jej było opuszczać podopiecznych nawet na chwilę. Kiedy szła po schodach, zadzwonił dzwonek. Sprawdziła więc tylko, czy nikt na nic się nie uskarża, i poszła do pokoju nauczycielskiego, by porozmawiać z wychowawczynią. Nadal nie wiedziała, co wydarzyło się przed kilkunastoma minutami.

Z sekretariatu zadzwoniono do matki Cecylii, która zobowiązała się przyjść po córkę najszybciej, jak mogła. Pomimo że dziewczyna sama wracała ze szkoły, tym razem nie wypuszczono jej, nie ufając, że napad hysterii minął.

– Nie wytrzymam dłużej! Przecież ja przez ciebie zwariuję. Albo się rozchoruję i umrę. Może wtedy zrozumiesz, jaką krzywdę mi robisz! – krzyczała Wanda, kiedy obie znalazły się już w domu.

Cecylia zatykała dłońmi uszy. Głos matki wwiercał się w jej umysł niczym świder. Czowała, jak rozsadza jej czaszkę. Chciała uciec, ale nie miała dokąd. W swoim pokoju, jedynej ostoi, która zazwyczaj dawała ukojenie, rzuciła się na łóżko i przykryła głowę kołdrą. Matka pobiegła za nią i krzycząc, próbowała zerwać nakrycie.

– Nie będziesz się chować przede mną! Słyszysz?! Ja cię oduczę takiego zachowania!
– Szarpała pościel.

Dziewczyna czuła, że jej uchwyt słabnie. Walczyła nie tylko z matką. Także ze sobą.

Z całych sił chciała opanować mgłę, która zachodziła jej na oczy. Zaciskała powieki i powtarzała w myślach: Nie zemdlej! Nie zemdlej! Po chwili usłyszała, że matka wybiega z pokoju, szlochając. Dała jej wreszcie spokój.

Kiedy w domu zaległa cisza, Cecylia powoli wynurzyła się spod kołdry. W oddali słyszała płacz matki dochodzący z jej sypialni. Im dłużej tego słuchała, tym bardziej robiło jej się przykro. Pomyślała, że mamie musi być z nią ciężko. Nie była łatwym dzieckiem. Przede wszystkim nie spełniała oczekiwań. Wiele razy słyszała, że inne matki są dumne ze swoich córek, a Krzeczkińska nie ma się czym pochwalić. Cecylia ani nie została baletnicą, ani nie występuje w szkolnych przedstawieniach, nie uprawia sportów, nie zagra publicznie koncertu, choć po wielu latach nauki gry na fortepianie radzi sobie całkiem nieźle. Nie nadaje się do niczego. Matka miała rację, złościąc się na niewydarzoną córkę.

Krzeczkiński po powrocie z pracy porozmawiał chwilę z Wandą, a potem stanął w progu pokoju córki i spojrzał na nią ze smutkiem w oczach. Nie musiał nic mówić. Rozumiała go bez słów. I tym bardziej zrobiło jej się przykro. Ojciec chciałby jej pomóc, ale nie wiedział jak. Nie rozumiał córki. Nic dziwnego, bo ona sama siebie nie rozumiała. Wiedziała, dlaczego wpadła w histerię, ale nie potrafiła wytłumaczyć, dlaczego reakcja była aż tak nasilona. Nastolatka nienawidziła pajaków. Bała się ich bardziej niż jakiegokolwiek innego robactwa, a ten chłopak w klasie bardzo ją nastraszył. Myślała, że dał jej spokój, kiedy odmówiła malowania twarzy, on jednak przesłał jej karteczkę, na której napisał, że skoro nie zgadza się na makijaż z pajakiem, to zostawił jej na włosach żywego. Nie zastanawiała się wtedy, czy to prawda. Po prostu poczuła, że coś po niej chodzi. Wszystko zaczęło ją swędzieć, jakby nie jeden, a całe stado stawonogów oblażyło jej ciało. Potem nie pamiętała już nic, do czasu gdy siedziała na chodniku po drugiej stronie jezdni. Nauczycielka powiedziała, że niemal wpadła pod samochód, ale tego akurat nie mogła sobie przypomnieć.

Może dobrze by się stało, gdyby mnie ten samochód zabił, pomyślała.

Choć ojcu było jej żal, nie mógł pozwolić na to, by córka dokładała zmartwień matce. Wanda przeżywała to, że nie radzi sobie z dzieckiem. Od zawsze była kobietą doskonałą. Niestety urodziła niedoskonałe dziecko i nie mogła się z tym pogodzić.

Kiedy ojciec wrócił do sypialni żony, Cecylia podsłuchiwała rozmowę rodziców.

– Gdyby chociaż wiadomo było, co się z nią dzieje, dlaczego taka jest...

– Byłaś z nią przecież u lekarza. Mówił, że wyrośnie, że wrażliwa jest... Może jeszcze trochę czasu potrzeba.

– Nie widzisz, że ona dziczeje coraz bardziej? Jestem pewna, że robi mi na złość, że mogłaby zachowywać się inaczej, ale nie chce.

– A może to jakaś choroba psychiczna?

– Co za bzdury opowiadasz! W życiu! Moje dziecko nie jest chore na głowę! Popełniliśmy błąd, że nie dostała pasem, kiedy pojawiły się pierwsze wybryki. No ale mówiło się, że to zła metoda, że szkodzi dziecku. Ty nie dostawałeś od ojca lania, kiedy coś przeskrobałeś?

– Dostawałem, a jak.

– No i wyrosłeś na ludzi. A teraz niby nowe metody wychowania. Daliśmy się omamić i mamy efekty.

– Nie zaczniemy jej przecież bić.

– No nie zaczniemy – westchnęła Wanda. – Nawet nie wiem, jaką karę jej wymyślić. Szlaban na wyjścia jest jej na rękę, kieszonkowego nie potrzebuje, bo nie wychodzi z domu i nie ma zainteresowań – wyliczała. – Dodatkowe obowiązki są dobre, ale to nic nie zmienia w jej zachowaniu.

Zamyślili się. Oboje czuli się w gruncie rzeczy bezradni. Marian ufał, że żona znajdzie dobre rozwiązanie. Wanda natomiast zaprzeczała, by z córką był jakikolwiek problem, który wymagałby pomocy specjalisty, uważając, że jej zachowanie wynika wyłącznie ze złej woli. Problem w tym, że na niesforne dziecko zazwyczaj działają kary, a na Cecylię nie było sposobu. Ani kij, ani marchewka nie były dla niej motywujące. Strategie stosowane przez Wandę w pracy zupełnie nie przystawały do sytuacji w domu. A to, że nie potrafiła zarządzać jedną dziewczynką, podczas gdy kilkunastu podwładnych chodziło jak w zegarku, było frustrujące.

– Już ja coś wymyślę – zamknęła temat i wyszła do kuchni.

Córka nie usłyszała ostatniego zdania, gdyż podsłuchana rozmowa rodziców wystarczająco ją przygnębiła. Wróciła do łóżka. Kolejny raz zastanawiała się, co z nią jest nie tak. Może faktycznie jest chora? Nie do końca zdawała sobie sprawę, co oznacza choroba psychiczna, ale nie brzmiało to dobrze. Rodzice byli przygnębieni, kiedy o tym rozmawiali, więc z pewnością było to coś poważnego.

Rozdział 11

Kiedy kolejny raz okazało się, że Cecylia nie jest w stanie spędzić dnia w szkole, matka zdecydowała, że wystąpi o możliwość prowadzenia edukacji domowej dla córki. Namówiła ją do tego dyrektor szkoły, która była świadkiem napadu lęku u Cecylii. Naukę w domu dziewczyna miała zacząć od drugiej klasy, ale zanim to nastąpiło, rozpoczął się cykl wizyt w poradni pedagogiczno-psychologicznej i niekończące się testy.

– Czy państwo sami zamierzają uczyć córkę? – zapytała pedagog na pierwszej wizycie.

– Opłacę najlepszych nauczycieli i sama będę kontrolować postępy. Jak zawsze zresztą.

– Zdaje sobie pani sprawę z tego, że to duże wyzwanie? Córka i tak będzie musiała zdawać test kwalifikacyjny na koniec roku, żeby dostać promocję do następnej klasy.

– Oczywiście! Pani pedagog, gdyby ona była inna, to ja bym wolała, żeby chodziła do szkoły, ale walczę z tym od tylu lat, a ona nic. Jak na złość jest coraz gorsza.

– Pani Krzeczynska, przebadamy córkę i wydamy opinię. Nie wiem jeszcze, gdzie leży problem, bo mam jedynie opinie dyrektora szkoły i wychowawcy, ale już teraz mogę powiedzieć jedno: dzieci są różne, ale nigdy gorsze. Łatwiej radzić sobie z problemami, kiedy się je zaakceptuje, a nie walczy z nimi.

– Źle się wyraziłam, ale...

– Umówimy się na kolejne spotkanie i wtedy porozmawiamy. Najpierw musimy zbadać dziecko. – Pedagog ucięła rozmowę, nie pozwalając Wandzie wylewać żali.

– Ale czy uzyskamy zgodę na naukę w domu?

– Za wcześnie, by wyrokować. Przemawia za tym to, że dyrektor zgodził się objąć Cecylię nadzorem. Proszę czekać na opinię.

Wanda zaakceptowała fakt, że jej córka będzie uczyć się w domu. A niech siedzi w pokoju tyle, ile chce, myślała, machając przy tym ręką na znak rezygnacji.

Wszystkie jej wysiłki szły na marne. Sama czuła się już silna i gotowa do pracy w pełnym wymiarze. Brakowało jej adrenaliny związanej z atmosferą banku, możliwości wykazania się jako szef oddziału, zarządzania ludźmi. Sytuacja na rynku pracy nie była jednak dobra. Zbyt wielu młodych wykształconych ludzi poszukiwało zatrudnienia. Oprócz doskonałych szkół, znajomości kilku języków dysponowali czasem. Młode wilki bez zobowiązań rodzinnych były w cenie. Wanda nie zamierzała jednak oddawać im pola. Miała świadomość swojej siły, doświadczenia i doskonałej znajomości środowiska bankowego. Prowadzona przez ostatnie lata działalność gospodarcza miała swoje plusy i minusy. Dawała jej swobodę i elastyczny czas pracy, ale i stresowała brakiem stabilizacji, niepewnością finansową i zmienną liczbą zleceń, których raz było tak wiele, że kobieta nie była w stanie wziąć wszystkich, a innym razem przez

miesiąc nie spłynęło żadne. Od znajomej z byłej pracy dowiedziała się, że szykują kolejne zmiany. Cały stary zarząd został przeniesiony do centrali, a oddział w Chrzanowie miał trafić się w ręce nowego prezesa – człowieka, którego Wanda знаła, choć ich kontakt był sporadyczny. I kiedy zastanawiała się, w jaki sposób znów zdobyć pracę w banku, spotkała Krzysztofa Zarębskiego w kwaciarni.

– Dzień dobry, pani Wando!

– Dzień dobry! Co słychać?

– A w porządku, w porządku. Widzę, że pani tryska zdrowiem. To dobrze, dobrze...

– Dziękuję. Już wszystkie kłopoty minęły. Na szczęście. A co u małżonki?

– Moja Krysia niedomaga ostatnio. Choruje na astmę. Powinna wyjechać gdzieś do uzdrowiska. Świeże górskie powietrze pewnie dobrze jej zrobi. Może wie pani, gdzie najlepiej się wybrać?

– A wiem. Bywałam w Rabce. Polecam gorąco. Jest tyle...

Zarębski spojrział za zegarek i zreflektował się, że już dawno powinien wrócić na spotkanie.

– Przepraszam, pani Wandeczko, przyjemnie się rozmawia, ale muszę już lecieć. Chciałbym jeszcze porozmawiać o tym sanatorium. Może któregoś dnia moglibyśmy...

– Mam świetny pomysł! – przerwała mu, bo nagle w głowie zaświtał jej plan.

– Zapraszam państwa do nas na kawę. Może w sobotę po obiedzie? Z przyjemnością poopowiadamy o kurorcie. Moja córka też coś doda, bo byliśmy tam razem. Serdecznie zapraszam!

Zarębski podziękował i zapewnił, że z przyjemnością skorzystają z zaproszenia. Ukłonił się nisko i odszedł.

Wanda gratulowała sobie w duchu świetnego posunięcia. Pod pretekstem prywatnego spotkania ściągnie mężczyznę do domu, ugości ciastem oraz kawą, a potem niby od niechcenia zapyta o pracę w banku. Kiedy powie jej o nowym naborze, napomknie, że właściwie mogłaby wrócić do pracy na etacie. Zdecydowanie dobrze radzi sobie w domu, ale bank w czasie reorganizacji zapewne potrzebuje ludzi z takim jak ona doświadczeniem, więc byłaby skłonna zrezygnować ze swej niezależności.

Plan wydawał się doskonały i pewnie by się powiódł, gdyby nie wydarzenie, które miało miejsce kilka dni później.

– Ja zwariuję z tą dzikuską!

– Uspokój się, kochanie. Nie powinnaś się denerwować. – Marian próbował opanować sytuację, ale Wanda tak się przejęła, że trudno było ją uspokoić.

– Jak ja mam być spokojna, kiedy ona doprowadza mnie do szału?! Tak mi zależało, żeby wszystko wypadło normalnie, to nie: ona musiała zrobić przedstawienie!

Mężczyzna położył dłoń na ramieniu żony, delikatnie je ściskając. Dotknęła jego ręki i zamilkła. Patrzyła na córkę z wyrzutem, więc Cecylia spuściła wzrok. Nie mogła nic poradzić na to, że ta dziewczyna pojawiła się tak niespodziewanie.

– Ja się poddam. Zamknę ją w jakimś zakładzie dla obłąkanych. Będzie żyła tak, jak się zachowuje! – Chwyciła się za głowę, jakby nagły ból przeszył jej skroń. Wstała i wyszła z pokoju.

Cecylia mierzyła się z ojcem wzrokiem.

– Kochanie, co się tam wydarzyło? – zapytał niepewnie.

Milczała.

– Wiesz, jak ważne dla mamy było to spotkanie. Uprzedzała cię, że przyjdą goście. Pan Zarębski ma być nowym dyrektorem banku, a jej zależy na tym, żeby otrzymać tam pracę. Jest

bardzo wielu chętnych na to stanowisko. Zresztą i on, i jego żona sprawiają wrażenie bardzo miłych osób. Więc co się stało, że tak nagle zaczęłaś wrzeszczeć i uciekać?

Co miała odpowiedzieć? Czy jej zachowanie dało się wytłumaczyć? Sama nie rozumiała, dlaczego widok gości zadziałał na nią w ten sposób. Nie, nie chodziło o państwa Zarębskich. Przyszli z córką. Cecylia знаła ją z widzenia, gdyż dziewczyna chodziła do klasy rok wyżej. Przyjaźniła się z koleżankami z jej klasy. Kiedy Cecylia weszła do salonu, gdzie siedzieli goście, a starsza gimnazjalistka od niechcenia podrzuciła Pelusza, właścicielka maskotki poczuła, jakby jakaś pętla zaciskała się na jej szyi. Pojawiło się zagrożenie, któremu nie była w stanie zapobiec. Stała na środku i krzyczała. Tak przynajmniej mówił jej ojciec, bo ona nie pamiętała. Córka Zarębskich wypuściła maskotkę z ręki, a Cecylia uciekła do swojego pokoju. Zamknęła drzwi i schowała się pod kołdrę. Matka nie zdążyła jej przedstawić gościom, z ręki natomiast wypadła jej cukiernica, a drobne kryształki rozsypały się po dywanie. Cecylia nie wiedziała, co działo się potem, ale zważywszy na to, że nie upłynęło zbyt dużo czasu, gdy usłyszała trzaśnięcie drzwi, wizyta raczej się nie udała. Późniejsza furia Wandy to potwierdziła.

Kobieta wpadła do pokoju córki, krzycząc, że ta chce ją wpędzić do grobu. Zdarła z niej kołdrę. Zaczęła tarmosić przerażoną Cecylię. Marian w końcu ją powstrzymał i posadził na krześle.

Teraz płakała w kuchni. Słyszeli jej szloch. Mąż niepewnie spoglądał w tamtym kierunku, jednak nie opuszczał pokoju córki.

– Proszę cię, daj sobie pomoc. Jeśli coś się dzieje, powinniśmy pójść do lekarza. Chcesz porozmawiać z kimś o twoich problemach?

Pokręciła przecząco głową.

– Może jednak? Czy uważasz, że wszystko jest w porządku? Nie rozumiem, co się stało tam w salonie.

Cecylia też nie rozumiała. Teraz nie czuła tego lęku, który obezwładnił ją wcześniej. Nie wiedziała, czy bardziej przeraziłaby się, gdyby zobaczyła potwora. To ta dziewczyna była dla niej potworem. Najgorszym koszmarem. Dlaczego? Nie potrafiła znaleźć odpowiedzi na to pytanie, ale nawet teraz, gdy się nad tym zastanawiała, czuła, jak cierpnie jej skóra.

– Nie chcesz ze mną rozmawiać?

Znów pokręciła głową.

– Dobrze. Odpocznij. Idę do mamy.

Cecylia zacięła się i znów przez kilka tygodni nie odzywała do nikogo. Nigdzie nie wychodziła, nie uczyła się. Większość czasu spędzała w łóżku.

Tymczasem przyszła wiadomość z poradni, że zakwalifikowano ją do nauczania domowego. Od nowego roku mogli rozpocząć naukę w tym systemie. Trzeba było tradycyjnie zakończyć bieżący semestr. W końcu Cecylia zaczęła odrabiać zadania, rozwiązywać ćwiczenia i przygotowywać się do końcowych sprawdzianów, by otrzymać promocję do następnej klasy. Liczyła, że nie tylko nie dopadnie jej bliżej nieokreślony lęk, ale i odzyska mowę.

I tak też się stało. Na kilka dni przed wyznaczonym terminem, jak gdyby nigdy nic, weszła rano do kuchni i poprosiła o płatki. Matka zatrzymała się i spojrzała na nią uważnie.

– Co powiedziałaś?

– Poprosiłam o płatki, które stoją koło ciebie. Nie chcę przeszkadzać, a jestem głodna.

– Cecylia, dlaczego to robisz? Rozmawiałam z psychologiem. Mówił, że możesz mieć jakieś blokady, ale ja nic z tego nie rozumiem.

– Nie wiem, mamo. Czasem chcę coś powiedzieć, ale jakby impuls z mojego mózgu do ust się zablokował. Nie potrafię wtedy wydobyć głosu, choć w myślach mówię do was cały czas. Innym razem to, co myślę, wychodzi na wierzch. Jak teraz. Ja naprawdę nie robię tego specjalnie.

Nagle stało się coś niespodziewanego dla nich obu. Cecylia podeszła do Wandy i przytuliła się do niej. W pierwszej chwili matka chciała się odsunąć. Zesztywniała, ale za moment również objęła córkę ramieniem.

– Przepraszam, mammo.

Kobieta gładziła jej plecy. Cecylia kochała ją w tej chwili. Rodzicielka nie miała do niej o nic pretensji, nie próbowała jej zmieniać. Po prostu przytulała ją i milczała.

– Och, już tak późno. Muszę lecieć do pracy! – Wanda zerwała się, gdy spojrzała na wiszący na kuchennej ścianie zegar.

Cecylia patrzyła, jak krząta się po przedpokoju, by za chwilę chwycić torebkę i wybiec z mieszkania. Było tak normalnie, spokojnie i bezpiecznie.

Tydzień później dziewczyna pisała testy z trzech przedmiotów w gabinecie pani dyrektor, bo klasa sprawdziany miała już kilka dni wcześniej. Kobieta zachęcała ją dobrotliwym uśmiechem i pilnowała, by nikt nie zakłócał jej spokoju. Cecylia czuła się odprężona, więc z łatwością przelewała wiedzę na papier.

– Poszło ci doskonale! Jestem dumna z pracy, którą wykonałaś – chwaliła ją w obecności matki, gdy przyszły poznać wyniki. – Nie jest łatwo uczyć się w domu, nawet gdy się ma najlepszych pedagogów. Zapamiętaj to, bo od przyszłego roku tak właśnie będzie.

– To może jednak pójdziesz normalnie do szkoły w drugiej klasie? – Wanda miała nadzieję, że wszystkie problemy minęły, ale musiała zobaczyć coś we wzroku córki, bo szybko wycofała się z tego i stwierdziła, że dobrze będzie skorzystać z alternatywnych możliwości.

Cecylia nie miała nic przeciwko ciężkiej pracy, ale nie chciała wracać do szkolnej ławki, stawiać czoła znienawidzonej przez nią klasie, narażać się na ciągłe docinki i poszturchiwania.

– Ale potem musimy to zmienić. Pójdziesz na terapię. Będziesz miała regularne spotkania z psychologiem. I zaczniesz chodzić normalnie do liceum. Musisz zacząć integrować się z ludźmi. Niedługo wejdiesz w dorosłe życie, a ja nie będę mogła cię wiecznie niańczyć. Co zrobisz, kiedy nas zabraknie? Kto będzie znosił twoje fanaberie? – Matka znów mówiła tym swoim władczym i nieznoszącym sprzeciwu tonem, który sprawiał, że Cecylia kurczyła się w sobie i czuła, jakby ledwo odrosła od ziemi.

Przez ciało przeszedł jej znajomy dreszcz. Niebezpieczeństwo czaiło się gdzieś za rogiem. Jeszcze nie wiedziała za którym, ale jego zapach był wyczuwalny w powietrzu. Na szczęście udało jej się w porę opanować drżenie i odwrócić myśli, skupiając je na pierwszej lepszej książce, którą wzięła z półki. Był to podręcznik do biologii. Rzuciła okiem na rozdział o układzie nerwowym. Zastanowiła się przez chwilę, czy jej mózg nie szwankuje, skoro nie potrafi opanowywać emocji. Może faktycznie jestem nienormalna? – pomyślała i zamknęła podręcznik.

Rozdział 12

Wanda, pomimo niefortunnego zdarzenia podczas wizyty państwa Zarębskich, otrzymała pracę. Wprawdzie liczyła na etat, ale firma wolała korzystać z jej usług na zasadzie zewnętrznego eksperta niż pracownika. Nie mogła narzekać, bo otrzymała zryczałtowaną stawkę miesięczną i określony pakiet zadań. Takie rozwiązanie było nawet lepsze, gdyż z jednej strony dawało względną stabilizację, a z drugiej – Wanda zachowywała niezależność. Przyjęła tę propozycję bez wybrzydzenia. Z Krzysztofem Zarębskim utrzymywała dobry kontakt, jednak nigdy nie poruszali spraw rodzinnych, ograniczając się do rozmów wyłącznie na tematy zawodowe. Odbierała to jako współczucie. Sama postrzegała siebie jako tę, która na co dzień musi zmagać się z dużym problemem w domu: chorą na nie wiadomo co córką. A właściwie nie z chorą, tylko z rozkapryszoną i złośliwą, która uparła się uprzykrzyć jej życie.

Cecylia potrafiła tygodniami nie opuszczać mieszkania. Czasem już samo patrzenie przez otwarte okno napawało ją poczuciem osaczenia, napierania na nią przez obcy i wrogi świat.

Bywały też lepsze dni. Wówczas godziła się pójść z ojcem na spacer do parku. Śmiali się wtedy radośnie, czas stawał w miejscu, a wszystkie problemy tego świata zostawały gdzieś daleko.

Przez kolejne dwa lata gimnazjum system nauki polegał na indywidualnych spotkaniach Cecylii z nauczycielami w domu Krzepczyńskich. Wszyscy przywykli, że dziewczynka jest spokojna, zamknięta w sobie i niewiele się odzywa. Intelktualnie była bardzo dobrze rozwinięta i zadane prace odrabiała na najwyższym poziomie. Tak też było, jeśli chodzi o test kwalifikacyjny na koniec roku. Był to jedyny egzamin w semestrze, na którym musiała pojawić się w szkole. Praktycznie miesiącami nie spotykała rówieśników. Ani oni za nią nie tęsknili, ani Cecylii takich kontaktów nie brakowało. Może poza jednym: z Bożenką. Wiele razy myślała o przyjaciółce. Zastanawiała się, co się z nią dzieje. Kilka razy pytała o to ojca, ale on rozkładał bezradnie ręce. Dzwoniła do koleżanki, lecz telefon zazwyczaj pozostawał głuchy. Raz ktoś odebrał i odpowiedział, że to pomyłka, bo żadni Nowakowie tam nie mieszkają. Nie wiedziała, jak dotrzeć do Bożenki. Nie była pewna, czy w ogóle odważyłaby się na takie poszukiwania.

Wydawałoby się, że wszystko jest w porządku, jednak nauczyciel polskiego zwrócił uwagę na charakterystyczne wątki, które przewijały się w wypracowaniach Cecylii. Bez względu na tematykę wypowiedzi podświadomie przemyciała swoje lęki oraz tęsknotę za bliskością drugiej osoby i poczuciem bezpieczeństwa. Często pojawiał się motyw utraconego przyjaciela i złej czarownicy. Wypracowania pisane były pięknym językiem, stylistycznie i ortograficznie poprawnie. Bogactwo form językowych i łatwość snucia opowieści pozostawały w kontraście do zachowania dziewczynki, która komunikowała się głównie monosylabami. Jednak jej wypowiedzi pisemne tak bardzo różniły się od prac rówieśników, że nauczyciel postanowił je z kimś omówić. Jego żona – psycholog – po zapoznaniu się z tekstami zaproponowała Cecylii spotkanie.

– Pani Kasia jest naszą szkolną psycholog, ale ma też własny gabinet. Jest bardzo miła i chciałaby cię poznać. Może i ty miałabyś ochotę? Na początek możesz przyjść do szkoły.
– Polonista przekazał dziewczynce informację.

Cecylia się zamyśliła. Widywała się z psychologami w poradni, choć nigdy nie odczuwała potrzeby kontaktu ze specjalistami. Nauczyciel wyjaśnił jej, że to osoba, przed którą można się wygadać, opowiedzieć o wszystkim, nawet o tym, czego się boi, że psycholog jej nie wyśmiej, nie zacznie pouczać ani nie będzie się gniewał. Na tym właśnie polega jego praca. Propozycja zaintrygowała ją.

– Ale ja bym nie chciała iść do szkoły... – wyjawiała.
– W takim razie mogę dać ci adres gabinetu, ale musiałabyś mieć zgodę mamy.
– A może być taty?
– Oczywiście. Tu masz numer telefonu. Kiedy będziesz gotowa, zadzwoń i się umówicie.
– Zapisał na okładce zeszytu cyfry.

Wkrótce Cecylia rozpoczęła spotkania z psychologiem. Początkowo czuła się bardzo spięta, żałowała, że się zgłosiła, ale pani Kasia rzeczywiście okazała się bardzo ciepłą i otwartą osobą. Nie zmuszała jej do mówienia ani nie ganiła za to, o czym nastolatka zdecydowała się powiedzieć. Trzeba było wielu spotkań, by zyskała zaufanie dziewczynki, ale się udało. W końcu stała się jej powierniczką, a do tego nauczyła wielu technik, jak radzić sobie w sytuacjach kryzysowych.

Jednym z wyzwań był kolejny rok szkolny. W nowej szkole. Cecylia miała wrażenie, że to powtórka z wątpliwej jakości rozrywki. Tym razem na rozpoczęcie roku w liceum szła sama, by nie prowokować nowych kolegów i koleżanek do śmiechu, że trzyma się maminej spódnicy. Psycholog przygotowała ją na ten dzień. Nauczyła, jak radzić sobie, kiedy wzbiera w niej lęk albo znajdzie się w niekomfortowej sytuacji. Dziewczyna była zadowolona, że zdecydowała się

na spotkania ze specjalistą. Doceniała fakt, że może komuś opowiedzieć o swoich myślach i lękach. Komuś, kto nie neguje jej uczuć i akceptuje ją taką, jaka jest. Dało jej to siłę, by walczyć ze słabościami i pomóc zrozumieć siebie. Zdawała sobie sprawę, że jest, jaka jest – ani lepsza, ani gorsza. I nie musi spełniać niczyich ambicji. Uzbrojona w nową wizję siebie, ruszyła do szkoły.

Młódzież nadal nie zwracała uwagi na Cecylię, ale ona odbierała to w inny sposób niż do tej pory. Tu nikt jej nie traktował jak powietrze. Po prostu nie interesowali się tym, co robiła. Możliwe, że ona też inaczej odbierała rówieśników. Nie bała się już, kiedy ktoś do niej zagadnął czy usiadł obok w ławce. Z czasem koledzy i koleżanki z klasy zrozumieli, że Cecylia nie jest zbyt rozmowna i nie mają wspólnych tematów, ale zwracali się do niej z szacunkiem.

– Pójdiesz z nami po lekcjach na bilard?

– Nie, dzięki, wracam do domu.

– Okej. Jeśli zmienisz zdanie, znajdziesz nas w Bili.

Tak wyglądały rozmowy z rówieśnikami. Bez emocji, szyderstwa czy żartów. Zazwyczaj Cecylia odmawiała, ale pewnego razu się przemogła i zajrzała do tak popularnego wśród młodzieży klubu.

Niepewnie zeszła po wąskich stromych schodkach do umieszczonego w piwnicach lokalu, zastanawiając się, czy dobrze robi. Rozważała, po co właściwie tam idzie. Jednak coś ją ciągnęło do tego miejsca. Wewnętrzny głos podpowiadał, że musi się odważyć. Otworzywszy ciężkie drzwi, stanęła w progu, rozglądając się za miejscem, w którym mogłaby się ukryć. W lokalu znajdowały się dwa stoły bilardowe oświetlone nisko zawieszonymi lampami. Kręciła się przy nich grupka znajomych osób. „Znajomych” było pojęciem użytym na wyrost, bo ledwie mogła określić, kto chodzi z nią do szkoły, a kogo widzi po raz pierwszy. Tylko kilku osobom potrafiłaby przypisać nazwiska. W przeciwnej do wejścia części klubu znajdował się bar, który o tej porze raczej nie cieszył się zainteresowaniem. Stałaby w drzwiach pewnie dłużej, gdyby nie jakaś para, która również chciała wejść do lokalu i zmusiła ją, by przestała tarasować przejście. Zeszła więc kolejne dwa schodki i znalazła się w świetle halogenów. Podświadomie owinęła się kurtką, jakby zrobiło się zimno. Jej wzrok padł na stoliki pod ścianą, gdzie przyćmione światło dawałoby jej odrobinę intymności, jednak już ktoś tam był.

Spojrzała na dziewczynę opartą o stolik. Jej twarz wydała się znajoma, ale Cecylia nie mogła skojarzyć. Nagle poczuła łaskotanie w brzuchu, objaw emocji, które zaczynały się w niej rodzić. Nie była pewna, jaki to typ poruszenia i czym może się dla niej skończyć. Już chciała zawrócić, by nie kusić losu, gdy nagle blondynka spojrzała na nią i krzyknęła:

– Cecylia?! To naprawdę ty?!

Ten głos znała na pewno.

To niemożliwe, pomyślała i uznała, że musiała się przesłyszeć.

– Niesamowite! To ty! – Dziewczyna podeszła i chwyciła ją za rękę.

Panna Krzepczyńska spojrzała na smukłą dłoń z pomalowanymi paznokciami i przypomniała sobie grubiotką rączkę oblepioną cukierkami.

– Bożenka! Nie poznałam cię! O rany, ale się zmieniłaś!

– To prawda. Sto lat się nie widziałyśmy! Chodź, siadaj tu! – Pociągnęła dawną przyjaciółkę do stolika, na którym stało niedopite piwo. – Opowiadaj, co tu robisz i co w ogóle u ciebie słychać!

– Nie masz do mnie żalu? – zapytała niepewnie Cecylia, gdy wróciła pamięcią do dawnych wydarzeń.

– Do ciebie? A co ty takiego zrobiłaś?

– Ja nic. Ale moja mama...

– Ty i twoja matka to dwie różne osoby. Wiedziałam, że to ona zabroniła ci się ze mną widywać. Taką awanturę zrobiła mojej mamie, że masakra. Ech, szkoda gadać...

– Przepraszam.

– Hej, nie przepraszaj. Mów lepiej, co u ciebie.

Cecylia poczuła się głupio. Z jednej strony była bardzo szczęśliwa, że spotkała Bożenkę, z drugiej zaś zakłopotana, że to przez nią, a właściwie przez jej matkę koleżanka miała kłopoty.

– U mnie po staremu. Chodzę tu do liceum... – zaczęła nieśmiało.

– Do jedyńki? Ja też! Do której klasy?

– Angielskiej.

– Ja jestem w mat-fizie. Ale jaja! Znowu w jednej szkole. Ciekawe, co powie twoja mamusia, kiedy się dowie.

– Ja jej nie powiem.

– Wiesz, że ona nie pochwaliłaby tego, że ze mną rozmawiasz.

Cecylia patrzyła na koleżankę i wciąż nie mogła uwierzyć. Niby ona, a jednak całkiem inna. Szczuplutka, elegancka blondynka z końskim ogonem, który wciąż podskakiwał na jej głowie, kiedy mówiła. Nadal pełna była energii, a jednocześnie nabrała gracji. Jej ruchy nie były przypadkowe. W pełni je kontrolowała. Mówiła szybko, ale posługiwała się innym językiem, takim dorosłym, a może raczej młodzieżowym, do którego Cecylia jeszcze nie dojrzała.

– Co się tak na mnie gapisz? No wiem, że się zmieniłam. W sumie... nie przypuszczałam, że kiedyś to powiem, ale to, co zrobiła twoja matka, wyszło mi na dobre.

– Opowiesz mi, co się z tobą działo? – poprosiła Cecylia, ukradkiem zerkając na zegarek. Była piętnasta. Zazwyczaj o tej porze dawno już była w domu, ale rodzice przychodzili z pracy dopiero dwie godziny później, więc miała trochę czasu dla koleżanki.

Bożenka odsunęła kufel, który został po poprzednim gościu, i skinęła na barmana.

– Co podać?

Cecylia bardziej domyśliła się, że spytał o zamówienie, niż usłyszała słowa. W klubie grała zbyt głośna muzyka. Koleżanka odchrząknęła „Dwie cole!” i obdarowała chłopaka czarującym uśmiechem. Po chwili do stolika podał butelki oraz szklanki.

Cecylia z przyjemnością zanurzyła usta w słodkim, zimnym płynie, a Bożenka nie potrzebowała dodatkowej zachęty, by opowiedzieć dawnej przyjaciółce, co działo się po tym, gdy widziały się po raz ostatni.

Rozdział 13

O tym, że ta cała wycieczka nie była dobrym pomysłem, Bożenka zdała sobie sprawę dopiero w domu. Ojciec Cecylii odstawił ją pod drzwi. Babcia, która widziała przez okno podjeżdżający samochód, stała w progu, gdy dziewczynka wysiadła z auta. Przeczuciwała, że stało się coś złego, ale o nic nie pytała, tylko przytuliła wnuczkę i trzymała ją długo w objęciach, aż Bożenka zaczęła szlochać. Kobieta głaskała ją po głowie, mówiąc:

– Płacz, dziecko, płacz. Niech wszystkie złe emocje z ciebie wypłyną.

Bożenka nie rozumiała, co babcia ma na myśli, ale jej głos działał kojąco. Weszły do domu. Mama nie wróciła jeszcze z pracy, a pozostałe dzieci grzecznie bawiły się w drugim pokoju. Gdy dziewczynka uspokoiła się na tyle, żeby porozmawiać, babcia wyciągnęła z kredensu andruta i zrobiła jej herbatę. Wtedy Bożenka opowiedziała o wycieczce, jaką odbyły z Cecylią do Płazy. Babcia, zamiast gniewać się, nagle zaczęła się śmiać. Zdezorientowana wnuczka po chwili sama do niej dołączyła. Ten wspólny wybuch uwolnił emocje, usunął napięcie i potwierdził ich bliskość.

Kiedy Bożenka wyobraziła sobie dwie dziewczynki zasuważące w pocie czoła na rowerach przez wiele kilometrów po to, by rozkopać czyjś ogród w poszukiwaniu wymyślonych

skarbów, nie mogła uwierzyć, że sama na to wpadła. To było głupie. I niebezpieczne. Musiało się skończyć niepowodzeniem, myślała. Szkoda, że uświadomiła sobie to dopiero po wszystkim. Najadły się strachu co niemiara, na szczęście nic poważnego im się nie stało. Bożenka nie wiedziała, czy ojciec Cecylii załatwił jakoś sprawę wyrządzonych przez nie szkód w Płazie. Miała nadzieję, że jej mama nie będzie musiała płacić. Było im wystarczająco ciężko. Nie chciała narażać rodziców na dodatkowe koszty. Powiedziała o tym babci, ale ta zaraz ją uspokoiła.

– Nie martw się, kochanie, nie będzie żadnych kłopotów, a jeśli się pojawią, to na pewno sobie z nimi poradzimy. Myślę, że zyskałaś bardzo wiele na tej wycieczce.

– Jak to? – Dziewczynka widziała same straty. Korzyści nigdzie nie potrafiła się dopatrzeć.

– Zdobyłaś doświadczenie życiowe! – Babcia znów się zaśmiała.

Wnuczka spoglądała na nią niepewnie.

– Zrozumiałaś, że takie wyprawy są niebezpieczne. Wiesz, że za niszczenie cudzej własności grozi kara. Nauczyłaś się, że nie należy wierzyć we wszystkie bajki. Sporo jak na jeden dzień.

Można było i tak na to spojrzeć. Babcia Dusia była bardzo mądrą kobietą, a Bożenka jej wierzyła. Uspokoiła się. Do wieczora niemal zapomniała o niefortunnych przygodach. Niestety nie przewidziała, że będą miały konsekwencje inne niż tylko finansowe.

Nowakowa wróciła do domu, kiedy córka już spała. Znów pracowała na dwie zmiany, żeby terminowo opłacić wszystkie rachunki. Bożenka nie słyszała więc, jak szlochała w poduszkę i żaliła się swojej matce, że straciła pracę w banku. O tym dziewczynka dowiedziała się dopiero kilka dni później.

Jeszcze tego samego popołudnia Krzeczkińska wpadła jak burza do gabinetu ówczesnego dyrektora i powiedziała, że Nowakowa wynosi z banku informacje, a ponadto rozpowszechnia plotki, które szkalują imię dyrektora. Choć Wanda nie pracowała już wtedy na etacie, wciąż pozostawała w kontakcie z niektórymi pracownikami. Rzekomo pojawiły się informacje, których autorką miała być Nowakowa, że Krzeczkińska utrzymuje bliskie relacje z szefem, a zwolnienie jej z banku miało być sposobem na ukrycie ich romansu. Jednocześnie wspomniała, że już wtedy, gdy pracowała, miała ze wścibską sprzątaczką kłopoty. Nowakowa nie tylko nie wykonywała swej pracy dokładnie, ale też po jej wizytach z biura ginęły różne rzeczy. Niby nic wielkiego, więc nie robiła z tego afery, ale dłużej tolerować takich zachowań nie można. Jednocześnie Wanda wyraziła współczucie dla sytuacji rodzinnej Nowaków i przekonała dyrektora, żeby nie wszczynął z tego powodu afery i nie zwalniał kobiety dyscyplinarnie. Doskonale wiedziała, w jaki punkt uderzyć. Dyrektor miał bardzo zazdrosną żonę, która z byle powodu gotowa była się z nim rozwieść. Opowieści o wybuchach zazdrości dyrektorowej krążyły po firmie od lat.

– Długo zastanawiałam się, co z tym fantem zrobić, bo przecież takie plotki obrażają mnie i pana dyrektora, a ja nie jestem mściwa. W sumie to żal mi tej kobiety, bo prosta jest i nierozumna.

Mężczyzna rozważył jej słowa.

– Ma pani rację. Zapytam, co ma na swoje usprawiedliwienie, a potem zaproponuję rozwiązanie umowy za porozumieniem. Od jutra.

Kilka godzin później Nowakowa została wezwana do gabinetu szefa. Próbowała się tłumaczyć, ale dyrektor uwierzył Wandzie Krzeczkińskiej, która wciąż była bardzo ceniona w placówce. Sprzątacze zaproponował odprawę, by nie rozdmuchiwała okoliczności odejścia.

– Co miałam robić? – opowiadała Halina. – Ja prosta kobieta jestem. Nie wiem, co oni tam mogą, a co nie, ale skoro dyrektor mnie nie chciał, to ja już pracować tam nie mogłam. Dobrze, że choć wypłatę za drugi miesiąc dał. A ta lafirynda to pewnie wyszła z uśmiechem od

ucha do ucha. Już mi kiedyś na korytarzu szepnęła, żebym jej w drogę nie wchodziła, bo do tej pory była miła, ale może przestać.

– Ma tupet! – Dusia była oburzona.

W weekend Bożenka nie mogła zobaczyć się z Cecylią, choć zżerała ją ciekawość, czy koleżanka miała w domu awanturę. Znając charakter jej matki, była przekonana, że tak właśnie było. W poniedziałek rano obudziła się wcześniej niż zwykle, bo tak bardzo chciała się zobaczyć z przyjaciółką. Niestety Cecylia nie przyszła do szkoły przez cały tydzień. Nie próbowały kontaktować się ze sobą ani telefonicznie, ani osobiście. Bożenka absolutnie nie chciała natknąć się na rodziców koleżanki. W końcu przecież musiał nadejść ten dzień, kiedy obie pojawią się w szkole.

Pod koniec tygodnia pani dyrektor poprosiła Bożenkę, aby przyszła z mamą. Właściwie to chciała porozmawiać tylko z rodzicem. Zaskoczone dziecko czekało w korytarzu. Nastolatka nie wiedziała, co zostało powiedziane za dyrektorskimi drzwiami. Matka wyszła zapłakana. Chwyliła córkę za rękę i pociągnęła do domu. Powiedziała tylko jedno zdanie, które Bożenkę zmroziło:

– Nie będziesz więcej chodzić do tej szkoły.

– Dlaczego? – dopytywała wielokrotnie, ale matka milczała.

Atmosfera w domu była napięta. Bożenka nie rozumiała, co się dzieje. Nikt nie chciał jej tego wyjaśnić.

– Zbliża się koniec roku. Nie dostanę świadectwa?

– Dostaniesz. Masz już dość ocen z każdego przedmiotu. A po wakacjach będziesz chodzić do szkoły w Trzebini.

– Będę dojeżdżać?

– Tak. Babcia Dusia będzie jeździć z tobą. Albo może przeprowadzimy się tam wszyscy.

– Ale ja nie chcę! – Łzy zbierały się jej pod powiekami. – Ja tu mam przyjaciół! Swoje sprawy!

– Bożenko, takie jest życie. Nie raz, nie dwa dostaniesz po tyłku. Zawsze będą lepsi i gorsi, a my należymy do tych drugich...

Widywała mamę smutną i zmęczoną, ale tym razem bruzda na jej czole była wyjątkowo gruba ze zmartwienia. Miała też opuchnięte powieki i czerwone oczy. Bożenka przestraszyła się, że matka jest na coś chora, ale szybko wpadła jej do głowy myśl, że te wszystkie zmiany są przez nią.

– To przez moją wycieczkę do Płazy...

– Nie, nie dlatego. – Babcia, dotąd milcząca, zabrała głos. – Nie wiń się, Bożenko. Tak będzie lepiej. Zobaczysz. Życie czasem układa się inaczej, niż byśmy chcieli, ale w końcu i tak okazuje się, że takie rozwiązanie jest dla nas najlepsze. Czasem tylko trudno to na początku zrozumieć.

Nowakowa odebrała za córkę świadectwo, a noga Bożenki więcej w chrzanowskiej szkole podstawowej nie powstała. Któregoś wakacyjnego dnia cała rodzina pojechała do Trzebini, by zobaczyć nową szkołę. Matka dowiedziała się, że są tam biura, które może sprzątać. Nie powiedziała jednak córce, że jednocześnie rozgląda się za mieszkaniem do wynajęcia. Wszystko było na jej głowie. Mąż Karol miał niewielką rentę, a niepełnosprawna noga uniemożliwiała mu podjęcie stałej pracy. Wyprowadzka powodowała, że utraci dodatkowe źródło dochodu. W nowym miejscu będzie musiał dopiero wyrobić sobie renomę dobrej i uczciwej złotej rączki. Nie było to proste, bo nie znali nikogo w okolicy.

W sierpniu Nowakowie przeprowadzili się do nowego mieszkania – mniejszego niż to w Chrzanowie, śmierdzącego stęchlizną i ciemnego. Największy problem stanowiły schody na

antresolę, na której znajdowały się łóżka. Bez niej nie pomieściliby się wszyscy, jednak dla maluchów te schody były niebezpieczne. Karol postanowił więc dorobić specjalne barierki i drzwiczki, żeby najmłodsze latorośle same nie zapuszczały się na górę. Nie był to szczyt luksusów, ale lokum, na które się zdecydowali, było lepsze niż inne, które matka oglądała. I nie było drogie, a pieniądze miały dla nich największe znaczenie.

Przeprowadzka okazała się dobrym pomysłem, bo nie trzeba było płacić codziennie za przejazdy. Mimo że Bożenka szybko nawiązała nowe znajomości, tęskniła za Chrzanowem, a przede wszystkim za Cecylią. Miała jednak świadomość, że nawet na miejscu prawdopodobnie nie utrzymywałyby ze sobą kontaktu. Polubiła tę dziwną, zamkniętą w swoim świecie dziewczynkę, której oczy, zazwyczaj smutne, rozświeślały się, kiedy opowiadała jej różne historie. Czasem celowo zmyślała czy ubarwiała opowieści, żeby wywrzeć na koleżance wrażenie. Ta z kolei łykała wszystko jak powietrze, a Bożenka była szczęśliwa, że może się z kimś dzielić tym, co wie. Poza tym zdawała sobie sprawę, że Cecylia jest samotna. To dawało się odczuć na każdym kroku. Nigdy nie zauważyła, żeby rodzice okazywali jej miłość. Przyjaciółka miała w sobie coś takiego, że chciało się nią zaopiekować. Bożence wydawało się, że Cecylia patrzyła na nią w taki dziwny sposób, jakby robiła coś wyjątkowego. To było bardzo miłe, ale ile razy o tym myślała, dopadał ją smutek.

Pomimo że Nowakówna szybko odnalazła się w nowym miejscu, wiele razy wracała myślami do przyjaciółki i próbowała zgadywać, co w danym momencie robi. Często wyobrażała sobie, że jest koło niej i rozmawiają. Zdarzało się nawet, że pytała ją w myślach o zdanie na jakiś temat. Tęskniła.

Nowa klasa Bożenki była miła – uczniowie ciepło ją przyjęli i nikt się z niej nie naśmiewał. Poznała tam też Zuzię, która podobnie jak ona miała problem z nadwagą. Zdaniem Bożenki dziewczynka była grubsza od niej i chyba z tego właśnie powodu smutna, czego akurat nowa nie mogła zrozumieć. Jej ciało nigdy nie było dla niej problemem. Widać jednak nie każde dziecko ma równie mocne poczucie własnej wartości. Bożenka wpadła na pewien pomysł. Zaproponowała koleżance, że będą razem ćwiczyć i dużo biegać, wzajemnie pilnować się, by nie jeść słodczy. To ostatnie stało się największą bolączką Nowakówny, dlatego potrzebowała kogoś, kto będzie cierpiał tak samo jak ona. Zuzia ochoczo podchwyciła pomysł i dziewczynki założyły specjalny zeszyt, w którym zapisywały swoją wagę i inne szczegóły związane z odchudzaniem.

Początkowo szło im opornie, nieraz łamały się i zajadały łakociami. Ale wspólne spędzanie czasu coraz bardziej im pasowało, więc ruch stał się stałym towarzyszem ich zabaw. Bożenka przywykła do życia w Trzebini. Choć nadal wracała wspomnieniami do starych okolic, to jednak odnalazła się w nowym miejscu. A całkiem dobrze poczuła się wtedy, gdy w drugiej klasie gimnazjum doszedł do nich nowy chłopak. Wszystkie dziewczyny w klasie kochały się w Wiktorze. Każda chciała mu się przypodobać, także i ona z Zuzią wpadły po uszy. Zawarły jednak pakt, że ich przyjaźń przetrwa, nawet jeśli on wybierze jedną z nich. Druga będzie wtedy cieszyć się szczęściem koleżanki. Jednak nie czekały na decyzję Wiktora bezczynnie, bo oprócz nich w klasie była jeszcze spora konkurencja. Zaczęły już nie tyle dopingować się w odchudzaniu, co rywalizować ze sobą pod tym względem. Wiele osób dziwiło się ich samozaparciu. Nowy jednak wcale nie był nimi zainteresowany. Rok później, kiedy nadarzyła się okazja, Bożenka przyznała się chłopcu do ich wspólnej fascynacji, a on skwitował to jednym stwierdzeniem:

- Baby są głupie.
- Hej, nie pozwalaj sobie! To było dawno i nieprawda. W sumie masz rację, nie warto było dla ciebie tak się poświęcać. Lepiej robić to dla siebie – odparowała.

– Podobałaś mi się wcześniej. Nie teraz. Chudzielce mnie nie kręcą.

Bożenka szturchnęła Wiktora w ramię i pokazała mu język. Był fajnym kolegą z klasy, ale nie interesował jej już jako chłopak. Nie żałowała, że wtedy nie udało jej się go poderwać. Zawalczyła przede wszystkim o siebie i była z wyniku bardzo zadowolona.

Halina Nowak nadal pracowała całymi dniami, babcia zajmowała się w domu młodszymi dziećmi, a dwójkę, która chodziła już do szkoły, odbierała i zaprowadzała na lekcje. Najstarsza wnuczka pomagała jej, ile mogła, ale nie zawsze była w stanie, bo miała dużo nauki. Zależało jej na tym, żeby dobrze zdać egzamin końcowy i dostać się do liceum. Chciała potem pójść na studia i jako pierwsza w rodzinie zdobyć wyższe wykształcenie. Karol Nowak także poszedł do pracy. Uczęszczał też regularnie na spotkania AA i całkowicie przestał pić, co po przeprowadzce i utracie dodatkowego źródła zarobkowania niestety mu się zdarzało.

Kiedy dziewczyna rozmyślała nad wyborem liceum, przyszła jej do głowy szkoła w Chrzanowie, która cieszyła się dobrą renomą i była blisko. Kusiło Bożenkę, żeby wrócić na stare śmieci. Nie była już bezradnym dzieckiem. Znała swoją wartość i siłę. Osoby pokroju Krzepczyńskiej nie mogły odwieść jej od realizacji planów. Matka jednak była innego zdania.

– Bożenko, to zła kobieta i pamiętliwa. Nigdy ci tego nie mówiłam, ale to ona zażądała, żebyś opuściła szkołę, do której chodziła jej córka.

– Tak przypuszczałam. I co z tego?

– Jedna kobieta sprawiła, że musieliśmy wyprowadzić się z miasta, że straciłam pracę, a ty szkołę. Dla jej widzimisię.

– Mamo, ale ty się dałaś łatwo zastraszyć. Co by ci zrobiła, gdybyśmy zostali?

– Dziecko, ty tego nie rozumiesz. Jesteś młoda i wydaje ci się, że świat leży u twoich stóp. Są ludzie, którzy potrafią tak uprzykrzyć bliźniemu życie, że ten tylko pętlę na szyi zawiesi.

– To dlatego tatuś wtedy... – Dziewczyna przypomniała sobie traumatyczne wydarzenie sprzed trzech lat.

– Tata był chory i nie wiedział, co się z nim dzieje. Nie wracajmy do tego. Dzięki Bogu wszystko skończyło się dobrze.

– No a ty? Chyba nie miałaś nigdy takich myśli? – zapytała z niepokojem w głosie.

– Nie. Ale zamartwiałam się nieraz, co z nami będzie. Gdybyśmy zostali, to ta cholera pewnie latałaby po mieście i wygadywała na mój temat głupoty, a ja nie znalazłabym nigdzie nowej pracy. Co byśmy jedli?

– Mimo wszystko nie powinnaś była tak jej ulec.

– Zrozumiesz to, gdy będziesz miała własną gromadę dzieci do wykarmienia. Ale nic to, przeżyliśmy i dzięki Bogu zdrowie wciąż mam, żeby pracować. I wy też zdrowe, a to najważniejsze...

– Ja tam się jej nie boję. Pójdę do liceum w Chrzanowie.

Halina kiwnęła głową, godząc się z wyborem córki. Rodzina ustaliła, że pozostaną w Trzebini, gdzie czują się już zdomowieni, a Bożenka będzie dojeżdżać. Dziewczyna zakładała, że w ogóle nie natknie się na Krzepczyńską, bo po pierwsze kobieta mogła już nie mieszkać w Chrzanowie, a po drugie po tylu latach to nawet najbardziej zawziętej osobie złość mija, więc śledzić jej nie będzie. Podświadomie liczyła przede wszystkim na to, że spotka Cecylię. Bardzo była ciekawa, jak wyrosła i czy się zmieniła. A już nade wszystko, czy potrafiła uwolnić się od swojej matki. Choć los je rozdzielił, nie wyrzuciła przyjaciółki z pamięci. Zawdzięczała Cecylii więcej, niż ta mogła sobie wyobrazić. To, kim była dziś, w jaki sposób rozumowała, w dużej mierze było konsekwencją relacji z Krzepczyńską. Widząc jej odmienność, sama dla siebie wyciągnęła lekcję.

Rozdział 14

Opowieść Bożenki wywarła na Cecylii niesamowite wrażenie. Przyjaciółka nie mogła pogodzić się z myślą, jak wiele okrucieństwa jest w jej matce. Nie знаła jej od tej strony. Owszem, rodzicielka była apodyktyczna, wymagająca, ale córka nigdy nie widziała w niej takiej nienawiści do ludzi. Rozumiała, że matka mogła zabronić jej spotykać się z koleżanką, mogła ją przenieść do innej szkoły, ale zmuszać biedną wielodzietną rodzinę do przeprowadzki do innego miasta, bo nie było to odpowiednie towarzystwo dla jej córki? To nie mieściło się w głowie! Cecylia nigdy nie była w domu u Nowaków, nie знаła rodziców Bożenki, ale mogła wyobrazić sobie, jak przeżyli tę sytuację. To musiał być dla nich koszmar. Mógł skończyć się jakąś tragedią, nieszczęściem. Dziewczyna wstydziła się bardzo za swoją matkę. Nie pojmowała tego rozumem albo podświadomie nie chciała zrozumieć.

Całe szczęście, że Bożenka dorastała w rodzinie pełnej miłości. To też było dla Cecylii czymś niewyobrażalnym i jakże innym od wzoru, jaki sama знаła. Wiedziała, że rodzice ją kochają, ale okazywali jej chłodną miłość, a tam – u Nowaków – dawało się wyczuć gorące, szczere uczucia w powietrzu. Bożena była tak ciepłą i otwartą osobą! Cecylia zazdrościła jej tej umiejętności. Od tego pierwszego po latach spotkania w klubie bilardowym widywały się regularnie. Krzeczynska uwielbiała opowieści koleżanki o jej rodzeństwie, o psotach, jakie robią, o babci Dusi i zasłyszanych od niej historiach z młodości. Większość z nich była wesoła, okraszona dużą dawką humoru, ale zdarzały się też tematy poważne, a nawet smutne. Bożenka wkładała serce we wszystko, o czym mówiła. Entuzjazm nie opuszczał jej nigdy, a słowom, które wypowiadała, zawsze towarzyszyły emocje. Nawet kiedy wyjawiała problem alkoholowy taty, emanowała z niej miłość do ojca i troska o niego.

Karol Nowak ciężko znosił fakt, że nie może zapewnić przyzwoitego bytu swojej rodzinie. Nie odnajdował się w nowym środowisku, a kalectwo uniemożliwiało mu podjęcie normalnej pracy. Nie nawykł też pomagać żonie przy dzieciach, więc kiedy Halina była poza domem, przechodząc z jednej zmiany na drugą, a teściowa zajmowała się maluchami, Karol coraz częściej z piwem siadał na ławeczce pod sklepem, godzinami obserwując, co dzieje się w nudnej Trzebini. Kiedy tylko miał gest i postawił butelkę, znajdował kompanów. Wracał potem zawiany i kładł się spać. Jedno było w tym dobre: nigdy nie awanturował się i nie rozrabiał.

– Wziąłbyś się do roboty jakiejś, choćby w domu! Mało to jest? – Żona próbowała namawiać go do aktywności, ale rzadko miała ku temu okazję, bo sama wracała po nocy. – Schody trza naprawić, deska się obluźowała, zara jakie nieszczęście będzie. I te drzwiczki, coś je zrobił, latają!

Nowak potakiwał tylko głową i wielokrotnie obiecywał:

– Jutro.

– Jutro, jutro... Tylem razy to słyszała! Ogarnij się! Jaki ty dzieciom przykład dajesz?

Karol znów przytakiwał i zamykał się w łazience. Bożenka patrzyła na ojca ze smutkiem. Działo się z nim coś złego. Zawsze niewiele się nimi zajmował, bo kobiety wyręczały go we wszelkich obowiązkach, ale dla dzieci był czuły. Przytulał je, brał na kolana, pokazywał różne rzeczy. Tymczasem od przeprowadzki do Trzebini stracił zainteresowanie rodziną i wszystkim, co go otaczało. Nie pytał już córki, co w szkole, nie interesował się jej ocenami.

Bożenka z sentymentem wspominała, jak ojciec pokazał jej wnętrze zegara. Sąsiadka w Chrzanowie poprosiła kiedyś Nowaka, znanego w okolicy specja od trudnych napraw, by sprawdził, dlaczego jej sprzęt nie działa. Choć Karol nie był zegarmistrzem, znał różne maszyny, więc i ta nie była dla niego tajemnicą. Z wielkim namaszczeniem rozkręcił kopertę, wyjął wszystkie tarcze i śrubki, przeczyścił mechanizm i złożył go z powrotem. Dziewczynka z fascynacją obserwowała każdy ruch ojca.

– Tatusiu, a skąd wiesz, że dobrze go składasz?
– Widzisz, córeczko, kiedy go rozkręcałem, to każdą część układałem w kolejności, a kiedy skręcam, biorę części od tyłu. Poza tym tatuś trochę się na tym zna. – Poczochrał czuprynę dziewczynki, czule się do niej uśmiechając.

Bożenka wspominała tę chwilę wiele razy. Tata wydawał jej się taki mądry. Wiedział tyle rzeczy i potrafił wszystko naprawić. Potem stał się innym człowiekiem. Widziała to nazbyt często. W jego oczach czały się wielki smutek i rezygnacja.

Po kilku miesiącach terapii Cecylia przestała spotykać się z psychologiem. Wyjaśniła terapeutce, że wróciła jej przyjaciółka i pragnie z nią spędzać wolny czas. Dziewczyna czuła się już całkiem dobrze, a spotkania z Bożenką wiele dla niej znaczyły. Ponieważ nie chciała mówić matce, że odnowiła starą znajomość, podciągała różne opóźnienia w powrocie do domu pod wizyty u psychologa lub dodatkowe lekcje.

Fakt, że spotykała się z Nowakówną, miał duży wpływ na to, że w ogóle chodziła do szkoły. Odbębniła swoje obowiązki, nie integrując się z klasą. Nie byli jej do niczego potrzebni, nie interesowali jej. Jedyna osoba, na której jej zależało, to Bożenka. W gruncie rzeczy nie zmieniła się tak bardzo. Wciąż pełna entuzjazmu opowiadała masę historii. Cecylia odkrywała czasem, że przyjaciółka konfabuluje, ale nie miało to znaczenia. Dzięki niej wiedziała o sprawach, o których nigdy nie dowiedziałyby się w domu. To w jej opowieściach na nowo przeżywała przygody, pierwszą miłość, rozmaite emocje: i te dobre, i te złe. Bożena malowała słowem obrazy, czasem bolesne, czasem radosne, a robiła to tak wiarygodnie, że gdy wieczorem Cecylia leżała w łóżku, nieraz nie mogła zasnąć. Przekuwała wtedy te obrazy w figurki z plasteliny. Pudełko po butach było lustrem jej emocji, a każda ulepiona rzecz symbolizowała któryś z jej lęków lub inne ważne uczucie.

Jedno z poruszających zwierzeń przyjaciółki dotyczyło pewnego tragicznego wydarzenia w jej rodzinie. Bożenka wróciła kiedyś ze szkoły wcześniej niż zwykle. O tej porze zazwyczaj w domu był tylko ojciec, bo babcia robiła zakupy, mama była w pracy, a rodzeństwo w szkole i przedszkolu. Nigdy nie zamykali drzwi wejściowych do mieszkania, bo skoro zawsze ktoś w nim był, pozostali nie musieli nosić ze sobą kluczy. Nastolatka napotkała jednak zamknięte drzwi. Pukała, dzwoniła, ale nic to nie dało. Założyła więc, że tata gdzieś wyszedł. Zeszła klatką schodową na sam dół kamienicy z zamiarem poczekania na kogoś z domowników przy pobliskim trzepaku. Po chwili zobaczyła uchylone drzwi do piwnicy, a że nigdy tam nie była, z ciekawością zeszła wąskimi schodami do podziemia.

Poczuła niepokój, ale jakaś tajemna siła ciągnęła ją w kierunku niewielkiego światła, które migotało na drugim końcu korytarza. Dotknęła ręką włącznika tuż przy schodach i oświetliła fragment pomieszczenia. Niepewnie szła dalej, z uwagą rozglądając się na wszystkie strony. Bała się, że może wyskoczyć stamtąd szczur. W oddali słyszała jakiś szmer, szuranie i czyjś przyspieszony oddech. Pomyślała, że może złodziej włamuje się do którejś piwnicy, ale mimo lęku nie uciekła.

Wzdłuż korytarza tuż pod sufitem biegły rury doprowadzające wodę do kamienicy. Zakręcały do pomieszczenia, z którego dochodził nieznacny hałas. Serce biło jej coraz mocniej, lecz ciekawość była silniejsza od strachu. Szła powoli, zwracając uwagę na to, by nie wydawać dźwięków. Gdy tylko zbliżyła się do zakrętu, nagle usłyszała stuk, jakby coś spadło czy się przewróciło. Podskoczyła z wrażenia, ale było już za późno, by się wycofać. Wzrokiem ogarnęła niewielkie pomieszczenie na końcu piwnicznego korytarza. To tam znajdowały się główne zawory. A potem zakrzywił się czas. Wspomnienia dalszych wydarzeń mieszały się ze sobą. Gdy opowiadała o tym, nie potrafiła odtworzyć chronologii zdarzeń. Nie wiedziała, co spostrzegła jako pierwsze i skąd wiedziała, co robić. Jej krzyk słychać było w całej kamienicy.

Przewrócony taboret, ciemna postać patrząca na nią, sznur. Wzrok mówiący „przepraszam”. I pusta butelka po wódce. Nierówno zapięta znajoma koszula wystająca ze spodni i odkryty pępek. Dyndająca stopa, pantofel nieopodal.

Podbiegła do wiszącej postaci i chwyciła ją za nogi. Choć była tylko dzieckiem, siłę miała tytaniczną. Podniosła w górę ciało, które nagle ruszyło rękami, bezwładnie próbując oswobodzić się z pętli założonej na szyję. Bożenka krzyczała, wzywała pomocy, a łzy ciekły jej po policzkach, z czego nawet nie zdawała sobie sprawy. W korytarzu pojawiły się głosy. Ktoś biegł na ratunek. Nagle nieznajomy chwycił ją za rękę, rozluźnił je i odsunął. Ktoś inny trzymał teraz ciemną postać. Rozległ się gwar. Krzyki mężczyzn zlewały się ze sobą. Świat zawirował, a dziewczynka osunęła się w ciemną otchłań.

Gdy się ocknęła, znajdowała się w swoim pokoju. Babcia przykładła jej kompres do czoła.

– Gdzie jest tatuś? – Poderwała się, lecz opiekunka stanowczym gestem nakazała jej leżeć.

– Jest w szpitalu. Wszystko w porządku.

– On... on...

– Tak, ale uratowałaś go. Odpocznij, kochanie.

– Ja nie wiedziałam, co robić... – Rozpłakała się. – Chciałam mu pomóc, ale nie miałam siły.

– Pomogłaś, Bożenko, nawet nie wiesz jak bardzo.

Okazało się później, że Karol Nowak pod wpływem zalewanej alkoholem depresji postanowił targnąć się na życie. Na jego szczęście niedługo potem ciekawość córki ściągnęła ją do piwnicy. Gdy dziewczynka szła korytarzem, mężczyzna, stojąc na taborecie, przerzucił linę przez rurę i założył sobie pętlę na szyję. Nie wiadomo, czy właśnie wykopał stołek, czy też zachwiał się i wyrzucił mebel, ale Bożenka zobaczyła go w ostatniej chwili, nim doszło do tragedii. Choć masa ciała Nowaka znacznie przewyższała wagę dziewczynki, jakąś nadprzyrodzoną siłą utrzymała ojca w takiej pozycji, że pętla nie zdążyła jeszcze zacisnąć się całkowicie. Karol nie utracił przytomności, mimo że pojawiły się pewne objawy niedotlenienia. Dzięki szybkiej interwencji sąsiadów, a potem pogotowia udało się zapobiec śmierci.

Mężczyzna wkrótce wrócił do sił, ale poczucie winy, zwłaszcza wobec najstarszej córki, nasiliło się, a problem alkoholowy nie ułatwiał odzyskania formy psychicznej. Rodzina wymogła na nim, żeby poddał się leczeniu i na pół roku dał się umieścić w zakładzie, w którym leczono go z depresji i z alkoholizmu.

Po tej opowieści Cecylia nie spała całą noc. Trzęsa się z przerażenia, że coś takiego może także jej się przytrafić. Nie, wręcz czuła się tak, jakby tam była. W końcu musiała jednak zapaść w sen, bo gdy otworzyła oczy, stała koło niej matka w koszuli nocnej. Za oknem wciąż było ciemno.

– To tylko sen. Już wszystko dobrze. Śpij.

Cecylia nic nie rozumiała. Patrzyła na rodzicielkę nieprzytomnym wzrokiem, dziwiąc się, co ona robi w jej pokoju.

– Krzyczałaś. Myślałam, że coś ci się stało, a to tylko sen – wyjaśniła. – Skoro już się obudziłaś z koszmaru, to spróbuj ponownie usnąć. Ja muszę niedługo wstać do pracy, a ty do szkoły – dodała w progę.

Cecylia usiadła na łóżku i próbowała przypomnieć sobie, co jej się śniło. Miała w głowie pustkę. Nie była już senna, wstała więc i podeszła do okna. Drzewa niebezpiecznie kołysały się po drugiej stronie rynku. Miała wrażenie, że zaraz któraś gałąź złamie się i wybije szybę w jednym z okien kamienicy naprzeciwko. Dobrze, że koło jej mieszkania nie rosną. Chmury

przysłoniły księżyc.

Poczuła dreszcze, a potem ucisk w brzuchu i lekki zawrót głowy. Pusta ulica i plac wydały jej się jakieś obce, złowrogie. Objęła się ramionami, ale nie poczuła przez to bezpiecznie. Wróciła do łóżka, lecz lęk już ogarnął jej ciało. Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Myślała, że umie już nad tym panować, jednak żadna z wyuczonych technik nie pomagała. Próbowała usilnie myśleć o czymś miłym, ale natrętne myśli o czającym się niebezpieczeństwie wracały. Wyprostowała się pod kołdrą, uspokoiła oddech, wyobraziła sobie, że wdychane powietrze dociera po kolei do każdej partii jej ciała. Zazwyczaj ta sztuczka działała, jednak teraz dziewczyna była zbyt wzburzona, a ogarniająca ją ciemność tylko potęgowała lęk. Było jej zarazem gorąco i zimno. Ciało trzęsło się jak w febrze, a serce kołatało. Próbowała przypomnieć sobie inkwizycję z *Pana Tadeusza*, którą niedawno zdawała. Był to na tyle długi tekst, że jego recytacja powinna odwieść jej myśli w bezpieczne rejony. To też nie pomogło. Wstała więc i zapaliła światło. Zrobiło się trochę lepiej. Odnalazła pluszaka, który towarzyszył jej od dziecięcych lat, i wtuliła w niego twarz. Nie chciała tak żyć. Nienawidziła tych momentów, kiedy ogarniał ją tak olbrzymi lęk, że nie potrafiła wyobrazić sobie, iż może być inaczej. Pragnęła uciec w niebyt, przestać się bać, nie myśleć i nie czuć.

Przypomniała sobie historię, którą opowiedziała jej przyjaciółka. Zastanawiała się, z jak wielkim lękiem walczył Nowak, skoro targnął się na życie. Nie wiedziała, czy sama byłaby do tego zdolna. W takich chwilach jak teraz myślała o tym intensywnie. Tak, chciałaby umrzeć. Nie, nie miała odwagi tego zrobić. Zbyt przerażała ją myśl, że coś mogłoby się nie udać albo że cierpiałaby. Nie, nie potrafiłaby. Była tchórzem, a lęk był jej bratem.

Nazajutrz poszła do szkoły na chwiejnych nogach. To nie był dobry pomysł, by się tam pojawić, bo nie potrafiła skoncentrować się na lekcjach. Nie zaliczyła kartkówki, a z chemii dostała pałą za odpowiedź. Na wuefie straciła kilka punktów dla swojej drużyny, przez co koleżanki wyżywały się na niej do końca lekcji. Była jak w transie. Czuła się niewidoczna, jednak wszyscy się czepiali. Jak na złość, bo zazwyczaj nikt nie zwracał na nią uwagi. Nadal czuła wszechogarniający ją lęk. Uciekła więc z ostatniej lekcji do domu, bo bała się, że dostanie ataku w szkole. Dzień był ponury, wiatr jeszcze się nasilił. Zapowiadany halny w najlepsze bawił się drzewami. Biegła z niemal zamkniętymi oczami. Nie mogła patrzeć na ruszające się gałęzie, bo za bardzo przypominały jej nocne strachy.

Gdy wpadła do domu, skierowała się do kuchni. Trzęsącymi rękami wyjęła z szafki melisę i nastawiła wodę w czajniku. Pomyślała, że powinna mieć pod ręką jakieś tabletki uspokajające. Matka jednak nigdy nie zgadzała się, żeby córka brała lekarstwa. W domu nie było ich wiele, a przynajmniej Cecylia nie miała pojęcia, gdzie się znajdują.

– Cecylia? – Nagle usłyszała głos matki, która powinna być o tej porze w pracy.

Nastolatka podeszła ostrożnie do jej pokoju i zobaczyła, że Wanda ubrana w szlafrok siedzi w fotelu. Jej twarzy nie zdobił makijaż, a włosy miała spięte w luźny kucyk.

– Co robisz w domu? – zainteresowała się dziewczyna.

– O to samo chciałam zapytać ciebie. – W głosie matki nie było zwykłej stanowczości, dało się za to słyszeć zmęczenie.

– Zwolniłam się z ostatniej lekcji – skłamała, ale zaraz poczuła, że czerwienią się jej policzki.

Krzepczyńska tego jednak nie zauważyła.

– To dobrze. Pomożesz mi. – Przyglądała się córce podejrzliwie. – Jakoś dziwnie wyglądasz. Dobrze się czujesz?

Drugi raz skłamała, twierdząc, że wszystko w porządku, choć wewnątrz palił ją żywy ogień. Mimo uczucia gorąca była blada.

- W czym ci pomóc?
- Zrobisz zakupy i ugotujesz obiad. Dziś. Jutro już zorganizujemy jakąś pomoc.
- Co się właściwie dzieje? Dlaczego nie jesteś w pracy?
- Na stole leży lista i pieniądze. Idź. – Znów nie odpowiedziała na pytanie córki.

Cecylia była tak zaskoczona obecnością matki i jej nietypowym zachowaniem, że chwilowo zapomniała o swoich problemach. Chwyciła kartkę, pieniądze oraz torbę na zakupy i opuściła mieszkanie. Gdy wyszła z bramy, silny wiatr o mało jej nie przewrócił. Rozejrzała się niepewnie dookoła. Ludzie przemykali zgięci wpół, otulając się ciasno płaszczami, by jak najszybciej dotrzeć do celu. Musiała zrobić to samo, choć zmierzała do sklepu, a nie – jak większość z nich – do ciepłego i przytulnego domu. Ruszyła, choć nogi pod nią drżały. Gdyby nie myśl, że nie może pokazać się bez zakupów, bo wybuchnie awantura, pewnie poddałaby się i zawróciła.

Kiedy dotarła do marketu, szybko znalazła potrzebne produkty i podeszła do kasy. Już chciała zapłacić, gdy usłyszała za sobą głos Renaty, znienawidzonej koleżanki ze szkoły podstawowej.

– Co za spotkanie! A ty nie u czubków? – Wulgarny śmiech słychać było chyba w całym sklepie.

Kasjerka spojrzała na Cecylię z zaciekawieniem, a potem uśmiechnęła się do Renaty. Pewnie się znały. Napadnięta milczała, wyciągając z portfela drobne. Ręka jej się trzęsła i w końcu otwarty portfelik wypadł z dłoni, a monety wysypały się na podłogę. Rzuciła się szybko, by je pozbierać. Towarzyszył temu rechot koleżanki.

– Biedactwo. Dziurawe rączki ma. Mamusia nie dopilnowała, żeby córeczka nauczyła się trzymać portfel w paluszkach. Buuu...

Cecylia czuła, jak narasta w niej złość pomieszana z paniką.

– Daj mi spokój – wyszeptwała bardziej do siebie niż do atakującej ją dziewczyny.

– Do mnie mówisz?

Cecylia zamilkła. Zebrała się już spora kolejka. Nikt jednak się nie schylił, żeby pomóc jej zebrać pieniądze z podłogi.

– Płaci pani czy nie? – Kasjerka straciła cierpliwość. – Kolejkę mam. Tak nie można.

Renata nie odzywała się już, ale Cecylia kątem oka zauważyła, jak tamta kręci palcem kółko przy głowie, dając widowni do zrozumienia, że Krzeczkińska jest nienormalna. Jakimś cudem udało jej się zapłacić i spakować artykuły. Wybiegła ze sklepu, nie oglądając się za siebie. Kiedy pędziła do domu, po policzkach płynęły jej łzy. Musiała wyglądać okropnie, gdy dotarła, bo matka odebrała od niej torbę i wysłała córkę do łazienki, żeby obmyła twarz.

– Sama ugotuję – stwierdziła i zabrała zakupy do kuchni. Nie zapytała, co się stało. Ale też nie wyraziła żadnej opinii, co było niespodziewane.

Wieczorem, gdy Marian przyszedł z pracy, wezwał córkę do siebie i oznajmił bez owijania w bawełnę:

– Córeczko, mama znów jest chora. Przyszły wyniki i okazało się, że ma poważne przerzuty na węzłach chłonnych. Lekarz powiedział, że rokowania są złe, ale nie może się poddawać. Musimy jej pomóc uwierzyć, że jest szansa. I modlić się o cud.

Kolejne dni były do siebie podobne. Wanda, zdawałoby się nieobecna, snuła się jak cień po domu. Cecylia większość dnia spędzała zamknięta w swoim pokoju, walcząc z własnymi demonami. Tym razem nikt nie naciskał na nią, żeby chodziła do szkoły, nie pilnował, żeby się uczyła. Mogła robić, co chciała, choć z powodu lęków sama postawiła sobie ograniczenia. Początkowo zaskoczona, że nie jest już w centrum uwagi matki, nagle zrozumiała jej dziwne zachowanie. Krzeczkińska myślami krążyła wokół własnej choroby, nie koncentrując się już na

córcie.

Wanda nie wierzyła, że drugi raz jej się uda. Załamała się, czekając na nieuniknione. Cecylia nie mogła pojąć, że to wciąż ta sama osoba. Nie poznawała jej. Kobieta, która potrafiła załatwić wszystko, dla której nie było rzeczy niemożliwych, teraz większość dnia spędzała w fotelu, czytając książkę albo po prostu trzymając ją w ręce i patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. Córka pomagała jej, jak mogła: gotowała, robiła zakupy, sprzątała. O dziwo fakt, że skoncentrowała się na opiece nad matką, spowodował, że jej lęki odeszły w cień. Siedziały uśpione, dając jej szansę pomóc potrzebującej. Opuszczała szkołę, ale teraz już z innego powodu. Nie miała czasu na naukę, co wkrótce odbiło się na ocenach.

– Cecylio, pamiętaj, żebyś się dobrze uczyła, bo po maturze pójdziesz na studia. – Matka niespodziewanie zaczepiła ją któregoś dnia, nieświadoma, że w ostatnim czasie nastolatka otrzymywała słabe stopnie. – Długo myślałam, jaki zawód powinnaś zdobyć. Doszłam do wniosku, że ekonomia będzie lepsza niż prawo. Rozważałam oczywiście medycynę, ale ty się nie nadajesz.

Szkoda, że nie pyta mnie o zdanie, pomyślała Cecylia. W obecnej sytuacji jednak nie chciała z nią polemizować.

Wanda ciągnęła:

– Po ekonomii masz dużo możliwości. Możesz jak ja pracować w banku, ale właściwie masz otwarte drzwi do każdej firmy. Jeszcze się waham, czy lepszy jest marketing i zarządzanie, czy bankowość... Muszę to przemyśleć.

– Ja powinnam nad tym myśleć – mruknęła Cecylia. Nie interesował ją żaden ekonomiczny kierunek. W ogóle nie chciała iść na studia. Każda myśl o przyszłości napawała ją lękiem. Odkładała więc plany na później, zwłaszcza że nie potrafiła wyobrazić sobie siebie za kilka lat. Nie umiała w ogóle przywołać takiego obrazu.

Coraz bardziej męczyła się w szkole, coraz rzadziej w niej bywała. Znowu pojawiły się dawne lęki, dlatego postanowiła całkiem zrezygnować z nauki, tłumacząc, że musi opiekować się matką. Ojciec pracował od rana do wieczora, by zapewnić im życie na porównywalnym jak dotąd poziomie. Potrzeby Cecylii były minimalne, ale lekarstwa Wandy kosztowały sporo. Trzeba było też kupić specjalne łóżko, gdyż coraz więcej czasu kobieta spędzała na leżąc. Nie chcieli wynajmować używanego sprzętu ani pielęgniarki. Cecylia przejęła na siebie obowiązki pielęgnacji i karmienia matki. Wanda stawała się coraz drobniejsza. Gasła. Broniła się przed szpitalem, powtarzając, że chce umrzeć w domu. Córka widziała, jak matka cierpi, ale była bezradna. Leki przeciwbólowe nie pomagały, terapia nie przynosiła poprawy. Rodzina nie mogła patrzeć na jej ból. Najgorsze było to, że Wanda całkiem się poddała.

Życie jest okropne, myślała nieraz Cecylia. Ani moje, ani mamy nie jest nic warte. Ponure myśli nachodziły ją coraz częściej. Skoro nawet taka kobieta jak Krzeczynska znalazła się w sytuacji, na którą nie miała wpływu, to jak pokierować losem może Cecylia?

Gdy któregoś razu ktoś zapukał do drzwi, dziewczyna miała akurat jeden z gorszych dni. Bała się nawet podejść do wizjera. Pukanie jednak nie ustawało, więc zmusiła się i otworzyła zamki.

Za progiem stała Bożenka.

– Cześć – rzuciła, jakby widziały się wczoraj.

Cecylia kiwnęła przyjaciółce głową. Ucieszyła się, że ją widzi, ale chwilę później przestraszyła na myśl o tym, co powie matka. Wciąż pamiętała, jak Wanda krzyczała, że noga Nowakówny nigdy więcej w tym domu nie postanie.

– Przyniosłam owoce. – Koleżanka wyciągnęła w jej stronę torbę z pomarańczami.
– Mogę wejść?

Cecylia patrzyła niepewnie w kierunku przedpokoju. Gość to zauważył.

– Boisz się, że nie spodoba się to twojej mamie?

Kiwnęła niepewnie głową.

– Cecyś, ja jej wybaczyłam. Może ona też już nie pamięta... Dowiedziałam się w szkole, że nie przychodzisz, bo jest chora, więc...

Bez słowa przepuściła przyjaciółkę i pozwoliła jej zdjąć płaszcz. Pociągnęła za rękę do swojego pokoju, a po drodze uchyliła lekko drzwi do sypialni matki, żeby sprawdzić, czy czegoś nie potrzebuje. Spała.

Mimo lęku, że może to skończyć się awanturą, ucieszyła się, że Bożenka do niej przyszła. Stęskniła się za nią bardzo.

– Nie chodzisz do szkoły – stwierdziła przyjaciółka. – Hej, Cela, znów milczysz? Powinnaś chodzić na zajęcia.

Gospodyni wzruszyła ramionami. Nie zależało jej na nauce. Na niczym już jej nie zależało.

– Rozmawiałam z twoją wychowawczynią – ciągnęła Bożenka. – Powiedziała, żeby ci przekazać, że jeśli nie zaliczysz polskiego i chemii, to nie zdasz do trzeciej klasy. I postanowiłam, że... że pomogę ci się uczyć.

Tym razem Cecylia potrząsnęła przecząco głową. Koleżanka chwyciła ją za rękę.

– Odezwij się do mnie. Nie możesz zaważyć szkoły. Wiem, że ci ciężko, ale masz we mnie pomoc. Będę przychodzić codziennie i pomagać ci w lekcjach. Mogę przynosić zeszyty od kogoś z klasy, materiały od nauczycieli, żebyś była na bieżąco. I nawet zakupy zrobię.

– Nie trzeba – wybrzmiało bardzo słabo.

– Trzeba! Celka! Zależy mi na tobie. Chcę ci pomóc.

Cecylii też bardzo zależało na Bożence – tej jedynej osobie, która sprawiała, że czasem chciała żyć. Jej przyjaciółce. Wspomnienia spowodowały, że nastolatka się uśmiechnęła. Ogarnęła ją radość, że jest koło niej ktoś, kto naprawdę przejmuje się jej losem.

– Opowiedz mi coś wesołego – poprosiła. Potrzebowała historii, która ubarwi jej życie. Czegoś radosnego, podnoszącego na duchu.

– Opowiem, a od jutra zaczniemy się uczyć – zdecydowała i nie dała się długo prosić.

– Kilka lat temu pojechalśmy ze świetlicy środowiskowej do lunaparku do Chorzowa. To był prezent na Dzień Dziecka. Każdy z nas dostał kilka żetonów, które mógł wykorzystać, na co chciał. Najpierw poszłam do labiryntu strachu, ale nie bałam się wcale. Potem strzelałam do miśków. Prawie mi się udało, ale zawsze maskotka się zahaczyła i nie spadła. Tam wykorzystałam prawie wszystkie żetony. Byłam wściekła, bo nic mi się nie udało. Już nawet chciałam oddać koleżance ostatni bilet, ale pani namówiła mnie, żebym wskoczyła na karuzelę. Były latające samoloty, jeżdżące słonie, koniki, nie wiem, co tam jeszcze... wszystko dla maluchów. I nagle zobaczyłam karuzelę łańcuchową. Wiesz, jak to wygląda?

– Nigdy nie byłam w lunaparku. Kiedyś widziałam w jakimś filmie – odrzekła Cecylia cicho.

– No więc ta karuzela to takie krzeselka przyłączone łańcuchami do koła. Kiedy się kręci, siedziska się oddalają. Pamiętasz, jak na przyrodzie robiliśmy takie doświadczenie z siłą odśrodkową? No to tak to mniej więcej wygląda!

– To chyba fajnie. Nie bałaś się?

– No co ty! Ale jeszcze nie powiedziałam ci najważniejszego. – Bożenka zamilkła na chwilę, by podsyć ciekawość koleżanki.

Widać było, że uwaga Cecylii odplynęła od codziennych problemów. Wyczekująco patrzyła na przyjaciółkę, żądna opowieści.

– Nie chcieli mnie wpuścić, bo spostrzegli, że jestem za mała, ale uprosiłam pana przy bramce i się zgodził. Zrobił to pewnie dlatego, że byłam gruba i cięższa niż niektóre dziesięciolatki. Zaczęło się kręcić. Najpierw trochę się podniosło, ale nie za wysoko, a potem... im szybciej, tym wyżej leciało krzeselko. Zamknęłam oczy i wtedy...

– Co się stało? – Cecylia przyłożyła rękę do ust i zastygła.

– Wtedy poleciałam. Naprawdę. Zobaczyłam cały lunapark z góry. Dzieci ze świetlicy i panią. Leciałam coraz wyżej i wyżej. Byłam taka szczęśliwa!

– Jak to?

– Nie wiem jak. Teraz wydaje mi się to niemożliwe, ale pamiętam, że byłam jakby wysoko nad karuzelą. Nie wierzysz mi?

– Wierzę. Ojejciu, a nie bałaś się, że spadniesz?

– Nie, bo byłam przyczepiona łańcuchami. Kiedy karuzela zwolniła, zaczęłam opadać. To było cudowne uczucie. Bardzo chciałabym tak polecieć jeszcze raz. Pojedziemy kiedyś razem do Chorzowa?

– Ja... ja nie dałabym rady.

– Dałabyś. Nigdy nie pragnęłaś unosić się nad ziemią?

Cecylia się zastanowiła. Nie. Nigdy nie myślała o lataniu, które w gruncie rzeczy napawało ją lękiem. Ale kiedy Bożenka opowiadała o tym z tak wielkim zaangażowaniem, czuła jej szczęście. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że kręci się na karuzeli, potem że lata i unosi się nad domem, osiedlem i miastem. Oddychała powoli, a z każdą porcją tlenu po ciele rozchodził się spokój. Im wyżej się wznosiła, tym bardziej dystansowała się od swoich problemów i lęków.

– Hej! Zasnąłaś? – Ktoś chwycił ją za rękę. – Co ci jest?

Otworzyła oczy. Przed nią stała Bożenka z zaniepokojonym wyrazem twarzy.

– Nie, nic... Wyobraziłam sobie to latanie. To mogłoby być piękne.

– Więc zawieramy umowę. Jak skończymy drugą klasę, to w nagrodę pojedziemy do lunaparku.

Cecylia nie była pewna, czy kiedykolwiek się na to odważy. Ale przecież marzyć mogła. Pokiwała więc powoli głową.

Rozdział 15

Wanda przebudziła się, gdy Cecylia zamykała za koleżanką drzwi. Kiedy tylko córka zajrzała do jej pokoju, chora nieznacznie podniosła się na łokciu i słabym głosem zapytała:

– Kto to był?

– E, nikt.

– Powiedz prawdę. – Głos matki był słaby. Brakowało w nim tej stanowczości, którą zawsze wkładała w rozmowy z córką.

Cecylia nie mogła się zdecydować, czy to była prośba, rozkaz czy po prostu zdanie twierdzące. Chwilę wahała się, co odpowiedzieć, aż nagle poczuła, że nie chce jej okłamywać.

– Bożenka Nowak.

Wanda milczała, patrząc na córkę wzrokiem bez emocji. To było do niej niepodobne. Cecylia od dziecka zawsze widziała wzburzenie na twarzy matki. Ona nie była kobietą bez wyrazu. Aż do teraz. Jej ton, gesty, mimika obecnie były płaskie i bezbarwne jak stojąca w szklance woda. A jednak odpowiedź musiała poruszyć w niej jakąś strunę, bo po chwili powoli przez zęby wycedziła:

– Mówiłam, że nie życzę sobie jej obecności w tym domu. Jak śmiała przyjść? Zaprosiłaś ją?

– Nie, ja...

Cecylia walczyła ze sobą. Z jednej strony pragnęła wykrzyknąć matce, że nie ma zamiaru

jej słuchać, że nie zrezygnuje z dopiero co odzyskanej przyjaźni, i przyznać, że od jakiegoś czasu ją okłamuje, utrzymując z koleżanką kontakty, a z drugiej strony czuła narastające wyrzuty sumienia. To matka wiedziała, co dla niej najlepsze, to ona poświęciła swoje życie, by wychować córkę, a ta nie uszanowała jej życzenia. Nagle dziewczyna uświadomiła sobie, jaki przekaz niosą jej myśli. Wanda poświęciła dla niej życie. Poświęciła życie – kołatało wciąż w jej głowie. Patrząc na matkę, widziała obraz nędzy i rozpacz: wychudzoną postać z cierpieniem wypisanym na poszarzałej twarzy, umykającą temu światu. Cecylia czuła całą sobą, że to ostatnie chwile chorej. I bardzo, ale to bardzo pragnęła, by rodzicielka znów zwalczyła chorobę, która wyniszczała jej ciało. Z dnia na dzień było gorzej. Nikt nie miał już nadziei, że stan Wandy się poprawi.

– Mamusiu, przepraszam. Myślałam, że... Nie, proszę, pozwól mi powiedzieć, co chcę. Nie przerywaj, bo to dla mnie bardzo ważne.

Wanda patrzyła na córkę zmęczonym wzrokiem. Położyła się z powrotem na poduszce, nie odzywając się już i pozwalając jej mówić dalej. W gruncie rzeczy była ciekawa, co też Cecylia ma do zakomunikowania tak ważnego, że odważyła się jej sprzeciwić.

– Mamusiu, ja ci wszystko powiem, tylko nie gniewaj się na mnie. Nie chciałam sprawić ci przykrości. Wiem, że nie lubisz ani Bożenki, ani jej rodziny, i choć nie rozumiem dlaczego, akceptowałam to. Ale kiedy ją spotkałam w mojej szkole, gdzie nie ma nikogo, kto by mnie lubił, to bardzo się ucieszyłam. Ona nie jest zła. To naprawdę wartościowa dziewczyna. Pomaga mi bardzo i w szkole, i w ogóle we wszystkim, bo ja dzięki niej nie boję się tak bardzo. Mamusiu, ona mnie rozumie jak nikt inny. Nie mam nikogo. To znaczy jesteście ty i tata, ale sama przecież mówiłaś, że powinnam wychodzić do ludzi i mieć przyjaciół. Może Bożenka nie jest taka, jak byś chciała dla mnie, ale przecież to nic złego, że pochodzi z niewykształconej rodziny, jeśli sama dobrze się uczy i uczęszcza do liceum. Ona chce pójść na studia. Poza tym bardzo się zmieniła, zmądrzała i schudła. Nauczycielka poprosiła ją, żeby pomogła mi zaliczyć ten rok, bo inaczej nie skończę drugiej klasy... – przerwała, by zaczerpnąć oddech. Spojrzała na matkę, a ta podniosła rękę, jakby chciała powiedzieć „dość”. Dziewczyna zamilkła więc i czekała na jej reakcję.

– Bardzo to chaotyczne, co powiedziałaś. Nie wszystko zrozumiałam. Ale chyba wiem, o co ci chodzi. Widzę też, że walczę z wiatrakami. Jesteś już na tyle duża, że sama możesz dokonywać wyborów i spotykać się z takimi ludźmi, z jakimi masz ochotę. Jeśli ta dziewczyna jest tak wspaniała, to proszę, rób, co chcesz. Mam tylko jeden warunek. Właściwie dwa. Nie wymagaj, żebym i ja się musiała z nią bratać, i nie przychodź do mnie z płaczem, jak przejedziesz się na tej niby-przyjaźni. Mam przecucie, że jeszcze będziesz przez nią płakać.

Cecylia dopadła do łóżka mamy, chwyciła ją za rękę i ucałowała.

– Dziękuję, mamusiu, dziękuję!

Wanda jednak wyrwała dłoń, prychnąwszy, co też jej córka wyprawia.

– Idź już lepiej. I zrób mi herbaty – dodała.

Nazajutrz po tej rozmowie Cecylia zadzwoniła do przyjaciółki, by powiedzieć, że matka zgodziła się na ich spotkania. Teraz nie będą musiały już się ukrywać. Bożenka będzie mogła oficjalnie pomagać Cecylii w nauce.

Przez kolejne tygodnie życie toczyło się spokojnie. Stan Wandy nie poprawiał się, ale też nie pogarszał, co dawało rodzinie pewną stabilizację. Zawsze kiedy do domu Krzeczynskich przychodziła Bożenka, chora spała albo udawała, że śpi. Marian kilka razy spędził czas z córką i jej przyjaciółką. Ku wielkiej radości ojca Cecylii jadającego zazwyczaj obiady w przykładowej stołówce albo byle co w domu, Bożenka od czasu do czasu gotowała coś dla nich. Ani Cecylia, ani Wanda nie jadły zbyt wiele, a już żadna z nich nie tylko nie miała ochoty

na pichcenie, ale i nawet nie posiadały umiejętności, by wyczarować pyszne potrawy z tego, co akurat jest w lodówce. Bożenka zawsze wpadała na jakiś pomysł. Od najmłodszych lat podpatrywała babcie Dusię, która gotowała dla rodziny, znała sztuczki kucharskie i doskonale doprawiała dania.

– Jadłyście coś dzisiaj? – Bożenka często pytała, wchodząc do domu koleżanki.

Ta zwykle wzruszała ramionami, bo jedzenie nigdy nie było tym, czym miałyby ochotę zawracać sobie głowę.

– Kromkę z szynką na śniadanie. Nie jestem głodna.

– Musisz zjeść coś ciepłego. Przecież już trzecia! A mama?

– Dziś tylko herbatę piła. Nie chciała nic więcej. Może gdy tata przyjdzie, to coś przyrządzimy.

Bożenka otworzyła lodówkę, w której wiało pustką.

– Macie mniej niż my. Tak nie można. Chcesz się zagłodzić? – Pokiwała głową z dezaprobatą. Zaglądała do szafek kuchennych, zupełnie nie przejmując się tym, że jej panoszenie się w obcym domu mogłoby być źle przyjęte. Czuła się u Krzeczpińskich swobodnie, czego nie można było powiedzieć o młodej gospodyni, która stała spięta w drzwiach do własnej kuchni i przyglądała się poczynaniom koleżanki.

– Są ziemniaki i jest mleko. Raz-dwa zrobimy hulajdy.

– Co? – Cecylia pierwszy raz słyszała tę dziwną nazwę.

– Nie znasz hulajd? Ej, to kluski ziemniaczane na mleku. Nic innego nie ma, więc musi wam to wystarczyć. U nas często je jemy, ale trochę wcześniej, nigdy po południu. No ale w awaryjnych sytuacjach mogą być i teraz. Moje rodzeństwo je uwielbia.

Cecylia nie była pewna, czy danie, o którym mówi koleżanka, będzie jej smakować. Nie lubiła zup mlecznych, a ziemniaki w ogóle jej do tego nie pasowały. Wzruszyła jednak ramionami i dalej przyglądała się Bożence.

– Zaraz cię nauczę. Nie stój jak kołek, tylko weź tarkę i trzyj ziemniaki, które obiorę.

Pracowały w milczeniu. Ale to milczenie było dobre. Przez chwilę żadna z nich nie myślała o problemach. Ich celem było uformowanie ziemniaczanych kuleczek i to je w tej chwili zajmowało. Kiedy danie było gotowe, Cecylia czuła już burczenie w brzuchu, więc zjadła ze smakiem. Godzinę wcześniej krzywiła się na myśl, że tak pospolita rzecz może przejść jej przez gardło, ale wspólna praca i uczucie włożone w każdą kluskę nadały jedzeniu niepowtarzalny smak.

– To do zobaczenia jutro. Mam nadzieję, że twoja mama zgodzi się, żebyś wyszła na chwilę z domu. Mam dla ciebie niespodziankę! – Kiedy żegnały się po odrobieniu lekcji, Bożenka mrugnęła do przyjaciółki i zniknęła za drzwiami.

Cecylia zaciekawiona, co też planuje koleżanka, już chciała za nią krzyknąć, by zapytać o szczegóły, ale usłyszała prośbę mamy, żeby do niej podeszła. Nie przyszło jej nawet do głowy, że nazajutrz według kalendarza są imieniny Cecylii i choć to nie tego dnia obchodziła swoje święto, zapewne z tej właśnie okazji Bożenka coś wymyśliła.

Wanda była bardzo słaba. Większość dnia spała odurzona środkami przeciwbólowymi. Mimo to Cecylia nie chciała jej okłamywać. Poprawiła mamie poduszki, przyniosła wodę i lekarstwa. Opowiedziała, jakie zadania odrabiała z Bożenką, aż w końcu zebrała się na odwagę i wyznała, że chciałaby nazajutrz wyjść z koleżanką. Nie spotkała się z żadnym komentarzem. Ostatnio Wanda nie sprzeciwiała się niczemu, tylko z rezygnacją wzruszała ramionami na wszystko, co proponowała córka.

Tego dnia wieczorem Cecylia nie mogła zasnąć. Przez ostatnie tygodnie wyszła z domu zaledwie kilka razy do szkoły, by zdać testy. Bożenka była nieoceniona. Spędzała wiele godzin

u Krzeczynskich, przerabiając z przyjaciółką kolejne partie materiału i gotując obiady. Wanda, choć jadła niewiele, nigdy nie powiedziała złego słowa ani nie wybrzydzała, choć potrawy były inne niż te, które zwykło się jadać w jej rodzinie. Bożenka przyniosła swoje umiejętności i przepisy, których nauczyła ją babcia, a krzątanie się po kuchni przychodziło jej tak naturalnie, jakby to była najzwyczajniejsza aktywność niewymagająca żadnego wysiłku. Dla Cecylii przyrządzanie potraw było czymś zupełnie obcym. Czasem musiała przygotować jedzenie dla siebie i rodziców, ale nigdy nie robiła nic wyszukanego, a i tak potrafiła coś zepsuć: a to rozgotowała ryż, a to makaron za szybko odcedziła, jajecznicę nie posoliła czy przypaliła mięso. Mimo wszystko Marian był zachwycony, kiedy po wielogodzinnej pracy po powrocie do domu czekał na niego pachnący obiad. Doceniał zarówno wysiłki córki, jak i umiejętności jej przyjaciółki.

– Ta Bożenka ma dar. Mąż będzie z niej zadowolony – chwalił. – Takie pyszne gołąbki to jadłem ostatnio wiele lat temu, jak moja mama gotowała.

Krzeczynski nie tylko przypominał sobie smaki z dzieciństwa, kiedy to dziadkowie przygotowywali świszcz czy tradycyjną ciapkę, ale ze smakiem zajadał zapiekanki makaronowe, ziemniaki po cabańsku czy zwykłe kotlety. Cieszył się, że jest ktoś, kto dba o jego rodzinę i wprowadza trochę życia do ich domu. Nie musiał też szukać żadnej pomocy. Początkowo krępował go taki układ, w końcu równolatka córki była jeszcze dzieckiem. Potem kilka razy zaproponował, że zapłaci Bożence za pomoc, jednak kiedy Cecylia jej to przekazała, ta kategorycznie odmówiła:

– Słuchaj, to nie jest dla mnie jakaś praca. Ja po prostu chcę ci pomóc. I tyle. Zakupy robię po drodze za wasze pieniądze, nic nie dokładam, a gotuję, bo uwielbiam i sama przecież jem. Przynajmniej pożytecznie spędzamy razem czas.

Nie było mowy, by wzięła choć grosz, który przecież bardzo przydałby się w jej domu. Co z tego, że nie dokładała do zakupów, skoro większość dnia spędzała u Krzeczynskich, zamiast wracać do swoich bliskich.

O wszystkim tym myślała Cecylia, kiedy nie nadchodził sen. Czowała podniecenie na myśl o jutrzejszym dniu. Nie lubiła niespodzianek, ale wierzyła w przyjaciółkę i dlatego postanowiła zgodzić się na to, co ta jej proponuje. Będzie walczyć ze swoimi lękami, wyjdzie z domu, zrobi wszystko, byle Bożenka była przy niej.

Umówiły się nazajutrz na dwunastą. Kiedy wybiło południe, Cecylia siedziała jak na szpilkach, co chwilę wyglądając przez okno. Był pogodny dzień, ale niewiele osób poruszało się po ulicy. Uczniowie spędzali czas w szkole, dorośli w pracy, a emeryci woleli robić zakupy czy spacerować rano, bo czerwcowy skwar już dawał się we znaki. Cecylia patrzyła na zegar wiszący w przedpokoju. Minął kwadrans, a koleżanki wciąż nie było. Nigdy nie spóźniała się i zawsze dotrzymywała słowa.

Dziewczyna zajrzała do pokoju matki. Chora spała. Dla pewności podeszła do jej łóżka i sprawdziła oddech. Był płytki, ale spokojny. Patrzyła przez chwilę na twarz Wandy. Pograżona we śnie, nie cierpiała. Morfina podana przed godziną musiała działać. Córka wycofała się więc z pokoju, zamykając delikatnie drzwi. Było w pół do pierwszej.

Nagle jej ciało przebiegł dreszcz. Pojawiło się złe przeczucie, nieokreślony lęk. Dziewczyna otworzyła drzwi wejściowe, jakby ten gest miał sprawić, że Bożenka pojawi się tuż za nimi. Nie podziałało. Kolejne minuty spędziła więc wpatrzona w okno, przez które nawet nie chciała wyglądać. Po drugiej stronie rynku drzewo falowało na wietrze. Czyżby zbierało się na burzę? – pomyślała. Jeszcze przed chwilą powietrze stało w miejscu, a teraz gałęzie mocno się poruszały.

– To zły znak – mruknęła do siebie. – Zły...

Po kolejnych trzydziestu minutach Cecylia zdała sobie sprawę, że Bożenka nie przyjdzie. Nie wiedziała tylko dlaczego. W pierwszej chwili chciała wyjść, by ją odszukać, ale kiedy zerknęła jeszcze raz przez okno i zobaczyła jakiegoś przechodnia, któremu wiatr porwał czapkę z głowy, odrzuciła ten pomysł. Zresztą, gdzie miałyby szukać koleżanki? W szkole? W parku? Przecież nie pojedzie do Trzebini. Nie wiedziała nawet, gdzie Nowakowie mieszkają.

Wieczorem było jasne, że coś się wydarzyło. Dla każdego z domowników oznaczało to coś innego.

– Pewnie jej rodzice zabronili. W końcu mieli dość, że ich córka całymi dniami przesiaduje u nas. Mówiłem, że powinniśmy zapłacić za pomoc – skomentował Marian, kiedy Cecylia podzieliła się z nim wątpliwościami.

– Myślę, tato, że stało się coś złego. Pojedź, proszę, do Trzebini i dowiedz się, o co chodzi.

– Po prostu jej się znudziło. Ostrzegałam cię. Nie powiem, pomagała dużo, ale tyle może robić każda pomoc domowa. To fałszywe dziewczynisko.

– Nie mów tak, mamuś, Bożenka nie jest taka... – Cecylii zebrało się na płacz. Nie zwróciła nawet uwagi na to, że tyle słów naraz jej matka nie wypowiedziała przez ostatnie miesiące.

Nastolatka wyszła do swojego pokoju, zostawiając niemal nietkniętą kolację. Na łóżku czekał na nią niezawodny Pelusz. Wtuliła się w niego, połykając łzy. Nie chciała wierzyć matce, bo to by oznaczało, że nie jest w stanie sama ocenić człowieka. Zaufała Bożence tak, że bez wahania oddałaby za nią życie. Przyjaźń z nią była sensem jej istnienia, jedyną podporą, której zawdzięczała tak wiele.

Kiedy matka znów zasnęła, Cecylia podeszła do ojca i ponownie poprosiła, by udali się do Trzebini.

– Wiesz, gdzie ona mieszka?

– Nie wiem, ale popytamy. Na pewno ktoś ich zna.

– Kochanie, w Trzebini mieszka osiemnaście tysięcy ludzi. Myślisz, że na ulicy ją znajdziemy? A co, jeśli mama ma rację? Staniesz w drzwiach jej domu i co powiesz rodzicom? Poczekaj, jeśli coś się stało, to na pewno ktoś cię zawiadomi. Przecież Bożenka ma numer twojego telefonu. Wkrótce zadzwoni.

– Boję się... – Przytuliła się do ojca, a jej ciałem wstrząsały dreszcze. Dawne demony wróciły, jakby nigdy nie odeszły, tylko drzemały pod skórą, by wyjść nagle na powierzchnię, burząc tak mozolnie wypracowany spokój.

Przez kilka kolejnych dni wciąż nie nadeszła żadna wiadomość. Cecylia tak długo prosiła ojca, żeby pojechał z nią do miasteczka, w którym mieszkała koleżanka, że w końcu któregoś wieczoru wziął córkę do samochodu i wyruszyli na poszukiwania. Poblądzili trochę po rynku i w okolicy dworca, bo nie mieli pomysłu, co robić.

– Przypomnij sobie coś. Na pewno opowiadała ci o swojej rodzinie. Gdzie pracują, gdzie chodzą na spacer, cokolwiek, co pomoże ich zlokalizować.

Cecylia wyteżyła pamięć, nerwowo nawijając kosmyk włosów na palce.

– Nie wiem. Zaraz... Bożenka mówiła, że jej rodzeństwo chodzi tu do szkoły podstawowej, która jest na osiedlu obok... – Zamyśliła się, a po chwili dodała: – Jej mieszkanie jest stare i ciemne, chyba w kamienicy, małe, ale piętrowe.

Usiedli na ławeczce przy trzebińskim rynku, patrząc na zachodzące słońce. Szkół podstawowych w Trzebini było kilka. Na razie mieli za mało wskazówek. Dziewczyna intensywnie myślała, a ojciec jej nie poganiał. Wiedział, że to dla niej ważne, ale nie liczył, że uda im się odnaleźć Nowaków.

– Mam! – Cecylia nagle podskoczyła i zaczęła ciągnąć Krzepczyńskiego za rękaw.
– Chodź, zapytajmy.
– Ale o co?
– No jak to o co? O sklep. O sąsiada.
– To o sklep czy o sąsiada? – Marian nie rozumiał.
– Bożenka mówiła, że babcia Dusia zawsze robi zakupy u sąsiada, gdy wraca z dziećmi do domu. Trzeba zapytać, co to za sąsiad.
– Przecież to za mało. Nie znajdziemy...
– Przepraszam, że się wtrącam, ale czy szukają marketu Lewiatan? – odezwała się siedząca nieopodal staruszka, która już od dłuższego czasu obserwowała nieznaną, interesując się ich rozmową.
– Nie. Chodzi o jakiś sklep sąsiada pewnych ludzi – odpowiedział Krzepczyński, a po chwili dodał: – Właściwie to nawet nie sklepu szukamy.
– A szkoda. Myślałam, że pomogę, bo jest tu market w centrum handlowym U Sąsiada. Ale skoro nie o to się rozchodzi...
– O to! – krzyknęła Cecylia tak głośno, że nawet Marian się zdziwił, bo nigdy nie słyszał, by córka tak zwracała się do kogokolwiek. – Czy jest tam obok jakaś szkoła?
– Tego to nie wiem, ale zdaje się, że jest, bo tam dużo bloków postawili. Młodzi mieszkają, boisko jakieś jest. Idą zobaczyć, bo to niedaleko stąd. – Wskazała laską kierunek.
– Pójdą prosto i tam zapytają. Trafiają.
Cecylii nie trzeba było niczego więcej. Pociągnęła ojca za rękę i szybkim krokiem pomknęła we wskazaną stronę. Po kilku minutach stali już pod sklepem U Sąsiada.
– Przepraszam, czy tu jest gdzieś szkoła podstawowa? – zapytał Marian przechodnia.
Młoda dziewczyna z dzieckiem w wózku i dwiema siatkami przywieszonymi na uchwytach wskazała kierunek, mówiąc, że rzeczywiście tam jest szkoła, ale nie wie dokładnie jaka. Gdy zlokalizowali już sklep i szkołę, z dużym prawdopodobieństwem mogli określić, że gdzieś w pobliżu mieszkają Nowakowie. Pokręcili się po okolicy do zmroku. Gdy dotarli na osiedle Krakowska, Cecylia miała przeczucie, że są u celu. Tylko jak trafić pod właściwy adres?
– Jest późno. Wracajmy. – Marian miał już dość. – Nie będziemy przecież pukać do każdego drzwi. Ktoś zaraz wezwie policję, bo szwendamy się tu od dłuższej chwili.
– Jesteśmy blisko, tatusiu.
– Córeczko, daj spokój. Wrócimy tu jeszcze. Muszę wymyślić sposób, jak ich znaleźć.
– A może rozwiesimy ogłoszenia?
– To nie jest dobry pomysł. Co chcesz napisać? Poszukuję Bożenki Nowak, która mieszka gdzieś w okolicy?
Cecylia się zasepiła. Przez chwilę wydawało jej się, że znalazła rozwiązanie. Spuściła głowę. Posłusznie wróciła z ojcem do samochodu i odjechali do domu.
Przez całą drogę rozważali, co zrobić. Pomimo że nie osiągnęli rezultatu, ich wspólna wyprawa była ciekawą przygodą i miłym czasem spędzonym we dwoje. Tak rzadko robili coś razem, a przecież oboje bardzo tego potrzebowali. Cecylia spojrzała na ojca skupionego na prowadzeniu samochodu i uśmiechnęła się do niego.
– Dziękuję – szepnęła, a Marian odwzajemnił się jedynie skinieniem głowy.
Nie musiała dodawać, za co jest mu wdzięczna. Tego dnia rozumieli się doskonale. Cecylia zapomniała na chwilę o swoich problemach, całkiem oddała się myśli, że musi odnaleźć przyjaciółkę, a tata był gotów jej w tym pomóc. Zaplanowali dalsze działania, niestety sytuacja zmusiła ich do odłożenia planów na później.

Rozdział 16

Gdy tylko weszli do domu, wiedzieli, że dzieje się coś złego. Z pokoju Wandy dochodził jednostajny dźwięk. Choć jęk był cichy, dało się wyczuć w nim ogromne cierpienie. Marian podbiegł do żony i gdy tylko ujrzał jej twarz, zawołał:

– Dzwon po pogotowie!!!

Wzrok Wandy mówił wszystko. Ból, który odczuwała, prawdopodobnie był silniejszy od każdego ataku, które towarzyszyły jej od miesiący. W oczach widać było szaleństwo osoby niemogącej znieść więcej. Kobieta wbiła palce pozbawione paznokci w rękę Mariana, gdy tylko dotknął jej czoła. Usta chorej szeptały coś. Błagały.

Nachylił się nad żoną, unikając jej wzroku. Niemal odczuwał jej ból. Łzy zwilżyły mu oczy.

– Pomóż mi. – Ledwo dosłyszał. – Pomóż mi... umrzeć.

– Nie! – krzyknął, a zaraz potem zawstydził się podniesionego głosu i dodał już łagodniej:

– Zaraz przyjedzie pogotowie. Dadzą ci lek.

– Chcę odejść.

Mężczyzna odstał od posłania żony. Przechadzał się, nie wiadomo w jakim celu, po pokoju. Pod okno i z powrotem do łóżka, na którym leżała chora. Miotał się tak kilka razy. Nagle walnął pięścią w stół.

– No gdzie jest to cholerne pogotowie?! Cecylia, dzwoni tam natychmiast i powiedz, że mają tu być! Natychmiast!!!

Córka nie zareagowała. Kuliła się w przedpokoju pod wieszakiem na płaszcze. Choć była znacznie dalej niż Krzeczynski, usłyszała słowa matki. Zatykała uszy, a głowę wcisnęła między kolana. Słyszała ojca, ale go nie rozumiała. Na jej ciele pojawiła się gęsia skórka, a w głowie kręciło tak, jakby była na karuzeli. Czas się zatrzymał, choć ona pędziła jak oszalała.

Nareszcie dał się słyszeć sygnał karetki. Marian otworzył drzwi na oścież i wybiegł na klatkę schodową, jakby to miało przyspieszyć interwencję ratowników. Pojawili się wkrótce i po wstępnym badaniu oraz założeniu kroplówki zdecydowali, że zabiorą Wandę do szpitala. Krzeczynski wybiegł za nimi. Nikt nie zwracał uwagi na dziewczynę, która pragnęła na zawsze stać się niewidzialną.

Marian spędził całą noc w szpitalu, towarzysząc żonie w agonii. Czuł bezradność, podobnie jak lekarze, którzy mogli jedynie uśmierzyć ból w ostatnich chwilach jej życia. Odeszła nad ranem.

Cecylia spędziła ten czas w przedpokoju pod wieszakiem na płaszcze, przytulając się do buta matki. Wzięła go do ręki bezwiednie, może podświadomie, jednak głównie po to, by trzymać coś, co będzie dawać choć odrobinę poczucia bezpieczeństwa. Ojciec znalazł ją dopiero późnym rankiem, gdy wrócił do domu. Zaniósł Cecylię do pokoju. Nie była już małą dziewczynką, jednak jej ciało wydało mu się bardzo kruche. Nigdy wcześniej nie zastanawiał się, czy jego córka jest taka jak jej rówieśnice. Nie przywiązywał wagi do jej wyglądu. Przebudziła się i spojrzała na ojca, nie odzywając się ani słowem.

– Mama... odeszła... – Głos uwiązał mu w gardle. Mężczyzna nie mógł dodać nic więcej.

Cecylia zamknęła oczy. Odpłynęła w swój świat.

Przez łzy patrzył na córkę. Była tak bardzo podobna do Wandy. Miała ten sam nos i identyczne kości policzkowe. Kolor włosów bardziej szary niż matka, nim jeszcze zaczęła je farbować. Cecylia była spocona. Na jej czole widniały kropelki potu. Miała na sobie sweter, który założyła w samochodzie, gdy wracali z Trzebini poprzedniego wieczoru. Rozpiął go delikatnie. Jego mała dziewczynka nie była już dzieckiem. Ta myśl spowodowała, że poczuł zawrót głowy. Co on wiedział o młodych kobietach?

– Jak my sobie damy radę? Jak? – zapłakał ponownie, siadając na dywanie u wezglowia

łóżka.

Cecylia przespała cały dzień. Wieczorem wstała jedynie do toalety, ale nadal nie odezwała się słowem do ojca. Jemu to było na rękę. Zbyt wiele miał spraw do przemyślenia. Nic nie jedli, bo ani jedno, ani drugie nie odczuwało głodu.

Kolejny dzień upłynął jak w transie, z którego Marian nic nie zapamiętał. Sprawą organizacji pogrzebu zajął się zakład pogrzebowy, którego ulotkę znalazł w szpitalu. Kazano mu wprawdzie wybrać trumnę, wieniec i przynieść ubranie, ale działał tak mechanicznie, że gdyby później ktoś go zapytał, w czym pochowana została Wanda, nie potrafiłby sobie przypomnieć.

Ceremonia pogrzebowa rozpoczęła się w kościele pod wezwaniem św. Mikołaja. Marian sam płakał nad trumną, bo córka odmówiła wyjścia z domu. Nawet nie wstała z łóżka. Patrzyła tępo na ścianę lub po prostu spała. Krzepczyński też miał ochotę zamknąć się w czterech ścianach i w ciszy przeżywać tragedię, ale nie mógł zostawić żony samej w jej ostatniej drodze.

Koledzy z chóru stawili się w pełnym składzie, by odśpiewać *Anielski orszak* i kilka innych pieśni pogrzebowych. Marian spojrzał na balkon, gdzie znajdował się zespół, z którym śpiewał przed laty na niejednej podobnej ceremonii. Przez chwilę wyobraził sobie, że jest tam z kolegami, a uroczystość dotyczy nieznanego mu osoby, jednak szybko wróciła gorzka świadomość. Zauważył, że jego miejsce nie jest puste. Stał tam charakterystyczny mężczyzna w średnim wieku. Nie znał go, ale w tej chwili nic go to nie obchodziło.

Niewiele z tego dnia zapamiętał. Odprowadził żonę na miejsce pochówku w pobliżu kaplicy rodu Loewenfeldów, spoglądał w milczeniu, gdy trumnę złożono do kwatery, i rzucił na nią garść ziemi. Nie potrafił powiedzieć, ile osób uczestniczyło w pogrzebie i kto właściwie był, bo sam czuł się tak, jakby znalazł się na pustyni, w wielkiej przestrzeni pozbawionej nie tylko ludzi, ale jakichkolwiek form życia.

Nie pamiętał także, że przyjmował kondolencje, że kilka osób pytało go o córkę. Nie mógł przypomnieć sobie, co im odpowiedział. Dlatego, kiedy późnym wieczorem do drzwi ktoś zadzwonił, zdziwił się, widząc dwóch mężczyzn. Felek, kolega z chóru, stał w progu z mężczyzną, który zastąpił tenor Mariana na mszy.

Gospodarz nie miał ochoty na towarzystwo, ale wpuścił gości do domu.

– Cześć, pomyślałem, że chciałbyś z kimś pogadać. – Mężczyzna wyciągnął whisky i wsunął butelkę w dłoń kolegi.

– Nie mam ochoty pić.

– Nikt ci nie każe opróżniać całej flaszki, ale szklaneczkę dla rozluźnienia... Czemu nie? Słuchaj, to jest Janek, który gości w naszej parafii przez kilka dni. Przyszedł ze mną, bo... bo mu powiedziałem, co się dzieje z twoją córką, i on chyba ma pewien pomysł. Ale o tym później. Najpierw pozwól nam usiąść.

Marian skinął głową i przepuścił mężczyzn do salonu. Jan wyciągnął do niego dłoń na powitanie, ale wdowiec chyba jej nie zauważył. Nie był pewien, czy Cecylia śpi, czy nie, i czy słyszała słowa Felka. Nie wiedział, co wymyślili, ale nie miał zamiaru korzystać z niczyjej pomocy.

Jedynie dobre wychowanie nakazywało mu przyjąć gości. Wyciągnął więc trzy szklanki i postawił na stole.

– Przepraszam, ale nie mam czym was poczęstować. Od kilku dni nie robiliśmy zakupów.

– A co jedliście?

– Właściwie to... nic.

– Jak to nic? Marian, Wanda zmarła trzy dni temu! Czy od tego czasu byłeś w kuchni?

– Nie, ale... – Machnął ręką. – Po prostu nie czuję głodu.

– Ale masz córkę. Może nie wychodzi z domu, bo nie ma siły? Kiedy coś jadła?

– Nie wiem.

Krzepczyński patrzył na kolegów z rezygnacją. Było jasne, że nie ogarnia tego, co dzieje się wokół niego. I nagle poczuł ogromną potrzebę podzielenia się swoimi obawami związanymi z Cecylią.

– Nie wiem, jak do niej podejść. Od lat są z nią problemy. Ma okresy, kiedy milczy i nic do niej nie dociera, ma napady paniki, boi się wychodzić z domu, traci przytomność, głodzi się, nie wiem, co jeszcze... Chodziła do psychologa, ale nie mam pojęcia, co jej jest. To Wanda wszystko wiedziała. Myślałem, że ona udaje, ale chyba nie symuluje. Od kiedy moja żona... Wanda... odeszła, Cecylia nie wstaje z łóżka. Czasem tylko patrzy na mnie tak, jakby mnie winiła, jakby chciała powiedzieć, że to ja zabiłem jej matkę.

Wychylił duszkiem szklaneczkę alkoholu i nalał sobie drugą porcję, po czym powtórnie przyłożył szkło do ust. Gdy po raz trzeci sięgnął do butelki, Jan mocno ją przytrzymał.

– Nie w takim tempie. – Wyjął z ręki gospodarza naczynie i postawił na stole. – A teraz mnie posłuchaj.

Krzepczyński pokręcił głową z rezygnacją, a potem ukrył twarz w dłoniach.

– Mieszkam z rodziną w Marcicach. To piękna wieś w środkowej Polsce. Prowadzimy tam dom dla osób, które nie radzą sobie z życiem, zmagają się z różnymi problemami. Nie przyjmujemy więcej niż trzech kuracjuszy jednocześnie i zapewniamy im kompleksową opiekę. Niezależnie od problemu organizujemy fachową pomoc, a przebywanie wśród przyrody pomaga wrócić do zdrowia. Potrzebujący przyjeżdżają do nas na tak długo, jak trzeba. Może zgodziłbyś się, żeby twoja córka znalazła się pod naszą opieką?

– Nie pomożecie jej. Ona się boi ludzi. Całkiem oszaleje beze mnie.

– W takim stanie skazujesz ją na koszmar. Przywieź ją na trochę, a sam w tym czasie doprowadzisz się tu do porządku. Gdy odzyska równowagę, wróci do ciebie, chyba że sama zadecyduje inaczej.

– Ona nie zadecyduje. To Wanda zawsze mówiła jej, co ma robić. Chociaż...

– Przemyśl to. Jestem tu do czwartku. Jeśli odpowiedź będzie na tak, sam mogę ją zabrać. Spakuj jej osobiste rzeczy. Wszystko mamy, a i tak niewiele tam potrzeba.

– Co ze szkołą?

– W której jest klasie?

– W drugiej liceum.

– Jutro dowiedz się, czy ją ukończy. Mamy wakacje na adaptację. Jeśli będzie musiała zostać dłużej, to załatwimy jej nauczyciela. O to się nie martw. Naprawdę znamy się na rzeczy.

Felek wstał, uznając, że wizyta dobiegła końca. Janek również pożegnał się z Marianem, prosząc, by zastanowił się nad propozycją i sam wziął się w garść.

– Wiem, że jest trudno, ale da się. Naprawdę. Moja żona straciła córeczkę, a najpierw przeszła piekło z pierwszym mężem. Kiedy ją poznałem, była wrakiem człowieka. Myślałem, że nigdy nie podniesie się po tragedii, która ją spotkała. Nie zapomniała, ale przekłuła swoją rozpacz w coś dobrego. Teraz pomaga innym, a fakt, że sama cierpiała, pozwala jej lepiej zrozumieć naszych gości.

Drzwi niemal zamknęły się już za mężczyznami, gdy Felek ponownie je otworzył i wrócił do salonu. Podniósł ze stołu butelkę z alkoholem i wsunął ją do kieszeni letniej kurtki.

– Lepiej, jeśli ją zabiorę – zdecydował i szybko opuścił mieszkanie, nie zważając na Mariana, który chciał się sprzeciwić, bo spodobał mu się pomysł utopienia smutków w kolejnej szklaneczce whisky.

Rozdział 17

Początkowo ojciec był przeciwny wyjazdowi Cecylii do Marcic. Odbierał to jako osobistą

porażkę. Później jednak doszedł do wniosku, że rodzicielską klęskę poniesie dopiero wówczas, gdy swoją biernością i brakiem pomysłu, jak pomóc córce, doprowadzi do tragedii. Ostatecznie nie miał nic do stracenia. Mógł spróbować proponowanej przez Jana terapii. Wyciągnął atlas i sprawdził, gdzie znajdują się Marcice. Centralna Polska, gdzieś w okolicy Łodzi. Przypomniał sobie, jak za młodu brał udział w spływie kajakowym po Pilicy. To musiała być tamta okolica. Duże zielone przestrzenie, wiele zakątków, gdzie nie widać ingerencji człowieka, zatręśnienie grzybów i ryb. Właśnie to mogło spodobać się Cecylii.

Rano podjął decyzję. Poszedł do pokoju córki i postawił przed nią kubek ciepłego mleka. Nie zareagowała, choć już nie spała. Mrugała oczami, wodząc wzrokiem gdzieś pomiędzy jego ręką a oknem. Postawił śniadanie na stoliku. Podszedł do Cecylii i delikatnie ją podniósł do pozycji siedzącej. Spojrzała na niego, a to oznaczało, że jest przytomna.

– Teraz cię spakuję i pojedziemy na wieś. Tam sobie odpocznesz – powiedział i już po chwili wyjął z szafy rozkładaną torbę podróżną. Zdezorientowany rozglądał się, nie mając pojęcia, co zabrać. Sięgnął po kilka koszulek poukładanych w kostkę, potem po dwie pary spodni leżących na wierzchu. Ciepły sweter. Było lato, nie potrzebowała więcej ubrań na niepogodę. Potem z szafy zabrał kilka sukienek razem z wieszakami. – Czego jeszcze ci potrzeba?

Cecylia milczała, ale uważnie śledziła ojca wzrokiem. Wzruszyła ramionami.

– Jasne! – Marian klepnął się otwartą dłonią w czoło. – Buty!

Z przedpokoju wziął sandały i adidasów córki, a potem wiatrówkę, która spadła z wieszaka.

– Chyba mamy wszystko. Jeśli jest coś, o czym nie pomyślałem, musisz mi powiedzieć. Nie mam pojęcia, czego na wsi potrzebują młode kobiety. – Kiedy to powiedział, uświadomił sobie, że tak właśnie o niej myśli. Już nie jak o dziecku, tylko o młodej kobiecie. I wtedy przypomniał sobie, że mają one co miesiąc swoje potrzeby. Ruszył do łazienki, by spakować kilka kosmetyków i podpaski, które znalazł w szafce obok toalety.

Gdy wrócił do pokoju, Cecylia wkładała do torby bieliznę, którą wyciągnęła z szuflady w komodzie. Nie pomyślał o majtkach i skarpetkach. Na kolanach trzymała też pudełko po butach. Nie wiedział, co się w nim znajduje, ale zgodziłby się na wszystko, co tylko chciałyby ze sobą zabrać.

Nagle zrozumiał to, co przed chwilą się stało.

– Chcesz jechać? Cieszę się. Pobędziesz tam trochę. Zadzwoń do mnie, kiedy ci się znudzi, to po ciebie przyjadę.

Milczała.

Zauważył, jaka jest chuda. Przez ostatnie dni musiała stracić parę kilo. Ich wspólna wyprawa do Trzebini wydawała się tak odległa, jakby miała miejsce w ubiegłym stuleciu. Dawne życie, może nie idealne, ale znane i bezpieczne, legło w gruzach. To Wanda scalała tę rodzinę, to ona dbała o nich, a teraz, gdy jej zabrakło, nikt nie planował, nie układał strategii i nie zapobiegał. Oboje zmierzali ku autodestrukcji, tyle że Marian miał tego świadomość i ostatkiem sił starał się nie doprowadzić do większego nieszczęścia, a Cecylii było wszystko jedno. Najpierw straciła przyjaciółkę, która prawdopodobnie po prostu się nią znudziła, potem odeszła matka. To ona była jej drogowskazem, latarnią, która wskazywała kurs na ląd, nawet jeżeli był skalisty, a morzem targały wiatry i podróż okazywała się niebezpieczna.

Krzepczyński zadzwonił do Felka i poinformował o decyzji. Gdy udało mu się skontaktować z Janem, zapytał:

– Czy twoja propozycja jest aktualna? Cecylia może pojechać do Marcic?

– Oczywiście. Mogę ją jutro zabrać.

– Wolałbym sam ją zawieźć. Najlepiej dziś. Jesteśmy gotowi.

– Dobrze, zawiadomię żonę, a wy ruszajcie. Przenocuj, to jutro się spotkamy na obiedzie.

– Podał Krzepczyńskiemu adres oraz wskazówki i się rozłączyli.

Marian sprowadził córkę po schodach na podwórze. Podpierał ją ramieniem, gdyż była bardzo słaba. Nie wypila nawet mleka. Zanotował w pamięci, że musi o tym wspomnieć żonie Jana. Cecylia nie mogła dalej się głodzić. Bał się, że ostatecznie wyląduje w szpitalu.

Po trzech godzinach drogi byli na miejscu. Trochę pobłądzili po okolicy, bo kierunkowskaz na Wielką Podkowę był przekrzywiony i na rozwidleniu wjechali nie w tę szosę, co trzeba. Trudno znaleźć niewielką wieś ukrytą w lesie. Gdy samochód niemalże ugrzązł w piachu na skraju pola, Marian skostatował, że to droga donikąd. Wycofał się i zawrócił do krzyżówki, gdzie tym razem dokładniej przyjrzał się znakom.

Córka zdawała się drzemać na fotelu obok. Nie reagowała, więc w milczeniu kontynuowali podróż.

Gdy skończył się asfalt, wjechali w las. Dróżka wyglądała na uczęszczaną, jednak gdyby z naprzeciwka nadjechał jakiś pojazd, nie byłoby gdzie się minąć, bo szpaler drzew skutecznie by to uniemożliwił. Nie zważając na potencjalne niebezpieczeństwo, Marian cieszył się, że jadą w odludne miejsce. Kątem oka obserwował córkę, która z każdym przejechanym metrem szerzej otwierała oczy. Rozglądała się wokół, a na jej twarzy po raz pierwszy od wielu dni malował się spokój. Wiedział, że zieleń działa kojąco na nerwy, ale nie miał pojęcia, że Cecylia widziała już ten las oczami wyobraźni. To po nim biegła z Bożenką, goniąc motyle, jaszczurki i szukając skrzatów pod mchem. Choć nie wierzyła w bajki, kiedy tylko przyjaciółka puszczała wodze wyobraźni i zabierała ją w te tajemnicze miejsca, jakie tylko potrafiła wymyślić, Cecylia była gotowa wierzyć we wszystko. Opowieści o wróżkach i skrzatach nie słyszała już od lat. To było w innym życiu. Jednak jadąc przez tę magiczną krainę, wróciła myślami do dzieciństwa. Tylko podczas tych podróży nie lękała się niczego. Przeżywała je całą gamą pozytywnych emocji. Strachu tam nie było. Nagle posmutniała. Choć wspomnienie opowiadanych dawno temu historii było miłe, uświadomienie sobie, że nie ma wokół niej tej najważniejszej osoby, narratorki opowieści, sprawiło, iż radość zgasła równie szybko, jak zachwyciła ją otaczająca przyroda.

Po policzku Cecylii spłynęła łza. Nie umknęło to uwadze ojca.

– Co się dzieje? – zapytał. – Nie chcesz tam jechać?

Zaprzeczyła energicznym ruchem głowy i otarła twarz.

– To znaczy chcesz? Nie rozumiem.

Tym razem pokiwała twierdząco.

– To czemu płaczesz?

Wzruszyła ramionami. Nadal nie mówiła, ale był z nią kontakt. Nareszcie nawiązali coś na kształt rozmowy. Patrzyła na ojca, jakby chciała mu coś powiedzieć, ale z ust nie wydobył się żaden dźwięk.

W oddali widać było zabudowania. Jeśli dobrze pojechali, musiały to być Marcice. Nadjeżdżający samochód wzbudził ciekawość mieszkańców, którzy wiejskim zwyczajem spędzali popołudnie na ławeczkach przed domami. Szeptali do siebie, zgadując, do kogo jadą goście. Tu rzadko kto zawitał. Nawet sklep przyjeżdżał tylko dwa razy w tygodniu.

Marian rozglądał się, próbując odgadnąć, który dom należy do Jana i Marty. Przejechał już prawie całą wieś i nie mógł zdecydować, gdzie się zatrzymać. W końcu zaparkował przy kapliczce. Rozprostował kości i podszedł do jakiegoś chłopaka bawiącego się piłką. Wokół nich pojawiły się nagle dwa psy, które zaczęły wściekle ujadać. Krzepczyński trochę się obawiał, że zaraz któryś dorwie się do jego nogawki.

– Hej, wiesz, w którym domu mieszkają Góralscy? Jan i Marta.

Dziecko zmierzyło go wzrokiem. Nie przestając podbijać piłki, wskazało w kierunku, z którego nadjechali. Marian nie wiedział, który to dom, więc chłopiec wreszcie się odezwał:

– Trzeci. Tam, gdzie ten zielony płot. Widzi pan?

Kierowca podziękował i ruszył do samochodu. Nagle stanął jak wryty. Cecylia kucała jakieś dwa metry za autem, głaszcząc i przytulając oba psy naraz. Te potwory, które przed chwilą chciały go zaatakować, teraz przedstawiały obraz łagodności i potulnie oddawały się pieszczotom obcej osoby. A Cecylia? Uśmiechała się!

Krzepczyński w duchu podziękował Bogu za to, że sprowadził mu Jana na pomoc. I sobie, że się zdecydował ją przyjąć. To miejsce było magiczne. Wiedział, że córka odzyska tu siły.

– Państwo do nas? – Usłyszał za sobą kobiecy głos. – Marta Góralska jestem. – Drobną brunetką wyciągnęła w jego kierunku dłoń.

Uścisnęła ją, grzecznie się przedstawiając.

– Wieszalam właśnie pranie, kiedy usłyszałam samochód. Tu rzadko kiedy ktoś przyjeżdża, a to nie pora na listonosza czy sklep. Po rejestracji poznałam, że do nas, bo Janek rano dzwonił, że przyjedziecie. A ty pewnie jesteś Cecylia? – Podeszła do dziewczyny, która zostawiła już psy i w spokoju przyglądała się Marcie. – Będzie ci u nas dobrze. Chodź, pójdziemy na piechotę, a twój tata podjedzie samochodem. – Delikatnie objęła pannę ramieniem i poprowadziła we właściwym kierunku.

Cecylia posłusznie ruszyła z nieznajomą.

Otworzyły furtkę i weszły na podwórkę. W niewielkiej piaskownicy bawiła się około czteroletnia dziewczynka. Miała identyczny fartuszek jak kobieta. Były do siebie podobne.

– Kornelka, chodź się przywitać. Mamy gości. To jest Cecylia, która będzie teraz z nami mieszkać. – Marta uważnie przyglądała się przyjezdnej. Gdy po ostatnim zdaniu zobaczyła w jej oczach popłoch, szybko dodała: – Będzie mieszkać tak długo, jak zechce.

– Dzień dobry – odpowiedziała grzecznie dziewczynka. – Mamusiu, czy mogę robić babki?

Marta poczochrąla małą główkę i z uśmiechem wyraziła zgodę.

– Zapraszam do kuchni. Na pewno jesteście głodni, a i umyć ręce trzeba po podróży.

Marian podjechał pod bramę i sam ją otworzył. Wjechał na podwórze, uważnie przyglądając się, by nie przejechać żadnej kury. Z wiejskimi podwórkami nigdy nic nie wiadomo. Wszedł za kobietami do domu. Dziewczynki nie było już przed zabudowaniami, bo jednak zainteresowanie nowym gościem okazało się silniejsze niż stawianie babek z piasku.

– Nie mam nic wykwintnego, ale jest rosół. I fasolka szparagowa z naszego ogrodu.

W końcu na stole znalazło się dużo więcej rzeczy: chleb z chrupiącą skórką, pomidory, ogórki kiszzone, a nawet domowej roboty dżem.

Cecylia, początkowo niechętna, zjadła cały talerz zupy. Potem tylko żuła kawałek skórki, ale czynność ta zdawała się sprawiać jej przyjemność. Marian zaproponował, że umyje naczynia, a Cecylia wyszła do sąsiedniego pokoju.

– Jan mówił, że często macie gości z problemami. Ale teraz chyba nie ma nikogo?

– Nie lubię mówić, że mają problemy. To wyjątkowi ludzie, którzy czasem się zagubią, czasem zmagają się z kłopotami, ale to nie oni, a świat ma problem, że nie chce ich zrozumieć. Tak, miewamy gości. Jedni zostają dłużej, drudzy krócej... Staramy się im pomóc tyle, ile jesteśmy w stanie. Dwa dni temu opuścił nas ostatni, który przyjechał z Niemiec. Młody chłopak – zamilkła. Nie chciała opowiadać, z czym zmagają się ich podopieczni. – Janek pewnie wspominał, że nie ogłaszamy się nigdzie. Większość osób trafia tu z polecenia. Albo Jan ich spotyka. Tak jak was.

– Myślę, że Cecylii będzie tu dobrze. Od kilku dni nie było z nią kontaktu: nie jadła, nie wstawiała. A dziś wydarzyło się już tak wiele, że jestem pewien...

– Bez obaw. Ale proszę nie mieć złudzeń. To nie jest bajka, a ja nie jestem wróżką, która za dotknięciem czarodziejskiej różdżki sprawia, że znikają wszelkie problemy. Przed nami wiele pracy. I tylko od Cecylii zależy, co zrobi. My umożliwiamy pomoc, ale nie przepracujemy cudzych problemów.

Po chwili w pokoju zastali miły widok. Kornelia pokazywała Cecylii swoją książeczkę, energicznie tłumacząc jej, co znajduje się na obrazkach. Opisywała to bardzo szczegółowo, jakby dziewczyna nie widziała.

– Nasz poprzedni gość, Daniel, jest niewidomy – wyjaśniła gospodyni. – Moja córka była jego oczami. Spędzali razem dużo czasu.

Marian pokiwał głową. Coraz bardziej podobała mu się ta rodzina. Chciałby tu z nimi zostać i patrzeć, jak Cecylia nabiera sił, ale niestety musiał wrócić do pracy. Wydarzenia ostatnich dni i długa choroba żony spowodowały, że wyczerpał zapas wolnego. Musiał pracować, by utrzymać siebie i opłacić pobyt Cecylii w Marcicach.

– Marto, bardzo dziękuję za gościnę, ale muszę już wracać. – Zaczął się zbierać do wyjścia. – Gdyby cokolwiek się działo, dzwońcie do mnie.

– Myślałam, że zostaniesz do jutra. Nazajutrz przyjedzie Janek.

– Niestety nie mogę. Muszę rano być w pracy. Dasz sobie radę z moją córką?

– O to się nie martw. – Kobieta uśmiechnęła się i poklepała Krzeczynskiego po ramieniu.

Znali się zaledwie od paru godzin, ale tak bezpośredni gest nie raził. Serdeczność Marty łamała bariery i skracala dystans.

Marian przytulił córkę i wyszeptał, że ją kocha i będzie tęsknił. Cecylia odsunęła się nagle i spojrzała na ojca proszącym wzrokiem.

– Co chcesz, kochanie?

Próbowała coś powiedzieć. Poruszała ustami, ale nie wydobywała żadnych dźwięków. Marian widział, jak bardzo chce się odezwać, ale jakaś pętla wciąż ścisła jej gardło. Wreszcie wychrypiła:

– Bożena.

Ojciec od razu zrozumiał, o co chodzi.

– Mam szukać twojej koleżanki?

Cecylia pokiwała głową, uśmiechnęła się, ale nie odezwała więcej.

– Postaram się – obiecał i przytulił ją jeszcze raz.

Nawet nie przypuszczał, jak dana nadzieja ogrzała serce Cecylii. W jej głowie wciąż nie mieściła się myśl, że przyjaciółka mogłaby ją porzucić bez ważnego powodu. Od dnia, kiedy razem wybrali się do Trzebini, jakby upłynęła wieczność, ale Cecylia nie zapomniała, co ustalili. Problem w tym, że nie miała siły sama szukać Bożenki. Ojciec mógł to zrobić, byle tylko się w to odpowiednio zaangażował. Zdawała sobie sprawę, że po całym dniu pracy wracał do domu zmęczony, a bieganie po osiedlu w obcym mieście nie było tym, o czym marzył, ale kiedy obiecał, że to zrobi, w jego oczach zobaczyła szczerłość. Tego się uchwyciła, by jakoś znieść kolejne dni. By znaleźć cel w życiu.

Rozdział 18

Tego dnia Marta postanowiła dać Cecylii kilka chwil na oswojenie się z nowym miejscem. Na rozmowy i ustalenie najważniejszych potrzeb miały jeszcze czas. Pokazała jej obejście, pokój, który może zająć, oraz łazienkę. Poprosiła, żeby się sama nie oddalała od domu, i zaproponowała wspólne wyjście do lasu nazajutrz.

Cecylia początkowo położyła się na łóżku w pokoju na poddaszu, jednak obudzone w niej pragnienia nie dawały spokoju. Dobrze, że oprócz Marty i Kornelii nie było nikogo. Mała miała

poobiednią drzemkę, a gospodyni prasowała pościel. Wszyscy dali jej spokój. To właśnie jej odpowiadało. W Marcicach było pięknie, zielono, powietrze cudownie świeże, ale czy to miałyby ją uzdrowić? Szczerze wątpiła. W jej pokoju uchylono okno. Cecylia przewracała się z boku na bok, ale sen nie przychodził. Zniknęła gdzieś potrzeba usunięcia się w nicość. Zza okna dochodziły odgłosy ptaków – od wesołych trel po krzyki. Nie znała się na skrzydlatych mieszkańcach okolicy, więc nie potrafiła odróżnić ich po głosie, ale dźwięki tutaj były tak różne od tych, które słyszała w mieście, że ciekawość wyciągnęła ją z łóżka. Po cichu zeszła ze schodów. Wydawało jej się, że jest niezauważona, ale Marta czujnie obserwowała przygarbioną postać przez okno. Dziewczyna była krucha, blada, jej włosy nie miały połysku; wymagały mycia i pielęgnacji. Nastolatka szła przez podwórko, zatrzymując się co kilka kroków. Nie wiedziała, w którą stronę się udać. Coś ją zainteresowało, ale Marta nie wiedziała co. Nagle Cecylia zauważyła coś i skierowała się do szopy. Gospodarze trzymali tam narzędzia ogrodnicze – niby nic ciekawego, ale Marta wołała mieć gościa na oku. Nie wiadomo, co też chodziło małej po głowie.

Dziewczyna podeszła do drzwi szopy, jednak ich nie otworzyła. Patrzyła gdzieś wyżej, jakby na dach. Zastygła w takiej pozycji na chwilę, a potem zrobiła krok do przodu. I znów się zatrzymała. Krok do przodu. Wtedy Marta zrozumiała. Pod sklepieniem dachu siedziały jaskółki. W gnieździe mieszkało kilka piskląt, do których co jakiś czas dolatywała matka. Patrząc przez okno, nie widziała dokładnie, co robiły, ale mogła się domyślić. Sama nieraz obserwowała, jak ptaki karmią młode. Zanim przyleciała jaskółka, jej dzieci przekrzykiwały się, jakby prosząc: „Mnie daj pierwszemu, mnie!”. Robaczek w dziobie był tylko jeden, więc za każdym razem kolejne ptasie dziecko dostawało posiłek. Nie przeszkadzało to wszystkim jednocześnie szeroko rozdziawiać dzióbki.

Marta się uśmiechnęła. Dla niej to było zwyczajne, ale dla Cecylii wychowanej w mieście mogło okazać się fascynujące. Gospodyni wróciła do prasowania, pozwalając dziewczynie pozostać ze swoimi myślami. Była przekonana, że nowo przybyła szybko się zaaklimatyzuje.

Kolejne dni miały spokojnie na wzajemnym budowaniu zaufania. Marta nie naciskała na Cecylię w niczym, ale pilnowała, by zjadała dziennie trzy, choćby skromne, posiłki. Starła się powoli angażować ją w różne sprawy, którymi sama się zajmowała, jednak nie nakazywała niczego. Raczej chodziło jej o asystowanie, o bycie razem. Łagodnym głosem opowiadała o tym, jak żyje się w Marcicach, o swojej córce i o chórze Jana.

– Twój tata też podobno śpiewa. Może kiedyś, gdy nas odwiedzi, namówimy ich, żeby dali wspólny koncert? Co o tym sądzisz?

Cecylia jak zwykle tylko wzruszała ramionami.

Innym razem Marta zaproponowała, żeby poszły na grzyby. Mimo że dziewczyna wykonała gest wskazujący na obojętność, kiedy Góralska przygotowała siebie i córkę na wyprawę do lasu, Cecylia już na nie czekała przy furcie. Nie odzywała się, ale dzielnie przemierzyła spory kawał lasu. Nie znała się na grzybach lepiej od czterolatki. Pokazywała jej palcem każdy okaz, a Kornelia wołała mamę, by ta oceniła, czy znalezisko jest jadalne. Zebrały całkiem spory koszyk, choć był dopiero początek sezonu.

Któregoś dnia Jan zagadnął Martę o jej plany co do Cecylii.

– Myślisz, że powinniśmy już sprowadzić psychologa?

– Z pewnością będzie potrzebny specjalista, który przeprowadzi terapię, ale jeszcze nie teraz, nie chciałabym jej przestraszyć. Wydaje mi się, że z dnia na dzień jest w coraz lepszej formie. Całkiem ładnie je i uczestniczy w różnych pracach. Nadal nie mówi, ale widocznie potrzebuje czasu, by się odblokować. Bardzo przeżyła śmierć matki. Może wini się za to i za karę postanowiła zamilknąć?

– Nie wiem. Marian nie opowiadał ani o żonie, ani o jej ostatnich dniach. Wiem tylko tyle, że chorowała na raka. Od Felka słyszałem, że nie była lubiana. Bardzo apodyktyczna, wszystkimi dyrygowała. Dlaczego Cecylia miałaby się winić za jej śmierć?

– Dzieci różnie odbierają rzeczywistość. Źle sformułowane zdanie czy jakaś pretensja mogą spowodować, że w głowie dziecka zakiełkuje myśl, która nie ma nic wspólnego z intencją rodzica, a jednak wydrąży taką wyrwę, że młody człowiek będzie nosić w sobie traumę przez wiele lat.

– Podobno mała zawsze była trochę wycofana i załkwniona. Stroniła od ludzi, od szkoły. Może ktoś to w niej podsycił?

– Bądź ostrożny w osądach. Nie wiemy, co działo się w tej rodzinie. Ale jestem dobrej myśli. Zobaczysz, że Cecylia zacznie w końcu mówić, a terapeuta pomoże jej uporać się z lękami. To dobry temat dla Joanny. Co o tym sądzisz?

– Tak, masz rację. Wiesz, poproszę ją o konsultację już teraz. Bez Cecylii, tak dla nas, żebyśmy nie popełnili jakiegoś błędu.

Marta zgodziła się z mężem. Zawsze miał dobre pomysły, a ona darzyła go pełnym zaufaniem. Dziś nie mogła uwierzyć w swoje szczęście, ale to, jak i z kim żyła, było tylko dowodem na to, że po nocy przychodzi dzień, a po burzy spokój. Teraz często podśpiewywała słowa piosenki Budki Suflera. Przeżyła wiele chwil mrozących krew w żyłach: straciła najważniejszą osobę i sama chciała pożegnać się z życiem, a jednak przetrwała, bo pojawił się on, Jan. Właściwie istniały jeszcze dwie osoby, dla których żyła: babcia Rozalia i przyjaciel Dominik. On obecnie przebywał na misji w Etiopii, a babcia odeszła trzy lata wcześniej w podeszłym wieku. Do końca swoich dni mieszkała z Martą w Marcicach, a ostatnie jej słowa brzmiały: „Dawaj innym dobro, Martusiu. Zawsze warto”.

Gospodyni wyszyła to zdanie na serwetce, którą powiesiła na ścianie w kuchni, tuż obok zdjęcia Rozalii. W chwilach zwątpienia, czy to, co robi, ma sens, zwłaszcza gdy jej gościom trudno było pomóc, patrzyła na babcię i czerpała z jej oczu siłę. Ona nigdy w nią nie zwątpiła, zawsze wspierała, nawet gdy wskutek różnych okoliczności wnuczka była daleko. Teraz także czuła, że Rozalia nad nią czuwa gdzieś w niebie, że kiwa głową na znak, iż popiera to, co robią Góralscy.

Odpoczywali przed domem, patrząc na zachodzące słońce. Cecylia siedziała tuż obok na kocyku razem z Kornelią. Układały różne kształty z kamyków. Dużo czasu spędzały ze sobą, bawiąc się w dziecięce zabawy. Trochę martwiło to Martę, bo chciała raczej, by Cecylia zaczęła rozmawiać o dręczących ją sprawach, niż chowała się za zasłoną dziecięcej beztroski i naiwności, ale przede wszystkim nie chciała jej popędzać. Na wszystko przyjdzie odpowiedni moment.

Nagle usłyszeli odgłos nadjeżdżającego samochodu. Na drogę wybiegło kilka psów, a ciekawskie głowy sąsiadów odwróciły się w kierunku, z którego dochodził dźwięk silnika.

– Czy to auto Mariana? – zdziwił się Jan, a nastolatka natychmiast poderwała się z kocyka. W jej wzroku widać było zaskoczenie, a potem jakby lęk. Patrzyła w kierunku domu. Rozważała zapewne, czy się w nim nie schować.

– Nie bój się. Myślisz, że tata przyjechał po ciebie?

Pokiwała głową. Tego właśnie się obawiała. Poczuli się już bezpiecznie tu, na wsi. Całe dni spędzała na powietrzu, wśród ludzi, na wolnej przestrzeni. Nie chciała wracać do miasta, gdzie mieszkanie było jej klatką.

– Na pewno cię nie zabierze. Przyjechał w odwiedziny. – Marta nie wierzyła w to, co mówi. Wprawdzie minął już miesiąc, od kiedy Marian nie widział się z córką, ale po co miałby przyjeżdżać w środku tygodnia po południu? Zanim wróci do siebie, będzie noc. Musiało coś się wydarzyć.

Rozdział 19

Kierowca wysiadł z samochodu. Zaparkował auto w pewnej odległości, więc z podwórka nie było widać, co znajduje się w środku. Niewątpliwie coś przywiózł. Gospodarz wstał i podszedł do Krzeczkińskiego, by dowiedzieć się, o co chodzi. Marta została z dziewczynkami. Nieprzewidziane okoliczności zawsze wprowadzają zamęt, pomyślała.

– Dzień dobry! Co za niespodzianka! Stęskniłeś się za córką?

– Słuchaj, Janku, przepraszam, że tak bez zapowiedzi, ale pomyślałem... – Wskazał palcem samochód. – Najlepiej chodź i zobacz sam.

Jan zajrzał przez szybę. Dostrzegł siedzącą na tylnej kanapie, przypiętą pasami dziewczynę. Szczupłą blondynkę w wieku Cecylii. Patrzyła przed siebie. Nie reagowała na ruch wokół samochodu.

– Kto to jest?

– Bożena Nowak. Przyjaciółka Cecylii. Ta, która zaginęła.

– No ale co ona robi w twoim samochodzie? O co tu chodzi?

– Miała wypadek. Obiecałem córce, że ją odnajdę. Pomyślałem... – Widząc minę Jana, Krzeczkiński uznał, że chyba się pomylił. – Sam nie wiem, czy to dobry pomysł. Nikt jej nie pomoże, a podobno jest szansa. Jej rodzina nie ma możliwości.

– Spokojnie, Marian, powiedz wszystko od początku, bo nic nie zrozumiałem. Niech ona wysiądzie i wejdźmy do domu.

– Musisz mi pomóc. – Krzeczkiński otworzył bagażnik i wyciągnął z niego wózek inwalidzki. Rozłożył go tuż przy drzwiach i z pomocą Jana wyciągnęli dziewczynę z auta.

Cecylia, która z niepokojem przyglądała się rozmowie stojących w pewnej odległości mężczyzn, nagle poderwała się i pobiegła w ich stronę.

– Bożenka! – krzyknęła.

Dorośli zastygli zaskoczeni. Nikt z nich nie spodziewał się, że w końcu usłyszy jej głos.

Koleżanka również podniosła głowę. Spojrzała na Cecylię i po policzku spłynęła jej łza.

– Cecylka, jak dobrze cię widzieć... Widzę, że masz się okej. Ja nie nadaję się już do niczego.

– Nie mów tak! Nie chcę!

– Do końca życia będę sparaliżowana. Wszystkie moje plany poszły w łeb. Wolałabym się nie obudzić, niż nie mieć czucia w nogach. – W jej głosie słychać było rozgoryczenie.

Rozmowę przerwała Marta, która zdawała sobie sprawę, że to nie miejsce i czas na takie deklaracje. Zaprosiła wszystkich do domu, bo zaczynało się robić chłodno.

Krzeczkiński przywitał się z córką. Ucieszyło go, że znowu mówi. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że usłyszał właśnie jej pierwsze od bardzo dawna słowa. Równie zaskakujące było to dla Marty i Jana. Przede wszystkim sama dziewczyna nie mogła w to uwierzyć.

Siedzieli w kuchni, bo tam było najprzyjemniej i znalazło się dość miejsca, żeby ustawić wózek. Marian opowiedział, jak przypadkiem trafił na babcię Bożenki. Pani Danuta załamała rękę, opowiadając mu o tragedii, jaka się wydarzyła w ich domu. Pewnego dnia nastolatka zajmowała się młodszym rodzeństwem. Biegali po schodach tam i z powrotem. W pewnym momencie dziewczyna usłyszała wołanie o pomoc z pokoju na piętrze. Maluch płakał przeraźliwie, więc Bożenka wbiegała po dwa stopnie na górę. Pechowo trafiła na obłuzowaną deskę, której od dawna nikt nie miał czasu naprawić. Poślizgnęła się i straciła równowagę. Spadła do tyłu, uderzając głową o podłogę, i straciła przytomność. Chwilę później przyszła babcia Dusia i wezwała pogotowie.

– Przez kilka dni Bożenka była utrzymywana w śpiączce farmakologicznej, bo stwierdzono uraz głowy i złamany kręgosłup – opowiadał Marian. – Ma uszkodzone kręgi i miała

wstawiony stabilizator...

Cecylia wstała nagle od stołu i chwyciła za ręczki wózka. Ojciec, zorientowawszy się, że dziewczęta nie chcą dalej słuchać, poczekał ze szczerzonymi, aż córka odwiezie przyjaciółkę do drugiego pokoju. Bez przeszkód dokończył mówić o tym, czego dowiedział się u Nowaków.

– Chyba uszkodziła też rdzeń kręgowy. Najpierw nie miała czucia ani w rękach, ani w nogach, ale z czasem odzyskała władzę w górnych kończynach. Niestety z nogami jest dużo gorzej. Mówi, że ma lekkie mrowienie, ale nie zawsze. Na domiar złego nie chce ćwiczyć.

– Długo była w szpitalu?

– Miesiąc. Potem przychodził do niej rehabilitant.

– Jak często? – Marta wiedziała, jak ważna jest dobrze zaplanowana fizjoterapia.

– Raz czy dwa w tygodniu. Ale ona nie chciała. Rodzice powiedzieli, że dziewczyna całymi dniami gapi się w telewizor. Kiedy zapytałem, jakie mają plany, to mi powiedzieli, że żadnych. Bo ich nie stać. A ktoś im powiedział, że to taki uraz, że nic nie pomoże. Ona to słyszała.

– Więc wcale się nie dziwię, że dziewczyna się załamała. Naprawdę nie chcą jej pomóc?

– Nie o to chodzi. To prości ludzie. I bezradni. Nie wiedzieli, gdzie pójść, a brak pieniędzy uniemożliwił im szukanie pomocy w prywatnych gabinetach. A ona przecież...

– Ma duże szanse na wyzdrowienie – dokończył Jan. – To prawda. I nie ma na co czekać. Konieczny jest fizjoterapeuta, który codziennie będzie ją rehabilitował. Jeśli ma ślady czucia w nogach, to znaczy, że z rdzeniem wszystko w porządku. Zadbamy tu o nią. I o jej zdrowie psychiczne, bo widzę, że mocno ucierpiało.

– Tylko jest jeden problem. Nowaków nie stać na jej utrzymanie poza domem i na zabiegi. Powiedzieli mi wprost, że jeśli to będzie kosztować, to lepiej, żebym ją zostawił. Uparłem się. Nie mogłem patrzeć, jak zmieniła się ta dziewczyna. Jeszcze do niedawna przychodziła do nas i swoją energią rozsądzała dom. Miała pełno zwariowanych pomysłów i wszędzie docierała biegiem. A teraz... Poprosiłem znajomego, żeby pożyczył mi wózek. Nie jest idealny. Trzeba będzie jej kupić coś porządnego. Zorientuję się, jakie są ceny i możliwości. Najlepiej byłoby na raty... – Marian podparł głowę ręką, jakby stała się zbyt ciężka od myśli, które w niej krążyły. Wziął na siebie zobowiązanie. Odpowiedzialność za drugie dziecko. A teraz chciał nim obarczyć tych miłych ludzi. Działał impulsywnie. Po prostu musiał ją zabrać z domu rodzinnego, bo tam nie miała możliwości. Zresztą kiedy powiedział zrozpaczonej babci, co zamierza zrobić, był pewien, że nie mógłby inaczej. Starsza kobieta ze łzami w oczach dziękowała mu i ofiarowała modlitwę za niego i jego rodzinę.

– Niech panu Bóg błogosławi. Jeszcze dziś pójde dać na mszę za pana żonę. Świeć, Panie, nad jej duszą. I modlić się będę, bo bez pana to nasza Bożenka zmarnowałaby się. Ja nie wiedziałam, co robić, a patrzeć na to nie mogę. Moja wnusia kochana... Tyle cierpienia... Takie dobre dziecko...

– Zrobię, co w mojej mocy. Znam miejsce, gdzie dostanie pomoc. I będzie z moją córką, a one przecież żyć bez siebie nie mogły – odparł zdecydowanie.

– Marian! – Nagle z zamyślenia wyrwał go głos Jana. – Popatrz na nie.

Wychylił się zza stołu, by zerknąć na dziewczęta siedzące w pokoju. Zajęły miejsce przy oknie. Cecylia szeptała coś do Bożenki, a ta tylko od czasu do czasu kiwała głową. Na jej twarzy ani razu nie pojawił się uśmiech.

– Ciekawe, o czym rozmawiają – zastanowił się na głos. – Dzięki Bogu, że rozmawiają – poprawił się, gdy tylko dotarło do niego, jak wiele zmieniło się od czasu, gdy był w Marcicach po raz pierwszy.

– Pieniądze na razie nie stanowią problemu. Mamy dotację na naszą fundację – odezwała

się Marta. – Dostajemy też jeden procent podatku od rodzin, którym pomogliśmy. Nie jest tego wiele, ale się przydaje. Mamy zaprzyjaźnionych specjalistów, którzy pomagają nam za różne formy wynagrodzenia. Czasem gościmy kogoś z rodziną podczas wakacji, regularnie dajemy ekologiczne warzywa oraz owoce. Zawsze to trochę taniej. – Zaśmiała się.

– Jesteście wyjątkowi. – Marian poczuł, jak łza kręci mu się w oku. Pierwszy raz spotkał ludzi, dla których niesienie bezinteresownej pomocy jest przyjemnością. W ogóle nie mówili o sobie, o swoich potrzebach, dla nich nie było rzeczy niemożliwych. Po raz kolejny ucieszył się, że los postawił Jana na jego drodze.

Siedzieli w milczeniu, patrząc przez uchylone drzwi na dwie młode kobiety przytulające się w drugim pokoju, rozmyślając o tym, jak bardzo zmieniło się ich życie. Jedna chwila potrafi obrócić w pył wielkie plany, zniweczyć nadzieje i zaprzepaścić szanse. Tak łatwo wtedy się poddać. A gdy już wydaje nam się, że wyjścia nie ma, pojawia się światło. Mała łuna na horyzoncie, tak odległa, że czasem trudno w nią uwierzyć, a jednocześnie tak wyraźnie magnetyczna, że przyciąga człowieka. Takie światło mają w sobie niektórzy ludzie. Zrodzeni z dobroci, sami rozsiewają ziarno. Marian już po pierwszym pobycie w Marcicach poczuł, że Marta zaraziła go swą pasją. Już wtedy postanowił spełnić nadzieje swej córki, a gdy tylko mu się to udało, pomóc nie tylko ofierze nieszczęśliwego wypadku, ale całej rodzinie Nowaków.

Nie opowiedział o tym Marcie i Janowi, bo nie było czym się chwalić. Oni to akurat bardzo dobrze rozumieli. Krzeczynski postanowił wynagrodzić bliskim Bożenki krzywdy, jakich doznali na skutek niesłusznych pomówień i postępowania jego żony. Nie zamierzał mówić o niej źle. Wiedział, że popełniała błędy, ale też znał powody jej postępowania. Sam zdawał sobie sprawę z tego, że przez długi czas był ślepy albo po prostu nieuważny i nie zareagował w porę. Rodzinę Nowaków spotkało z ich strony wiele nieprzyjemności, a życie nigdy nie było dla nich łaskawe. Dlatego popytał w Fabloku, czy nie znalazłaby się praca dla Karola Nowaka i, faktycznie, był etat do wzięcia.

Mężczyzna rozważał złożenie Nowakom propozycji, by przeprowadzili się z powrotem do Chrzanowa i zamieszkali w jego mieszkaniu przy rynku. Było komfortowe: kilka przestronnych pokoi, duża łazienka i jasna kuchnia. Idealne dla licznej rodziny, której Krzeczynscy się nie doczekali. Sami nie zaglądali nigdy do jednego z pokoi, bo nie był im potrzebny. Wystarczył salon, sypialnia rodziców i pokój Cecylii. Marian natomiast przeniósłby się do niewielkiego mieszkania po swoich rodzicach położonego w rejonie Kościelca, skąd miałyby zdecydowanie bliżej do pracy niż z rynku. Przez wiele lat wynajmował je lokatorom, którzy po śmierci rodziców Mariana tam się wprowadzili. Teraz jednak się zwolniło. Dla Cecylii również znalazłoby się tam miejsce, a Bożenka po powrocie do rodziny miałaby dużo wygodniej w nowym lokum. Problemem jednak, jak przypuszczał, będzie przekonanie Nowaków do przeprowadzki. W ogóle do przyjęcia pomocy. Nie mógł działać zbyt pochopnie, w pośpiechu, raczej stopniowo przygotować grunt, okazując im szacunek, sympatię i wzbudzając zaufanie. Wiedział, że może długo na to pracować, jednak jak nigdy niczego dotąd był pewien, że to jest właściwe.

Rozdział 20

– Dziewczyny, dziś poznacie dwóch wspaniałych ludzi, z którymi, mam nadzieję, polubicie się i spędzicie trochę czasu.

Cecylia spojrzała na Martę spłoszonym wzrokiem. Nie potrzebowała nowego towarzystwa. Miała przy sobie cały świat: przyjaciółkę. Żadne nowe znajomości nie miały znaczenia.

Bożenka w ogóle nie zareagowała. Jej było wszystko jedno, kto przyjedzie. I tak nie mogła tej osobie zaoferować nic poza uzalaniem się nad swoim losem.

– Nie jesteście ciekawe? – Marty nie opuszczał entuzjazm mimo braku reakcji ze strony dziewcząt. – Nie będę was trzymać w niepewności. Już niedługo będzie tu Zbyszek. Jest fizjoterapeuta. Zapoznał się szczegółowo z twoją dokumentacją medyczną – zwróciła się do Bożeny – i na początek będzie przyjeżdżał do ciebie codziennie, a potem zobaczymy, może dwa lub trzy razy w tygodniu. Jak ci się podoba ten pomysł?

Dziewczyna wzruszyła ramionami, a potem odrzekła:

– To i tak nic nie da. Już miałam rehabilitację. I co? Dalej na tym jestem. – Uderzyła ze złością w poręcz wózka.

– Ale to świetny pomysł! – wpadła jej w słowo przyjaciółka.

Marta podziękowała uśmiechem.

– Prawda?

– Pewnie! Bożenko, jeszcze będziesz chodzić, ja... ja ci to obiecuję! – Cecylia mocno ją przytuliła. – Będę się przyglądać, co on z tobą robi. Nauczę się i będziemy powtarzać, gdy go nie będzie.

– Myślę, że nie ma takiej potrzeby. Zbyszek będzie rehabilitował tyle czasu, ile potrzeba; ani mniej, ani więcej. Ważne, by Bożenka w ogóle chciała z nim pracować.

– Chcesz, prawda? – Cecylia nie dawała za wygraną. – Powiedz, że chcesz! Proszę cię!

– Może być... A ta druga osoba to kto?

– Joanna. Moja serdeczna przyjaciółka i psycholog. Chciałabym, żebyście się z nią poznały, nie wahały się mówić jej o swoich troskach i uczuciach. Chciałabym, żeby była dla was wsparciem w każdej chwili. Ona wie, jak pomóc ludziom. Sama tego doświadczyłam.

– Obie mamy z nią rozmawiać? Ja nie mam potrzeby. – Bożenka była negatywnie nastawiona do pomysłów Marty.

– Zobaczymy. Bardziej myślałam o Cecylii, ale ty także, kiedy tylko zechcesz, możesz pogadać. Co o tym sądzisz, Cecylie?

– Nie wiem... O czym miałabym z nią rozmawiać? I po co?

– O czym tylko zapragniesz. Sama wiesz, że czasem mamy w sobie emocje, których nie chcemy. Czujemy się niezrozumiani przez otoczenie. Czasem po prostu jest źle i wtedy należy mieć kogoś, z kim można podzielić się tym, co w nas gra.

– Mam Bożenkę. I... – zawahała się, gdyż myśl, która przyszła jej do głowy, była pewnym zaskoczeniem. – I ciebie.

– To wspaniale! Wasza przyjaźń jest wyjątkowa. Miło mi również słyszeć, że darzysz mnie zaufaniem. Ale bywają chwile, w których nie będę potrafiła pomóc. Joasia jest doświadczonym psychologiem, skarbnicą wiedzy i pomysłów, których ja mam tylko garstkę. A nuż przypadniecie sobie do gustu. Sama się przekonaj. Daj jej szansę na kilka spotkań, a potem zdecydujesz, dobrze?

Cecylia kiwnęła głową. Spotykała się już kiedyś z psychologiem. Czy to pomogło jej radzić sobie z lękiem? W pewnym stopniu tak, ale nie wyleczyło jej. Miała wątpliwości, czy w ogóle ktoś może jej pomóc całkiem pozbyć się fobii, jednak nauczona, by słuchać starszych, tym bardziej tych, którym ufała, kiwnęła głową. Skoro Marcie tak bardzo na tym zależy, może poznać Joannę.

Goście mieli przyjechać po obiedzie. Do tego czasu nastolatki spędzały czas na podwórku. Marta robiła pranie, a Jan pojechał z Kornelką po zakupy do Wielkiej Podkowy. Oglądały więc kaczki, które próbowały pływać w stojącej obok szopy balii z wodą. Panował upał. Nic dziwnego, że zwierzęta szukały ochłody. Kaczka matka bez problemu dosięgała wody, ale małe żółte kaczątka dreptały tylko tam i z powrotem wokół pojemnika, wyciągając szyje w kierunku brzegu.

– A może im pomóc, co? – Cecylia gotowa była powkładać wszystkie kaczuski do balii.
– Bez sensu. Muszą sobie same radzić, bo inaczej zginą. Taki jest świat. Albo jesteś samodzielny i coś znaczysz, albo jesteś nikim.

Dziewczyna zamyśliła się nad słowami przyjaciółki. Zdawała sobie sprawę, że nie mówi o kaczkach, tylko o sobie. Niewiarygodne było to, jak bardzo zmieniła się przez kilka ostatnich tygodni. Niby ta sama, a jednak jakby zgaszona. Cecylia tęskniła za pełną entuzjazmu Bożenką, dla której świat nie miał ograniczeń, nie było tematów tabu, z której twarzy nigdy nie schodził uśmiech. Gdzie jesteś, Bożenko? – myślała, wołając w duchu: „Wróć do mnie!”.

Do tej pory Cecylia sama nigdy nie odważyła się wyjść poza gospodarstwo Góralskich. Zaledwie kilka razy była z Martą na grzybach i raz z Janem i Kornelią nad rzeką. Widziała, że okolica jest piękna, ale duża połać lasu zbyt ją przerażała, by odważyła się na samotną wycieczkę. Teraz nie była sama. Myślała intensywnie o tym, co mogłaby zrobić, żeby przyjaciółka odzyskała dawny entuzjazm. Postanowiła porozmawiać z Martą, a może nawet z Joanną, jeśli okaże się sympatyczną osobą, o dawnej Bożence.

– Chciałabym się położyć. – Nowakówna przerwała milczenie. – Jest taki upał, że dłużej tu nie wytrzymam. Pomożesz mi?

– Oczywiście! – Cecylia podprowadziła wózek pod wejście do sieni.

Jan zamontował specjalny podjazd z poręczą, żeby Bożenka mogła swobodnie wjeżdżać nawet bez pomocy innych. Radziła sobie nieźle jak na pierwsze dni jazdy na wózku, ale szybko się męczyła. Ręce, choć odzyskała w nich pełną sprawność, bolały, gdy zbyt dużo kręciła kołami. Najczęściej więc potrzebowała pomocy, by przemieścić się gdzieś dalej niż tylko z pokoju do kuchni. Tym razem również pozwoliła się zaprowadzić do domu, a potem, przy wsparciu przyjaciółki, do łóżka.

Gdy tylko w Marcicach pojawiła się Bożenka, Cecylia poprosiła gospodynię, żeby mogły zamieszkać w jednym pokoju. Opuściła przytulne poddasze i zajęły pomieszczenie bezpośrednio przylegające do kuchni. Było przestronne. Stały tam dwa łóżka, szafa, stół i jeszcze można było swobodnie manewrować wózkiem.

– Za godzinę jest obiad. Obudzę cię, gdybyś zasnęła. A teraz pójdę pomóc Marcie przy rozwieszaniu prania. Dasz sobie radę?

– Ze spaniem? Tak, dam sobie radę. To jeszcze sama potrafię.

Cecylii zrobiło się przykro, gdy usłyszała zgorzkniały ton przyjaciółki. Od razu zaczęła zastanawiać się, co zrobiła źle. Przymknęła drzwi i wyszła do ogrodu, gdzie była Marta. Został jej ostatni kosz bielizny do powieszenia.

– Przyszłam ci pomóc – zakomunikowała.

– A, to ty, kochanie! – Kobieta nie spodziewała się jej, dlatego podskoczyła zaskoczona.
– Nie trzeba. Już kończę. Co porabiacie?

Cecylia podniosła kosz z bielizną, żeby gospodyni nie musiała się schylać za każdym razem, gdy sięga po pranie, i opowiedziała o oglądaniu kaczek oraz o decyzji Bożenki, że chce odpocząć.

Marta uważnie przyglądała się rozmówczyni. Widziała, że nie przyszła bez powodu. Przyczepiła ostatnie klamerki, złożyła trzy kosze w jeden i ruszyła w kierunku domu.

– Chodź, napijemy się czegoś i porozmawiamy.

Chwilę później siedziały na tarasie, sącząc herbatę malinową z kostkami lodu. Marta nie popędzała Cecylii. Czowała, że ta chce jej coś powiedzieć, ale od początku przyjęła, że nie będzie naciskać. Wszystko musi przyjść naturalnie. Właściwie nie wiedziała, co dzieje się w jej duszy, jakie myśli nie dają spokoju. Nie była pewna, czy obraz, jaki sobie stworzyła z własnych obserwacji i opowieści Mariana, był rzeczywisty, dlatego poprosiła znajomą psycholożkę

o konsultację i spotkania terapeutyczne.

Cecylia kręciła się niespokojnie. Kilka razy patrzyła na Martę, po czym odrywała wzrok i sięgała po herbatę, jakby to było najważniejsze w tej chwili. W końcu jednak się odważyła:

– Wiem, że dziś przyjedzie ta Joanna, ale... to tobie chciałabym powiedzieć coś o sobie.

– Oczywiście, chętnie cię wysłucham.

– Mam w sobie tyle lęków, a o większości nawet nikomu nie opowiadam, bo sama wiem, że są bez sensu. Ale istnieją i nie potrafię się ich pozbyć. Są tak silne, że wszelkie próby walki kończą się porażką. Już nawet jak o nich mówię, to słyszę siebie i widzę, że nie mam racji, ale gdy tylko jestem sama, osaczają mnie. Dominują. Najgorsze są noce. Wtedy każdy drobiazg urasta do rangi wielkiego problemu, który musi, po prostu musi zakończyć się źle. To mnie wykańcza. Potrzebuję wciąż słów otuchy, zapewnienia, że nic się nie stanie, że nawet jeśli któraś z moich obaw się spełni, to nie będę z tym sama i ktoś mi pomoże sobie poradzić. Jednocześnie mam poczucie, że nikt mnie nie rozumie.

– Doceniam to, że mówisz o tym otwarcie.

– Sama jestem zdziwiona. Pierwszy raz bez zahamowań opowiadam. Budzisz moje zaufanie, bo emanujesz spokojem, który i mnie się udziela. Dlatego zapragnęłam ci o tym wszystkim powiedzieć.

– Wiesz, że to postęp? Lęki najpierw trzeba oswoić. Nie walczyć z nimi, tylko je zaakceptować, a mówienie o nich jest pierwszym krokiem do tego.

– Nadal się boję... Cała drzę.

– Widzę to i cieszę się, że sama podjęłaś ten temat. Kiedy tu przyjechałaś, byłaś zalęknioną nastolatką. Dziś rozmawiamy jak kobieta z kobietą. Jesteś dojrzałą i bardzo mądrą dziewczyną. Robisz dla siebie bardzo wiele. Każdego dnia pokonujesz nowe bariery, które stawia przed tobą umysł. Nie jest łatwo, a jednak robisz to. Nawet jeśli ktoś powie ci, że nie masz czym się martwić, na nic to, jeśli sama w to nie uwierzysz. A kiedy wierzysz, to już jesteś silniejsza niż te lęki. Obserwuję cię uważnie i widzę, jak bardzo się zmieniasz.

– Myślisz, że to już na stałe? Że zaczynam wychodzić ze skorupy?

– Tego ci nie powiem z całą pewnością. Tego nie powie ci pewnie też Joanna. Być może przez całe życie będą ci towarzyszyć obawy, ale to, jak będziesz je traktować, zależy od twojej pracy. Przede wszystkim przestałaś koncentrować się tylko na sobie. Bożenka zawsze była dla ciebie ważna, ale wcześniej to ona opiekowała się tobą, więc ty myślałaś o sobie i swoich problemach. Zrzucałaś je na nią. Teraz jest inaczej. Twoje myśli krążą wokół tego, jak jej pomóc, prawda? Robisz wspaniałą robotę. Gdyby nie twoje wsparcie, pewnie byłaby w dużo gorszym nastroju. W ten sposób pomagasz nie tylko jej, ale też sobie.

Cecylia milczała, trawiąc słowa Marty. Nigdy nie patrzyła na przyjaźń z Bożenką w ten sposób, ale to była prawda. Nie dawała nic od siebie. Skupiona na własnych problemach, nie zauważała innych. Dla niej przyjaciółka była wciąż uśmiechnięta, pełna pomysłów i energii, bez kłopotów i złych nastrojów. Ale czy tak było rzeczywiście, czy też nie zauważała niczego więcej ponad to, co chciała? Słowa Marty zabolęły, ale były prawdziwe. I szeroko otworzyły oczy nastolatce.

– Bardzo chciałabym jej pomóc, ale nie wiem jak. Ona jest zupełnie inna. Ja tak nie potrafię, jak ona kiedyś. Boję się, że wpadnie w depresję, że całkiem się załamie. A ja nie umiem jej pomóc.

– Pomagasz. I to bardzo. Uwierz w siebie, Cecyljo. Nigdy nie spotkałam takiej przyjaźni jak wasza. To dar. Obie jesteście wyjątkowe, tylko życie nie jest dla was łatwe. Macie w sobie siłę. Dacie sobie radę. Zaprosiłam Joannę i Zbyszka, żeby pomogli wam odnaleźć tę siłę.

– Ale co ja mogę zrobić, żeby ona odzyskała radość życia?

– Bądź przy niej. Zaangażuj ją w coś, żeby czuła się potrzebna. Motywuj, by ćwiczyła, bo pozytywne nastawienie to klucz do sukcesu. Na pewno twoje serce podpowie ci, co robić. Pamiętaj, nie bierz na siebie zbyt wiele. Bożenka dużo przeszła, więc ma prawo czuć się źle. Bywa i tak, że mimo najszczerzych chęci nie udaje nam się komuś pomóc. Jestem pewna, że niedługo obie będziecie tu hasać po łąkach i śpiewać radośnie, ale na wszystko jest właściwy czas. Jeśli zajdzie potrzeba, poprosimy Joannę albo kogoś innego o pomoc psychologiczną dla niej.

– Dziękuję.

– Za co mi dziękujesz? Nic nie zrobiłam.

– Za to, że jesteś. Moja mama... – Cecylii załamał się głos, gdy wspomniała matkę, po raz pierwszy od kiedy pojawiła się w Marcicach. – Chciałabym, żeby cię poznała. Choć nie wiem, czy ona... – zamilkła.

Marta czekała chwilę, ale wyglądało na to, że dziewczyna nie dokończy już zdania.

– Twoja mama byłaby z ciebie dumna. Świetnie sobie radzisz. Wydorostałaś. Jesteś taka samodzielna!

– Tak myślisz? Nie byłaby zadowolona, że zawałam szkołę – wyznała, a po chwili dodała jeszcze: – I że jestem tu z Bożenką.

– Ja myślę, że patrzy na was z góry i myśli, że dobrze się stało, że się spotkałyście, bo masz przy sobie kogoś bliskiego. A szkołę się nie martw. Teraz są wakacje, a po wakacjach prawdopodobnie będziesz kontynuować naukę. To teraz nieistotne. Chodźmy szykować obiad. O, wracają!

Pod domem zatrzymał się samochód Jana. Kierowca wysiadł, by otworzyć bramę. W tym samym czasie przez furtkę wpadła Kornelia z czterema dużymi czerwonymi lizakami w rękach.

– Mamusiu, mamusiu! Patrz, co mam! Dla ciebie! I dla dziewczyn też!

Rozdział 21

Bożenka obudziła się w trochę lepszym nastroju, ale kiedy Marta zasugerowała, żeby poszły na spacer do lasu, zareagowała gniewnie:

– Jak to poszły? Ja, kurwa, nie chodzę! Nie widzisz tego?! – krzyknęła.

Cecylia skuliła się i objęła rękami. Miała ochotę wybiec z pokoju i zasłonić sobie uszy. Czuła narastającą panikę. Tymczasem gospodyni spokojnie składała talerze.

– Kochanie, oczywiście, że widzę, ale wiem też, że wózek nie jest przeszkodą, żebyście znalazły się za chwilę w lesie. Wolałabym, żebym podkreślała, że na razie nie chodzisz, czy żebym traktowała cię zwyczajnie? Nie ma powodu, żebyś się unosiła. Rozumiem twoje zdenerwowanie, ale proszę, kontroluj słowa. Ani Kornelia, ani Cecylia, ani ja nie chcemy słuchać wulgaryzmów.

– Nic więcej już nie powiem – burknęła w odpowiedzi, ruszyła koła i skierowała wózek do pokoju.

– Nie odchodź... proszę.

– Nic tu po mnie.

– Zostań – odezwała się Cecylia cichutko.

Koleżanka zatrzymała się i spojrzała w jej stronę.

– Czy wy naprawdę nie widzicie, jaka jestem beznadziejna? Do niczego już się nie nadaję. Jak mam iść do lasu? Jeździć po trawie, gałęziach, igłach? To się nie uda.

– Bożenko, znam takie miejsce, gdzie dojedziesz. Podprowadzę was kawałek, a Cecylia dalej sobie poradzi. Weźcie kocyk i może herbatniki na deser. Nie wiadomo, ile czasu tam zabawicie.

Dziewczyna nie wydawała się przekonana. Patrzyła na koleżankę, jakby zdawała sobie

sprawę, jaką wojnę prowadzi właśnie we wnętrzu. Widziała na jej twarzy całe cierpienie, którego nieraz już doświadczała. W jej oczach było też coś, co mówiło Bożence, że powinny pojechać do lasu.

– Dobrze. Jeżeli tylko Cela ma ochotę. Ale na chwilę. Nie będę tam jadła żadnych herbatników.

Cecylia kiwnęła głową na znak akceptacji. Marta ułożyła na suszarce ostatnie talerze i wytarła ręce.

– Idę po koc, a wy się zastanówcie, czy czegoś jeszcze nie potrzebujecie.

Bożenka była zdania, że to się nie uda i będą musiały zaraz wrócić, ale Cecylia w myślach postanowiła, że da z siebie wszystko. Wkrótce potem ruszyły za bramę gospodarstwa wyposażone w torbę tak dużą, że pewnie oprócz koca znalazł się tam cały ekwipunek. Marta zaczęła pakunek z tyłu wózka. Postarała się, by nie utrudniał jazdy. Chwyciła córeczkę za rękę, na wypadek gdyby na drodze pojawił się jakiś samochód lub rower, i poszła z dziewczętami w kierunku lasu. Zjechały główną drogą w dół. Po obu stronach rozpościerał się piękny sosnowy zagajnik. Dzień był pogodny, a nagrzane słońcem igliwie cudownie pachniało.

– Teraz skręcimy w prawo, a potem w lewo. Dalej poradzicie sobie same. Muszę wracać, bo nie wiadomo, kiedy przyjadą nasi goście.

– My nie musimy być wtedy w domu?

– Wróćcie, kiedy zechcecie. Joasia i Zbyszek zostają dziś na noc. Muszę przygotować im pokoje. Janek pewnie jest w stodole i nawet nie usłyszy silnika – odparła Marta.

Wkrótce pożegnała się i wróciła z Kornelią do domu, a dziewczyny pojechały dalej. Ścieżka była piaszczysta, ale podłoże dobrze ubite, więc szerokie koła wózka doskonale dawały sobie radę. Las zgęstniał, lecz nie na tyle, żeby nie dało się widzieć, co znajduje się za drzewami.

– Patrz, tam jest młodnik brzoźowy. Podjedziemy? – Cecylia bardzo lubiła te drzewa, choć niewiele miała z nimi wcześniej kontaktu.

Jako że Bożenka tylko wzruszyła ramionami, popchnęła wózek we wskazanym kierunku. Tu było trochę gorzej, bo co chwilę najeżdżały na szyszki czy gałęzie, jednak przy odrobinie siły udało się pokonać trudny teren. Wjechały na polankę otoczoną młodymi brzoźkami. Wokół drzew rosła niska trawa, ale na środku dominował soczysty zielony mech.

– Jak tu pięknie! – zachwyciła się Cecylia. – Rozłożę koc.

– Może być.

Bożenka nie rozglądała się. Patrzyła raczej na swoje kolana. Cecylia natomiast kręciła się dookoła, chłonąc magię miejsca. W tej chwili nie czuła lęku, który jeszcze w domu próbował ją sparaliżować. Kochała naturę i czerpała od niej energię.

Nagle zatrzymała się i spojrzała na przyjaciółkę. W jej oczach były łzy.

– Bożenko, co się dzieje? Nie płacz, kochana.

– Ja nigdy nie będę mogła tańczyć na łące – załkała.

– Będziesz! I to niedługo. Ja ci to obiecuję! – Dziewczyna szybko rozłożyła koc na środku. – Chodź, pomogę ci usiąść na ziemi.

Kiedy Bożenka bezpiecznie przeniosła się na dół, Cecylia rozciągnęła się koło niej.

– Połóżmy się i zamknijmy oczy.

Po chwili leżały obie, niemal się stykając. Dobrze było czuć obok kogoś bliskiego. Niepełnosprawna nastolatka odnalazła dłoń Cecylii i zacisnęła na niej swoje palce.

– Dziękuję ci, że jesteś ze mną. Gdyby nie ty, nie dałabym sobie rady.

– Co ty mówisz? Jesteś taka dzielna! To ja dzięki tobie mam odwagę, by wyjść z domu. Dzięki tobie mówię. Dzięki tobie troszkę mniej boję się świata.

Bożenka otworzyła oczy i spojrzała uważnie na koleżankę. Ta wciąż leżała na wznak

z zamkniętymi oczami.

– To znaczy, że obie potrzebujemy siebie nawzajem. Kocham cię, Celka!

Cecylia nagle otworzyła oczy. Nie pamiętała, kiedy ostatnio słyszała te słowa. Podniosła się na łokciach i popatrzyła na przyjaciółkę.

– Ja też cię kocham. Prócz ciebie nie mam nikogo.

Uśmiechały się do siebie przez chwilę.

– Obiecujemy sobie coś – zaproponowała Krzeczynska.

– Co takiego?

– Obiecujemy, że nigdy się nie poddamy. Że będziemy walczyć same o siebie i nawzajem. Przewyciżemy wszystkie przeciwności losu, nasze lęki, obawy i niedoskonałości.

– Ty dasz radę. Ja to wiem. Ale nie mogę ci obiecać nic na swój temat. Po prostu nie wierzę, że zacznę chodzić. A bez tego... bez tego będę nikim. Nie pójdę na studia, nie znajdę męża, nie będę jeździć na rowerze. Tylu rzeczy nie będę robić!

– Nie mów tak. Ten pan Zbyszek na pewno ci pomoże, a nawet jeśli nie, to przecież ludzie na wózkach doskonale sobie radzą. Wygrywają nawet olimpiady!

Zamilkły. Każda pogrzyżała się we własnych myślach. Wokół pachniało grzybnia. Niedaleko stukał dzięcioł, a delikatny wiaterek przyjemnie chłodził twarze.

– Wracajmy już. Jestem głodna – odezwała się Bożena.

– Poczekaj, zobaczę, co Marta włożyła do torby. – Zgodnie z przewidywaniem znalazła nie tylko herbatniki, ale też pudełko z malinami. Położyła je na kocu w zasięgu ręki przyjaciółki.

– Zostańmy jeszcze. Wiesz, co mi przypomina ta polana?

– Nie mam pojęcia.

– Pamiętasz, jak opowiadałaś historyjkę o skrzatach? To było jeszcze w podstawówce.

– O skrzatach? Przecież one nie istnieją. Coś ci się pomyliło.

– Na pewno to ty mi opowiadałaś. Mówiłaś, że lubisz chodzić do lasu tuż przed zmrokiem, bo wtedy można natknąć się na skrzata.

– To jakaś bzdura...

– No i co z tego! Często myślałam o tym. Podziwiałam cię, że masz odwagę pójść do lasu przed zmrokiem, bo przecież kiedy się ściemni, to przebywanie wśród drzew jest niebezpieczne. Ale ty mnie uspokajałaś, że nigdy nie zostajesz po ciemku, tylko czekasz na ten moment, kiedy słońce zaczyna zachodzić, ale jeszcze nie ma mroku. Las wtedy czerwienieje, a to znak dla skrzatów, że mogą wyjść.

– I co? Spotkałam jakiegoś? Nie przypominam sobie.

– W tym rzecz, że nie. Zastanawialiśmy się wtedy, czy wszystko dobrze robisz. A może one się boją ludzi? Miałyśmy dużo teorii.

– To musiało być bardzo dawno temu, bo niewiele pamiętam. Zawsze byłam straszną gadułą i paplałam, co mi ślina na język przyniosła.

– Uwielbiałam to. Dzięki tobie poznałam i pokochałam las dużo wcześniej, niż się w nim znalazłam.

– No dobra, a co to ma wspólnego z tą polaną?

– Zastanawialiśmy się, w jakim miejscu żyją skrzaty. Doszliśmy do wniosku, że musi tam być dużo mchu, żeby było im miękko, bo przecież nie mają łóżek. Musi być wysoka trawa, w której będą mogły schować się przed nieprzyjacielem. Brzozy dają pozytywną energię, a ponieważ skrzaty są dobre i pracowite, to na pewno mieszkają w pobliżu.

– Wygląda na to, że znalazłyśmy ich kryjówkę. – Bożenka mrugnęła do koleżanki i obie zaśmiały się serdecznie.

– Słońce zaczyna zachodzić, więc jest szansa, że spotkamy zaraz jakiegoś – podchwyciła

Cecylia. Rozglądały się, ale żaden skrzat nie pojawił się w pobliżu. – Zbierajmy się, bo rzeczywiście zrobiło się już późno.

Bożenka przy pomocy koleżanki przeniosła się na wózek. Kiedy i koc znalazł się na powrót w torbie, gotowe były do drogi powrotnej. Nagle coś zaszeleściło nieopodal.

– Patrz! Skrzat! – krzyknęła Bożenka, wskazując punkt, w którym falowała trawa.

Cecylia szybko zlokalizowała miejsce. Coś tam było, ale nie mogły dostrzec co.

– To niemożliwe! Spotkałyśmy skrzata!

Obie niemal uwierzyły w bajkową postać. Niespodziewanie z trawy wyskoczył zając i czmychnął czym prędzej w las.

Gruchnęły gromkim śmiechem. Kiedy już się uspokoiły, wystarczyło, że na siebie spojrzwały i znów dopadała je wesołość. Powrotna droga minęła im wśród salw niepohamowanej radości.

– Jesteśmy stuknięte – skwitowała Bożenka, kiedy wyszły ze ściany lasu. – Wkręciliśmy się jak głupie! Dziękuję ci za świetną wyprawę. Powtórzmy to jeszcze, dobra?

– Jasne.

Na podjeździe stał zaparkowany obcy samochód. Wyglądało na to, że zapowiadani goście już przybyli.

Rozdział 22

– Poznajcie się. To jest Joanna, a to Zbyszek. Te dwie młode damy to Cecylia i Bożena.

Marta dokonała prezentacji od razu, gdy dziewczyny pojawiły się w domu. Nieśmiało przyglądały się nowo przybyłym. Pewnym zaskoczeniem okazał się wiek mężczyzny. Wyglądał na niewiele starszego od nich. Spodziewały się raczej rówieśnika gospodarzy. Joanna natomiast wyglądała na równolatkę Marty. Goście byli do siebie podobni i Cecylii przyszło do głowy, że może są rodzeństwem. Zanotowała w myślach, żeby zapytać o to gospodynię. Teraz grzecznie dygnęła, witając się, i poszła do łazienki, by umyć ręce. W ślad za nią pojechała Bożenka.

– To ma być ten rehabilitant? A co on potrafi? Pewnie jakiś student, co się ma na mnie uczyć – szeptała do przyjaciółki. – A już miałam nadzieję, że Marta sprowadzi specjalistę. Tyle o nim opowiadała...

– Daj spokój. Jeszcze nic nie wiemy. Wygląda sympatycznie.

– Ta, sympatycznie, tyle że to nie przywróci mi czucia w nogach.

– Wracajmy tam.

Kiedy ponownie pojawiły się w kuchni, na stole znalazły się dodatkowe dwa nakrycia. Marta podała także kanapki i herbatę.

– Co robiłyście w lesie? Długo was nie było.

Spojrzały na siebie i porozumiały bez słów, że nie będą wspominać o skrzatach. To była ich tajemnica. Nikt w tym pomieszczeniu i tak by jej nie zrozumiał.

– Tak sobie leżałyśmy i rozmawiałyśmy. – Cecylia postanowiła udzielić odpowiedzi. Po chwili dodała jeszcze: – Fajnie było.

– To cudownie. Może wybierzecie się jeszcze kiedyś?

– Na pewno.

Kolacja przebiegła w miłej, ale trochę wymuszonej atmosferze. Kornelia marudziła, dlatego Jan zabrał ją szybciej do łóżeczka, a Marta próbowała poruszać neutralne tematy, które mogłyby zainteresować wszystkich. Rozmowa jednak się nie kleiła.

– Jesteście zmęczone?

– Tak! Nie! – odparły jednocześnie. Bożenka chciała szybko znaleźć się w swoim pokoju, zagrzebać pod kołdrę i czytać książkę, Cecylia natomiast pełna była energii, którą zaczerpnęła w lesie, i nie wiedziała, co ze sobą zrobić.

Joanna postanowiła wykorzystać sytuację.

– A może mogłabyś nam pokazać gospodarstwo? Pewnie już się nieźle orientujesz co i jak, a ja jestem bardzo ciekawa, co się tu zmieniło. Zbyszek jest po raz pierwszy w Marcicach. Nasza gospodyni sprząta po kolacji, to może my się przejdziemy?

Cecylia spojrzała niepewnie na Martę, ale ta uspokajająco przytaknęła głową.

– To dobry pomysł – zgodziła się z ociąganiem. Nie wiedziała, co ma robić i gdzie iść, zapytała więc: – A co chciałaby pani zobaczyć?

– Nie pani, nie pani. Mów mi po imieniu. Chcielibyśmy zobaczyć wszystko po kolei: zwierzęta, ogród... Dom już nam Marta pokazała.

Wyszli we trójkę. Ściemniało się, więc dziewczyna poprowadziła gości najpierw do ogródka.

– Tu jest nasz warzywnik. Nieduży, ale Marta mówi, że na nasze potrzeby wystarczający. Nie kupuje prawie w ogóle warzyw i owoców, bo wszystko bierzemy stąd.

– To pewnie jest tu sporo roboty, co?

– O, tak! Wcześniej trochę pomagałam, ale od kiedy jest Bożenka, spędzam z nią czas i...

– Spuściła głowę i urwała. Uświadomiła sobie, że wszystko zostało na głowie Marty, która dość miała pracy przy gościach.

– Hej, nie miej wyrzutów sumienia. Zajmując się Bożenką, bardzo pomagasz waszej opiekunce.

– Ale ogród...

– Zanim przyjechałaś, Marta radziła sobie sama. Teraz też. To dobrze, że jej pomagałaś. I dobrze, że teraz wyręczasz gospodarzy w opiece nad Bożenką.

Cecylia poczuła ulgę. Nikt jej nie ganił, nie miał o nic pretensji. Joanna wydała się całkiem sympatyczna.

Z ogrodu poszli do budynku gospodarczego. Tam w kojcu obok pieca leżała kaczka z gromadką żółtych kaczuśzek.

– Och, jakie śliczne! Patrz, Zbysiu! Cudeńka!

Posiedzieli chwilę przy kaczuśkach, próbując je głaskać. Joanna kątem oka obserwowała dziewczynę.

– One się boją obcych. Dlatego tak uciekają. – Cecylia poczuła, że musi coś powiedzieć.

Psycholożka nie była pewna, czy nastolatka mówi o ptakach, czy o sobie.

– To naturalne. Potrzeba czasu, żeby się oswoić.

Uśmiechnęły się do siebie. Nić porozumienia została nawiązana.

– Nie mamy zbyt wielu zwierząt, bo to duży obowiązek – powiedziała przewodniczka, wchodząc do stajni, gdzie znajdowały się maszyny rolnicze i ogrodowe, rowery, skład siana i paszy. – Mleko bierzemy od krowy sąsiadki. Jajka też od ludzi. Kiedyś Marta i Jan mieli podobno sporo kur, ale kilka zdechło i umówili się z sąsiadką, że weźmie od nich resztę, ale będą dostawać jajka. Mamy kozę.

– A jakiegoś pieska lub kotka?

– Niestety nie. – W głosie Cecylii pobrzmiwał zawód. – Czasem stary kocur przychodzi na podwórko, ale jest dziki i nie daje się głaskać.

– Chciałabyś mieć własne zwierzątko?

– Zawsze marzyłam o psie i kocie, ale moja mama... – Przełknęła ślinę i dokończyła:

– Moja mama nie zgadzała się. Teraz, kiedy ona... bo ona umarła, wiesz?

Joanna nie spodziewała się, że nastolatka tak szybko poruszy temat matki. Była uprzedzona przez Martę, że to trudna, nieprzepracowana jeszcze kwestia. Stwierdziła jednak, że jest zbyt późno, by zaczynać poważne rozmowy.

– Cecylia. Wiem o tym, że twoja mamusia odeszła. Musi ci być bardzo ciężko. To dla nikogo nie jest łatwe. Chętnie z tobą o tym porozmawiam, jeśli będziesz miała ochotę, ale teraz chodźmy do domu, bo zrobiło się chłodno. I komary zaczynają gryźć. – Dotknęła jej ramienia.

Dziewczyna nie uchyliła się, co Joanna uznała za dobry znak. Spodziewała się, że Cecylia będzie w dużo gorszej formie, a wyglądało na to, że pobyt w Marcicach jej służy. Jak zwykle to miejsce wywiera dobry wpływ na psychiczną formę kuracjuszy. Psycholożka lubiła tu przyjeżdżać, choć od dwóch lat nie miała okazji. Zbyszek natomiast wydawał się zaciekawiony. Pewnie i on szybko pokocha to miejsce, pomyślała kobieta.

Kiedy dziewczyny poszły spać, Góralscy długo jeszcze rozmawiali z Joanną i Zbyszkiem, opowiadając im o zmianach, jakie zachodzą w obu młodych kobietach. Wydawało się, że Cecylia rzeczywiście czuje się dużo lepiej, co nie znaczyło, że lęki minęły. Joanna zdawała sobie sprawę, że czeka je jeszcze długa praca nad odbudowaniem poczucia własnej wartości, akceptacją swojej natury i zrozumieniem lęków, które ją obezwładniają. Praca nad wyzbyciem się poczucia winy w związku ze śmiercią matki czy wrażeniem, że wciąż nie spełnia oczekiwań innych, co w gruncie rzeczy było objawem braku akceptacji siebie. Psycholożka była dobrej myśli. Wiedziała, że stopniowo zdobędzie jej zaufanie i pomoże przejść przez trudy terapii. Joanna miała wielu pacjentów z różnymi fobiami, ale też takich, których los nie głaskał po głowie i przeżyli w dzieciństwie piekło. Praca ze zranionym człowiekiem nigdy nie była łatwa, czasem trwała latami, ale kobieta czuła, że dobrze wypełnia swoją misję. Nieraz otrzymywała dowody na to, że potrafi pomóc ludziom: kartki świąteczne z życzeniami, wakacyjne zdjęcia uśmiechniętych twarzy, maile z wiadomościami o ważnych wydarzeniach w życiu swoich pacjentów. Nigdy nie ingerowała w ich sprawy, nie oczekiwała, że po skończonej terapii pozostaną w kontakcie, a jednak była dla nich ważna, kojarzyła się dobrze, bo potrafiła pomóc. Wyrazy sympatii nigdy nie napawały jej pychą. Każdy pacjent był nowym wyzwaniem. Zawsze brała pod uwagę to, że jej pomoc może nie wystarczyć. Im trudniej było na początku terapii, tym więcej robiła, by poznać psychikę swojego pacjenta. Nieustannie się doksztalała, czytała fachową literaturę krajową i zagraniczną, jeździła na szkolenia i sympozja. Terapia była jej powołaniem.

Obserwując obie dziewczyny, zdała sobie sprawę, że Cecylia jest krok od zrozumienia swojej osobowości, a stamtąd niedaleko do akceptacji. Dużo bardziej martwiła się o Bożenkę, jednak, jak wcześniej już ustalili z Góralskimi i Zbyszkiem, motorem do zmian była fachowa pomoc fizjoterapeuty. Pierwsze miesiące rehabilitacji dają największe możliwości, dlatego tak ważne jest, by zacząć natychmiast. Zdawała sobie sprawę z tego, że dużo łatwiej dojść do sprawności ludziom, którzy wierzą w to, że się uda. Wszystko zaczyna się od pozytywnego myślenia.

Czekało ich dużo pracy. Kolejny dzień miał pokazać, czy dziewczyny są gotowe na stawiane przed nimi wyzwania.

Rozdział 23

– Na początek opowiedz mi o tym, jak wyglądała poprzednia rehabilitacja. W tym czasie będę dotykał różnych miejsc na twoim ciele, a ty mów, jeśli coś poczujesz.

Niełatwo było przełamać opór Bożenki, ale Marcie udało się namówić ją, żeby dała fizjoterapeucie szansę. Z ociąganiem zgodziła się z nim porozmawiać i na próbę odbyć kilka spotkań. Zbyszek zapoznał się wprawdzie z dokumentacją, którą przesłano z Trzebini, jednak wolał sam przekonać się, z jak poważnym urazem ma do czynienia. Planował zabrać dziewczynę do łódzkiej kliniki, w której pracował, i wykonać nowe zdjęcia rentgenowskie. Szczególnie ważna była dla niego aktualna ocena układu nerwowo-mięśniowego i porównanie z wykonanymi zaraz po wypadku badaniami. Różnice w wynikach mogły wskazać, czy organizm powraca do czynności ruchowych, czy też nasilają się objawy powodujące paraliż.

Bożenka opowiadała o pobycie w szpitalu, o zabiegach i ćwiczeniach, które odbywała, oraz o operacji. Zbyszek co jakiś czas kiwał głową, zdawał się jednak bardziej skupiony na poszczególnych częściach jej ciała niż na słowach. Stosował zarówno delikatny dotyk, jak i ukłucia igłą, by sprawdzić wrażliwość. Kiedy Bożenka reagowała, rysował i zapisywał wszystko skrupulatnie.

– No dobrze. Jutro pojedziemy na zdjęcia, a dziś już tylko ćwiczenia oddechowe. Podobne pewnie wykonywałaś w szpitalu.

– Przecież oddycham normalnie. Po co to?

– Wentylacja jest konieczna dla prawidłowego ukrwienia kończyn i stawów, a także przygotowania mięśni, więzadeł i stawów do ruchu. Powoli wdrożymy ćwiczenia ruchowe czynno-bierne, a z czasem czynne. Równolegle trening ogólnokondycyjny.

– Nic z tego nie rozumiem. Możesz mówić bardziej zrozumiale?

– Jasne. Musisz nauczyć się sprawnie posługiwać wózkiem, być samoobsługowa...

– Nie o to mi chodzi, tylko o te bierne czy czynne ćwiczenia. Co to jest?

– Chodzi o to, że na początku ja będę prowadził twoje nogi, a twoim zadaniem będzie rozluźnienie mięśni. Będziemy też wykonywać ćwiczenia izometryczne polegające na wzmacnianiu mięśni. Pamiętaj, jeśli tylko poczujesz, że jesteś w stanie zrobić choćby minimalny ruch, napinaj mięśnie choć odrobinę, ale rób to systematycznie.

– To i tak nic nie da...

– Nie możesz tak myśleć. Wstępnie cię zbadałem. Wygląda na to, że masz duże szanse na sprawność. To, w jakim stopniu i jak szybko, zależy od ciebie i twojego nastawienia.

Bożenka się zamyśliła. Od wypadku minęły zaledwie dwa miesiące, a ona odnosiła wrażenie, jakby pół życia jeździła na wózku. To, że w ogóle go miała i szybko nauczyła się nim posługiwać, było wielkim osiągnięciem, ale tylko na tyle wystarczyło jej sił. Młody mężczyzna wydawał się zaangażowany. Widać było, że praca sprawia mu radość, ale dziewczyna wątpiła, by był w stanie zrobić to, czego pragnęła najbardziej. Spojrzała na swoje nogi bezwładnie oparte o podnózek i wyteżyła się najmocniej, jak umiała, by nimi poruszyć. Nic z tego nie wyszło. Czuła narastający gniew.

– Srutu-tutu. Nastawienie? Dobre sobie! – Gdyby spojrzenie mogło zadawać ból, terapeuta cierpiałby teraz katusze. – Przecież każdy sparaliżowany chce być sprawny, a większość i tak do końca życia pozostaje kaleką. Mogę się nastawiać, ile chcę, a i tak nic z tego nie będzie. Szkoda twojej fatygi.

– Wiesz co? Może pogadaj z Aśką, bo ja już nie wiem, jak ci to wytłumaczyć. Dlaczego negujesz wszystko, co mówię? Daj sobie szansę.

Widać było, że Bożenka walczy ze łzami, które cisną się jej do oczu. Zbyszek postanowił dać jej odpocząć. Zamierzał jednak pomówić z siostrą i poradzić się, jak dotrzeć do tej dziewczyny.

Nazajutrz rano Bożenka z rehabilitantem pojechali do Łodzi na badania. Tymczasem Cecylia z Joanną poszły nabierać jeżyny do tarty, którą planowała upiec Marta. Początkowo Krzeczpińska miała opory, by pójść z nowo poznaną kobietą do lasu. Po porozumieniu z zeszłego wieczoru nie było śladu. Czuła się skrępowana w jej towarzystwie, ale psycholożka szybko zorientowała się, że dziewczyna boi się konfrontacji, i zaproponowała, by zabrały ze sobą Kornelię. Cecylia bardzo żyła się z nią i traktowała jak młodszą siostrzyczkę, której nigdy nie miała. Gdy ta usłyszała o wyprawie, bardzo się ucieszyła i chwyciła Cecylię za rękę, w obawie, żeby jednak nie zmieniły zdania i nie poszły bez niej. Nie było wyjścia. Wyprawa po jeżyny musiała dojść do skutku.

– Jak ci się tu mieszka? – zapytała kobieta.

– Dobrze. Tu jest pięknie.
– Lubisz przyrodę, prawda?
– Oj, bardzo.
– A w Chrzanowie? Jest dużo zieleni?
– Mamy park i za miastem jest pięknie. Wokół jest dużo lasów. Bożenka opowiadała kiedyś, że tam są stawy, gdzie można łowić ryby. Pojechała rowerem, choć to daleko od centrum.
– Chciałaś tam kiedyś się wybrać?
– Pewnie. Ale rodzice nigdy nie mieli czasu, a sama... no, ja nie jestem taka odważna jak Bożenka. Ona wszędzie jeździ sama. – Cecylia zatrzymała się na chwilę i spuściła wzrok, cicho dodając: – To znaczy jeździła.

Joannie nie umknęła zmiana jej nastroju.

– Martwisz się o nią?
– Chciałabym, żeby było jak dawniej.
– To znaczy jak?
– Żeby była sprawna. Wesoła. Dlaczego ją to spotkało?
– W naszym życiu dzieją się różne rzeczy. Nie zawsze po naszej myśli. Trudno zrozumieć te wszystkie nieszczęścia. To przychodzi z czasem. Ale nie możemy zastanawiać się, dlaczego mnie, dlaczego ją to spotkało, bo nie ma prostego wytłumaczenia.

Nagle Cecylia wybuchnęła płaczem. Kornelia, zrywająca nieopodal trawy, aż wzdrygnęła się z zaskoczenia. Widać było, że i ona zaraz będzie szlochać.

– To mnie powinno spotkać, bo to ja nie byłam dobrą córką. Bożenka opiekowała się swoją rodziną, mną, dobrze się uczyła, chciała pójść na studia, miała tyle planów! Nie można takiej osobie tak po prostu wszystkiego zabrać. Gdybym tylko mogła zamiast niej sięść na tym wózku...

– Cecylio, spójrz na mnie. – Joanna chwyciła jej podbródek i zmusiła do podniesienia wzroku. – To, co się stało Bożence, nie ma nic wspólnego z tobą. Rokowania są bardzo dobre. Myślę, że wyjdzie z tego, ale nawet jeśli nie będzie całkiem sprawna, to nie twoja wina. Wiem, że martwisz się o nią, ale to ona musi dać sobie z tym radę. Nie ty. Twoją rolą jest ją wspierać. Słyszysz? Wspierać, a nie umartwiać się i wyobrażać, że ją zastąpisz.

– A co z jej planami? Chciała studiować na akademii wychowania fizycznego. Czy to kiedykolwiek będzie możliwe?

– Co będzie, to będzie. Najwyżej zmieni plany. Wiele razy zbaczymy w życiu z obranej na początku drogi. To wcale nie znaczy, że jest gorzej. Po prostu jest inaczej, niż pierwotnie założyliśmy. I zapewniam cię, że z perspektywy czasu nieraz dostrzegamy, że zmiany wyszły nam na lepsze.

Poszły dalej, każda pogrążona w swoich myślach. Nagle Kornelia okrzykiem radości oznajmiła, że widzi krzewy jeżyn. Owoców było całe mnóstwo. Gałęzie uginały się pod ich ciężarem. Kobiety nazbierały pełne pojemniki i już w lepszych nastrojach wyruszyły w drogę powrotną.

– A ty jak widzisz siebie w przyszłości?

Cecylia długo nie odpowiadała. Zastanawiała się, jak powiedzieć, że przed oczami wyobraźni ma pustkę. Czuje się tak, jakby stała przy moście we mgle. Mimo że próbuje wyteńczyć wzrok, nie jest w stanie dostrzec, co znajduje się na drugim brzegu rzeki.

– Nie mam żadnych planów.

Joanna postanowiła nie męczyć jej dłużej, dlatego zawołała Kornelię i to z nią prowadziła pogaduszki. Zanotowała jednak w pamięci, aby podczas terapii skoncentrować się na przyszłości Cecylii, powoli otwierać ją na to, co będzie, zaczynając od planowania najbliższych wydarzeń po

uruchomienie marzeń. Zdawało jej się, że dziewczyna nie pozwala sobie marzyć, lękając się czegoś albo karząc się w ten sposób za coś. Miały przed sobą dużo pracy, ale specjalistka była dobrej myśli. Z czasem osiągną dobre efekty.

Kiedy wróciły do domu, Zbyszek z Bożenką już tam byli.

– Na wyniki badań trzeba poczekać, ale dodatkowe ćwiczenia będziemy mogli już wykonywać, bo przywieźliśmy przy okazji odpowiedni sprzęt. Muszę pomóc Jankowi. – Zbyszek szybko ulotnił się z kuchni, w której pojawił się jedynie na moment w poszukiwaniu miotły.

Jak się chwilę później okazało, w pokoju dziewczyn mężczyźni przygotowywali przestrzeń odpowiednią do rehabilitacji. Na jednej ze ścian zamontowane zostały drabinki. Zmieniłi ustawienie łóżek tak, żeby można było położyć na podłodze specjalny materac, który wypożyczyli ze szpitala. Właściwie wszystko było już gotowe. Pozostało jedynie uprzątnięcie miejsca po robocie.

Bożenka w tym czasie pomagała Marcie w krojeniu warzyw do sałatki jarzynowej na kolację.

– Dobrze, że już jesteście, bo tarta się upiekła i muszę zalać owoce galaretką. Ojej, aleście tego naniósł! – zdziwiła się, gdy postawiły na stole trzy pełne wiadereczka. – Nie przejemny! Trzeba będzie zrobić przetwory. – Widząc umorusaną buzię swojej córeczki, sięgnęła po mokrą chusteczkę i z czułością otarła jej twarz. – Ty to chyba już zjadłaś swoją porcję, co?

– Jeszcze zmieszczę – odparła Kornelka i pogłaskała się po brzuszku. – Patrz, mam miejsce.

Rozdział 24

Zbyszek spędził w Marcicach dwutygodniowy urlop, rehabilitując Bożenkę. Potem przyjeżdżał z Łodzi trzy razy w tygodniu. Dziewczyna miewała zmienne nastroje. Czasem poddawała się żmudnym ćwiczeniom i współpracowała, innym razem biernie pozwalała się dotykać. Zdarzały się jednak takie chwile, gdy zamykała się w pokoju i odmawiała współpracy. Mimo że przed wypadkiem była wysportowana, to wiele tygodni leżenia i siedzenia mocno osłabiło jej mięśnie, dlatego tak ważny dla jej samodzielnego funkcjonowania był trening kondycyjny. Pierwsze ćwiczenia polegały na nauce obrotów ciała, przejściu z leżenia do siadu i samodzielnego dźwigania się z łóżka do wózka i z powrotem. Nieraz pracowali z dodatkowymi obciążnikami, by efektywniej wzmocnić mięśnie.

Zbyszek faktycznie okazał się bardzo dobrym specjalistą. Doskonale znał się na rzeczy, a jego młody wiek wcale nie pozostawał w sprzeczności z umiejętnościami.

Joanna pojawiała się w Marcicach dwa razy w tygodniu. Cecylia polubiła spotkania z nią. Otworzyła się przed terapeutką i chętnie opowiadała o swoich uczuciach. Zasadniczo czuła się dobrze. Kiedy w jej życiu wszystko się ustabilizowało, nie miewała już koszmarów ani napadów paniki. Jednak nie oznaczało to, że całkowicie pozbyła się lęków. One wracały, ale paradoksalnie mniej się ich bała. Zaczynała rozumieć, że lęk może być jej sprzymierzeńcem, jeśli go zaakceptuje i poczuje, a nie będzie analizować.

Psycholożka kilka razy rozmawiała również z Bożenką. Choć nie zawsze było to łatwe, gdyż w chwilach buntu dziewczyna odmawiała przyjęcia jakiegokolwiek pomocy, wołąc umartwiać się nad swoim losem, niż chwycić wyciągniętą w jej stronę rękę. Jednak ani Cecylia, ani Marta czy Joanna nie poddawały się i w końcu udało się namówić Bożenkę na rozmowę.

– Cuda zaczynają się tu. – Psycholożka ręką dotknęła głowy dziewczyny. – Ciężka praca i pozytywne nastawienie to klucze do sukcesu. Musisz to sobie wizualizować. Wyobrażać siebie biegnącą, jeżdżącą na rowerze. Tak jak robiłaś to kiedyś. Cecylia mówiła, że masz bogatą wyobraźnię, więc użyj jej teraz.

– Właśnie moja wyobraźnia mówi mi, że za dziesięć lat będę starą zgorzkniałą panną

podjeżdżającą na wózku na Plac Tysiąclecia i karmiącą gołębie pod orłem.

– Gołębie pod orłem? – Joanna uśmiechnęła się do swojej myśli.

Bożenka szybko wyjaśniła:

– W Chrzanowie jest plac, na którym stoi pomnik Zwycięstwa i Wolności przedstawiający orła.

– Aaa. No dobrze. Wizualizujesz siebie w Chrzanowie. To już coś. A dlaczego stara i zgorzkniała?

– No dobra, może nie stara, ale tak się mówi przecież na kobiety, których nikt nie chciał.

– Zaraz, zaraz... Czy to, że ja nie mam męża, znaczy, że jestem starą, zgorzkniałą panną?

– Ty? Nie... Przepraszam. Przesadziłam.

– Nie gniewam się! – Terapeutka zaśmiała się serdecznie. – Spróbuj wyobrazić sobie siebie bardziej pozytywnie, co? Wymyśl dobrą historyjkę i opowiedz mi, gdy przyjadę tu w czwartek. Okej?

– No dobra. Spróbuję.

Wakacje mijały i trzeba było podjąć decyzję o dalszej edukacji dziewczyn. Na szczęście obie dostały promocję do trzeciej klasy liceum, jednak nie były gotowe na to, by powrócić na zajęcia. Długo rozmawiały na ten temat z Góralskimi, bo choć Bożenka nie była w stanie jeszcze podjąć nauki w normalnej szkole z powodów czysto logistycznych, to Cecylia mogłaby spróbować. Wiązałoby się to z powrotem do Chrzanowa, a ta perspektywa napawała ją lękiem. Nastolatka nie chciała stawić czoła rodzinnemu miastu, mieszkaniu, z którym wiązało się wiele bolesnych wspomnień, i szkole, w której nigdy nie czuła się dobrze. Postanowili więc rozważyć możliwość kontynuowania nauki w liceum eksternistycznym.

Któregoś wrześnieowego dnia do Marcic przyjechał Marian i przywiózł ze sobą niespodziankę. Gdy z auta wysiadła babcia Dusia, Bożenka zaniemówiła z wrażenia. Najpierw przez chwilę patrzyły na siebie, nie mogąc wydobyć słowa, a po chwili padły sobie w ramiona.

– Moja kochana! Bożenko, jak ja za tobą tęskniłam! Pan Krzeczynski specjalnie przyjechał po mnie! Wiesz, że ja sama taki kawał nie dałabym rady!

– Babuniu, zrobiłaś mi ogromną niespodziankę! Tak się cieszę! Kocham cię tak bardzo...

Tuliły się do siebie, próbując nadrobić czas rozłąki. Od kiedy Bożenka znalazła się w Marcicach, kilka razy rozmawiała z rodzicami przez telefon, zapewniając, że dobrze sobie radzi i wszystko u niej w porządku, choć nie zawsze tak myślała. Nie chciała ich martwić. Pytała, co słychać u młodszych braci i sióstr, jak w pracy i czy tata dalej nie pije. Nie miała okazji porozmawiać z babcią, bo akurat wtedy, gdy dzwoniła, nie było jej w domu. Góralscy, podobnie jak Nowakowie, nie mieli komórek, bo nie były niezbędne. Wystarczał telefon stacjonarny, a i tak rzadko z niego korzystali.

Marian pojawiał się co kilka tygodni, ale głównie po to, by podrzucić drobne sprawunki, ubrania czy książki. Był szczęśliwy, widząc córkę w dobrym zdrowiu, chętną do życia i dobrze odżywną. Po chudości sprzed kilku miesięcy nie było śladu. Jej oczy i włosy błyszczały, a sylwetka nabrała jakby bardziej kobiecych kształtów. Kiedy jednak sugerował, że może wrócić do domu, zaraz sztywniała i twierdziła, że nie jest gotowa. Pomimo pozornego szczęścia trauma z dzieciństwa i wspomnienie śmierci matki wciąż głęboko w niej tkwiły.

Nikt z rodziny Bożenki do tej pory nie przyjechał. Rozumiała to, bo trudno było im rzucić wszystko i przemierzyć taki kawał, by za chwilę wracać. Zresztą, jak dowiedziała się od babci, w ich życiu zachodziły zmiany.

– Opowiadaj, babuniu, co u wszystkich po kolei.

Staruszka spojrzała na Krzeczynskiego i uśmiechnęła się.

– Pan Marian dowiedział się, że u niego na zakładzie poszukują pracownika i namówił

twojego tatę. Teraz razem pracują w... Jak to się nazywa, panie Marianie?

– W Fabloku.

– No właśnie. Coraz gorzej z moją pamięcią.

– Tata musi codziennie dojeżdżać do Chrzanowa! – zmartwiła się dziewczyna.

– Jeszcze tak, ale już niedługo znów zamieszkamy w naszym mieście. Tata Cecylii...

Obie spojrzały na mężczyznę, który spuścił wzrok. Zaraz potem popatrzył na córkę i sam postanowił wyjaśnić swój zamysł.

– Zaproponowałem, żeby państwo Nowakowie przeprowadzili się do naszego mieszkania w rynku. Ja przeniosłem się do Kościelca. Mam nadzieję, Cecylio, że nie masz nic przeciwko temu.

– Nie, tatusiu, to dobry pomysł. Kiedy się przeprowadzają?

– Trwa remont. Wiesz, mieszkanie dawno nie było odświeżane, no i ten nieużywany pokój trzeba przygotować. Karol, to znaczy tata Bożenki, przychodzi tam po pracy i pomaga ekipie remontowej.

– A co z Jureczkiem, Madzią i Julką? Przecież mają szkołę w Trzebini! – Bożenka nie wyraziła ani swojej aprobaty, ani niechęci do nowego pomysłu.

– Już wszystko załatwione. Od tego roku chodzą do waszej dawnej podstawówki.

– Dziwnie będzie tam przychodzić jak do siebie...

Cecylia milczała. Próbowała wyobrazić sobie rodzinę przyjaciółki w swoim mieszkaniu. Sama nie miała ochoty tam wracać. Na myśl o tym czuła ucisk w żołądku.

– A wy, dziewczyny, co postanowiłyście ze szkołą? Dalej chcecie uczyć się w domu? Trzeba będzie jeździć do Chrzanowa na egzamin śródroczny i końcowy ze wszystkich przedmiotów.

– Spróbujemy. Marta załatwia nam nauczycieli, którzy będą tu przyjeżdżać i sprawdzać naszą wiedzę. Jeśli uda się nas przepisać do takiej wirtualnej szkoły, to będziemy mogły zdawać egzaminy w najbliższej placówce, zamiast jeździć do Chrzanowa. Problem, że to szkoła dla dorosłych, więc będziemy mogły przenieść się tam dopiero od nowego semestru.

Bożenka tuliła się do babci. Stęskniła się za nią bardzo. Zauważyła, że kobieta postarzała się przez ostatnie miesiące. Nie miała już takiej energii jak wcześniej i rzeczywiście coraz częściej traciła wątek oraz zapomniała, co zostało powiedziane. Dziewczyna zasępiła się, uświadamiając sobie, że babci lat nie ubywa, a teraz z dala wnuczka nie będzie mogła jej pomóc.

Niestety wizyta szybko dobiegła końca. Babcia Dusia musiała wrócić do opieki nad wnukami, a ojciec Cecylii do domu, by odpocząć przed poranną zmianą w fabryce. Bożenka miała nadzieję, że częściej będą się widywać. Kiedyś z babcią były nierozłączne, a teraz każda musiała sobie radzić sama. Z całej rodziny to jej właśnie brakowało dziewczynie najbardziej.

Rozdział 25

– Marta, widziałaś Bożenkę? – Cecylia po wyjściu z łazienki nie zastała przyjaciółki w pokoju, a chciała podzielić się z nią nową myślą.

Bożenka nie była od rana w nastroju do rozmów. Na wszystko reagowała zniecierpliwieniem i gniewem. Szczególnie podczas ćwiczeń wyrażała swoje niezadowolenie, wyładowując złość na Zbyszku.

– To nic nie da...

– Bożenko, już o tym rozmawialiśmy wiele razy. Daj sobie szansę – powtarzał fizjoterapeuta.

Miewała różne nastroje, ale tego dnia zdecydowanie była nie w sosie.

– Daj sobie szansę, daj sobie szansę... Przecież widzisz, że dają, ale nie ma efektów.

– Od tygodnia ruszasz palcem. To ogromny postęp.

– Tak, masz rację. Ruszający się palec u nogi niezwykle przyda mi się w życiu.
– Sarkastyczny ton Bożenki ranił.

Zbyszek westchnął, bo brakowało mu już argumentów. Jego zdaniem zrobiła milowy krok. Problem polegał na tym, że chciała natychmiastowego i spektakularnego efektu, a po tak poważnym urazie powrót do sprawności może zająć wiele miesięcy, jeśli nie lat.

Zakończyli ćwiczenia wcześniej. Terapeuta od razu pojechał do Łodzi. Kiedy wsiadał do samochodu, jego spojrzenie spotkało się ze wzrokiem Cecylii, która wyglądała przez okno. Pomachali sobie przyjaźnie. Taki zwykły gest, a jednak pokrzepił Zbyszka i dał mu poczucie, że to, co robi, ma sens, a jego wysiłki są doceniane przez prawie wszystkich domowników. Liczył, że także Bożenka wkrótce to dostrzeże.

Tymczasem Cecylia rozmyślała, jak przekonać przyjaciółkę, że nie jest w tak beznadziejnym położeniu, jak jej się wydawało. W łazience przyszedł jej do głowy pomysł, który najpierw chciała jej przedstawić, a potem porozmawiać o nim z Martą i Zbyszkiem. Musiała zapytać, jak go zrealizować. Kiedyś Bożenka była bardzo dobrą pływaczką, więc uznała, że mogliby pojechać na basen do Łodzi. Czytała, że ćwiczenia w wodzie to doskonała forma rehabilitacji. Wprawdzie sama nie potrafiła pływać, a basen ją przerażał, ale chęć pomocy koleżance była dla niej wystarczającą motywacją, by stawić czoła swoim słabościom.

Pełna nadziei chciała od razu porozmawiać z Bożenką, jednak nigdzie nie mogła jej znaleźć. Marta również nie widziała dziewczyny. Na zewnątrz było rześko, więc Cecylia narzuciła sweter i wybiegła przed dom. Tam również jej nie było. Rozglądała się wokół, coraz bardziej zdenerwowana.

Nagle dostrzegła w oddali wózek inwalidzki. Bożenka bez poinformowania kogokolwiek opuściła obejście i pojechała w kierunku lasu. Zatrzymała się tuż za skrzyżowaniem z asfaltowej drogi, niedaleko kapliczki.

Cecylia krzyknęła do Marty, że widzi przyjaciółkę i pójdą razem na spacer. Kiedy zbliżyła się do niepełnosprawnej, zorientowała się, co jest przyczyną postojów. Koła ugrzęzły w błocie, które pozostało po nocnym deszczu.

– Widzisz? Sama nawet na spacer nie pojedę. Jestem beznadziejna. – Bożenka uderzyła ze złości dłońmi w uda, jednak nie dało jej to ukojenia.

– Gdzie chcesz jechać? Pomogę ci.

– Chciałabym bez pomocy. Mam dość bycia dla was ciężarem. Chcę być samodzielna.

Cecylia chwyciła ręczki wózka i jadąc po trochę w przód i w tył, wyprowadziła go z błota. Popchała dalej i wkrótce znalazły się w lesie. Tam było już sucho. Ubita ścieżka nie była problemem dla kół, dlatego sprawnie ją pokonywały. Tym razem Cecylia skierowała się w inną stronę niż zazwyczaj. Podczas drogi rozmawiały trochę o basenie, jednak Bożenka nie była przekonana do tego pomysłu. Po kilkunastu minutach znalazły się w zupełnie nieznannej części lasu. Teren był całkiem płaski, poszycie pozbawione krzewów, składało się głównie z igliwia i szyszek. Wysokie sosny rosły w równych odległościach od siebie, tak jakby ktoś sadił je z metrem w dłoni. Efekt był niesamowity. W oddali widać było jednak, że las się kończy. Podjechały tam zaciekawione. Ich oczom ukazał się niezwykle widok. Na skraju lasu znajdowała się piaszczysta skarpa schodząca bezpośrednio do rzeki. Na rzece było kilka maleńkich wysepek pełnych kolorowych kwiatów. W ogóle otoczenie skarpy było bardzo zielone. Widok chwycił za serce.

– Wiesz, kiedy widzę, jak piękny jest świat, mam ochotę krzyczeć ze złości. Tak bardzo chciałabym korzystać z tego piękna. Czuję się uwięziona na tym wózku.

– A ja czuję się uwięziona w sobie – szepnęła Cecylia.

– Nie masz ochoty czasem pokrzyczeć?

– Nie wolno. Mama zawsze była zła, kiedy byłam głośna.
– Nieprawda. Krzyk jest dobry. Uwalnia emocje. Spróbuj.
– No co ty! Tu? Nie chcę...
– Przecież tu nikogo nie ma. Aaaaa! – Bożenka wrzasnęła niespodziewanie tak, że przyjaciółka skuliła się w sobie.

Odpowiedziało echo.

– Widzisz, nic się nie stało. Teraz ty!

– Nie umiem...

– Dasz radę.

– Ale co mam krzyknąć?

– Wyrzuć z siebie to, co ci przeszkadza.

Cecylia nie była przekonana. Zrobiło jej się zimno.

– No! Dawaj! – Bożenka nie zamierzała zrezygnować.

– Nie!

– To już coś, ale musisz głośniej.

– Nie potrafię.

– Zawołaj: nie chcę się bać!

– Nie chcę się bać! – Cecylia dała z siebie wszystko. Własny głos dzwonił jej w uszach, a echo powtarzało ostatnie słowo. Ku zaskoczeniu poczuła się dobrze. To wcale nie było takie głupie.

– Nie chcę tego wózka!!! – zawtórowała jej koleżanka.

– Idź precz, lęku!!!

– Nogi, ruszcie dupę!!!

– Mogę wszystko!!!

– Ja też mogę wszystko!!!

Przekrzykiwały się, a każde kolejne zdanie wypowiedane było głośniej. Puściły już wszelkie hamulce, więc obie dały upust swoim emocjom.

– Nikt mi nie będzie mówił, co mam robić!!!

– Jestem sprawna!!!

– Jestem sobą!!!

– Będę szczęśliwa!!!

Takie krzyki okazały się bardzo wyczerpujące. Cecylia opadła zasapana na piasek. Spojrzała na koleżankę i sięgnęła po jej rękę. Ścisnęła ją mocno.

– To niesamowite, jak mi ulżyło.

– Mnie też. Dzięki, że tu przyszłyśmy.

– Wracamy? Marta będzie się niepokoić.

– Jeszcze tylko jedno. Poczekaj. – Bożenka nabrała powietrza i wyrzuciła z siebie z pełną mocą: – Kij ci w nery, paraliżu! Nie dam się! Słyszysz?! Będę chodzić!!!

Tego dnia wieczorem Cecylia miała spotkanie z Joanną. Postanowiła opowiedzieć jej o nowym doświadczeniu. Nie przypuszczała, że krzyk może być tak oczyszczający.

– To normalne. Jeśli coś ci siądzie na żołądku, to wymioty zwykle przynoszą ulgę. Jeśli złe emocje zalegają, musisz jakoś je z siebie wyrzucić. Najgorzej, gdy się tłumi gniew. Krzyk pozwala tym emocjom się uwolnić. Co poczułaś, kiedy krzyczałaś?

– Niesamowitą ulgę. To było zupełnie inaczej niż wtedy, gdy mam napady paniki i krzyczę.

– Podczas paniki też uwalniasz emocje. Tylko wtedy ich nie kontrolujesz. Dziś zrobiłaś to świadomie.

- Czyli powinnam krzyczeć częściej? – zaśmiała się Cecylia.
- Tyle, ile potrzebujesz. Byle nie na innych.
- Wiesz, myślę, że Bożenke też ulżyło. Wróciła ze spaceru zupełnie inna, niż była rano. Biedny Zbyszek. Pewnie boi się tu znowu przyjechać. Dała mu popalić.
- On jest przyzwyczajony do humorów pacjentów. W końcu to nic przyjemnego borykać się z niepełnosprawnością. A zanim ktoś się z tym pogodzi, przeżywa skrajności. To zawsze jest trudne na początku, ale znam wspaniałych, pogodnych ludzi z trwałym kalectwem.
- Joasiu... – Cecylia nagle zmieniła ton na poważny.
- Tak?
- Myślisz, że moja mama byłaby ze mnie dumna? Zawsze uważała, że jestem za mało samodzielna, że wymyślam swoje lęki, żeby nie musieć nic robić. Ale trochę się zmieniłam chyba.
- Jestem pewna, że mama zawsze była z ciebie dumna. Może nie potrafiła tego okazać, ale...
- Wiecznie mnie krytykowała.
- Niektórym rodzicom wydaje się, że krytyką motywują dziecko do jeszcze większych starań. Ale to nie zawsze tak działa.
- Wiecznie się o mnie martwiła i dlatego zachorowała.
- To nie jest prawda. Twoja mamusia miała nowotwór. Tej choroby nie dostaje się ze zmartwienia. Spójrz na mnie, Cecyljo. Nie jesteś odpowiedzialna za śmierć mamy. Dopóki tego nie przyjmiesz do wiadomości, będzie cię męczyć poczucie winy. Ludzie umierają. Jedni wcześniej, inni później. To zawsze jest bardzo bolesne dla bliskich, ale nikt nie wie, co mu pisane. Na śmierć nie da się przygotować ani siebie, ani innych. Nie ma w naszym życiu nic pewniejszego niż ona. Ale póki żyjemy, nie możemy się poddawać.

Rozdział 26

Jesień pięknie ubarwiła las, a sady obsypała dorodnymi jabłkami. Było ciepło, choć w nocy pojawiały się przymrozki. Życie na wsi powoli szykowało się do zimowego przestoju. Ostatnie porządki na polach i w obejściach przygotowywały mieszkańców do nowej pory roku. Głównym problemem dla większości było drewno na opał. Co zapobiegliwszy gospodarz zaopatrzył się w węgiel, ale sołtys jak co roku apelował, by nie zatruwać powietrza w tej jednej z niewielu polskich ekologicznych enklaw.

Jan zakupił w tartaku zapas drewna do palenia w piecu, a Marta i Cecylia zbierały gałęzie w pobliskim lesie. Nigdy nie wiadomo, jak mroźna będzie zima, choć ostatnie lata wskazywały na to, że klimat raczej się ociepla. Nowoczesny dom Góralskich wyposażony był w centralne ogrzewanie gazowe. Większość chat we wsi miała tylko wielki piec w kuchni, w którym musiałyby palić się bez przerwy, żeby cały dom był ogrzany. Marta pamiętała, jak w starej chałupie babci Rozalii spała w pokoju graniczącym z kuchnią. Wieczorem, gdy babcia porządnie napaliła w piecu, ściana, przy której stało łóżko, parzyła. Zawsze wtedy odrzucała pierzynę na bok, bo pot spływał jej po plecach. Nad ranem jednak zakopywała się w miękkim puchu po uszy, bo w piecu dogasało i ściany szybko się wyziębiały, a mróz zaglądał przez nieszczelne okna. Na szczęście teraz nie było już takiego problemu. Nowy dom, który stanął praktycznie od zera na fundamentach chałupy po babci, miał wszystkie udogodnienia nowoczesnego budownictwa. Salon wyposażony był w kominek, którego blask nadawał przyjemny nastrój, i nic nie mogło równać się sielskiemu spędzaniu czasu przy trzaskającym ogniu z kubkiem malinowej herbaty i ulubioną książką.

Skoro nastała jesień, zbliżał się też wielki dzień dla Bożenki – jej osiemnaste urodziny. Kiedy Marta napomknęła, że chciałaby jakoś uczcić to święto, dziewczyna się zbuntowała.

– Nie chcę żadnej imprezy. Po co?
– Chciałam zaprosić twoją rodzinę. Na pewno pragną spędzić z tobą ten ważny dla ciebie czas.

– Doceniam, ale nie chcę. Zresztą oni tu nie przyjadą. Dla moich bliskich to zbyt duże przedsięwzięcie i... za drogie.

– Dobrze, nie mówmy już o tym. – Marta zdecydowała inaczej podejść do tematu. Postanowiła porozmawiać z Cecylią.

Okazja nadarzyła się wkrótce, gdy obie poszły do lasu po gałęzie.

– Masz jakiś pomysł, jak uczcić osiemnastkę Bożenki? – zagadnęła.

– Myślę, że wiem, co chciałaby dostać w prezencie.

– Tak?

– Sprawność! Dopóki nie stanie na nogi, dopóty się nie zmieni. Nie potrafię jej pomóc, nie potrafię przekonać, że na wózku czy bez jest tak samo ważna i może być szczęśliwa. Bo może, prawda?

Marta odłożyła gałęzie, które niosła w ramionach. Zbliżyła się do Cecylii. Chwyliła ją za rękę i spojrzała w oczy.

– Oczywiście, że może być szczęśliwa. Ty też. Spójrz na mnie.

Dziewczyna próbowała odwrócić wzrok, ale Marta jej nie pozwoliła.

– Uwielbiam patrzeć na twój uśmiech i serce mi skacze z radości, gdy widzę cię pogodną i szczęśliwą. Tak, widzę cię taką całkiem często. Nie dziw się. Przecież to prawda. Bożenka potrzebuje jeszcze trochę czasu, ale i w niej następują zmiany. To, co robicie dla siebie, jest niesamowite. Jestem pewna, że spełnią się wasze marzenia. Ale życie bywa kapryśne i każdy z nas miewa gorsze chwile. To nie znaczy, że szczęście nas omija. Ono jest, tylko trzeba umieć je dostrzec. Bożenka ma ciebie. Ma wspaniałą rodzinę, która ją kocha. Nie wiem, dlaczego nie chce ich do siebie dopuścić. Dziś jej zaproponowałam, że ich zaproszę na urodziny, ale kategorycznie odmówiła. Tłumaczyła to względami finansowymi, ale ja wiem, że chodzi o coś innego. Ona nie chce, żeby ją widzieli na wózku. Chce ich spotkać dopiero wtedy, gdy stanie na nogi. Mam świadomość, że to jej największe marzenie, ale myślę sobie, że gdyby pozwoliła im być z nią także teraz, gdy jest niepełnosprawna, przekonałaby się, że nadal bardzo ją kochają. Bez względu na wózek. Co o tym myślisz?

– Chyba tak... Pewnie masz rację. To co zrobimy z jej urodzinami?

Wzięły ponownie naręcza gałęzi i ruszyły powoli w kierunku domu.

– Wiesz, ona kiedyś wyobrażała sobie te osiemnaste urodziny. Miały być w klubie dyskotekowym na kilkadziesiąt osób. Z wielką pompą i wygłupami.

– Myślisz, że dalej o takich marzy?

– E, nie. Przecież to głupie.

– Marzenia nigdy nie są głupie.

– Przepraszam...

– Nie przepraszaj. Masz prawo mieć inne zdanie. To ja się źle wyraziłam. A ty jak chciałabyś spędzić swoją osiemnastkę?

Zastanowiła się chwilę. Przez całą rozmowę o przyjaciółce nie pomyślała o tym, że sama wejdzie w pełnoletność miesiąc i kilka dni później.

– Ja? Ja bym chciała, żeby przyjechał tata, żebyście byli wy z Janem i Kornelką, Bożenka oczywiście, Joanna i... Zbyszek. – Przy ostatnim imieniu lekko się zaczerwieniła, co nie uszło uwadze Marty.

Kobieta już od jakiegoś czasu zauważyła, że Cecylia przygląda się fizjoterapeucie z uwagą. Czasem ucinali sobie pogawędkę, ale Marta nigdy nie podsłuchiwała, o czym

rozmawiają. Teraz jednak przyszło jej do głowy, że Cecylia darzy mężczyznę chyba cieplejszym uczuciem niż zwykłą sympatią. Zastanawiała się, czy nie porozmawiać o tym z Joanną. Nie żeby miała coś przeciwko tym dwojgu, ale uczucie bez wzajemności mogłoby wpłynąć niekorzystnie na stan Cecylii. Jednak nie mogła czuwać nad wszystkim. Pewne sprawy czasem trzeba pozostawić swojemu biegowi. Zresztą Joanna pewnie sama wcześniej czy później coś zauważy.

– Zapytam Janka. Może on będzie miał jakiś pomysł.

Gdy były już pod domem, wydawało im się, że ktoś patrzy na nie zza firanki w dziewczęcym pokoju. Pomachały nawet, ale postać stała nieruchomo. A może to tylko gra światła sprawiała takie wrażenie? Zmrok zbliżał się nieuchronnie. Bożenka została w domu sama, co zdarzało się od czasu do czasu. Najczęściej wtedy spała albo czytała książkę.

Złożyły drewno w komórcie na opał. Cecylia pierwsza pobiegła do domu. Ledwo znalazła się w środku, dał się słyszeć jej krzyk.

Marta wpadła do sieni z łomoczącym sercem i wizją najgorszych rzeczy. Potrafiła stojącą w progu Cecylię i podobnie jak ona najpierw wrzasnęła, a potem zaniemówiła. Po drugiej stronie pokoju przy oknie stała Bożenka i patrzyła na nie niepewnym wzrokiem.

– Ja... ja się bałam usiąść – zaczęła się tłumaczyć, jakby zrobiła coś złego.

Obie dopadły ją i nagle zaczęły mówić jedna przez drugą.

– Ty stoisz! O rany! Stoisz!

– Widzisz, mówiłam, że ten dzień nadejdzie!

Bożenka była przestraszona.

– Czytałam książkę, ale jakaś wstrętna mucha strasznie mi przeszkadzała. Najbardziej, gdy tłukła się o okno. Podjechałam wózkiem i potrząsałam firanką, żeby poleciała, ale ona tylko przeskakiwała z miejsca na miejsce. W pewnej chwili była tak nisko, że pomyślałam, że ją złapię. Wychyliłam się, ciągle mi trochę brakowało, i jakoś tak niespodziewanie się podniosłam. Mucha uciekła...

Marta zaśmiała się z ulgą. Największy akcent dziewczyna położyła na to, że nie udało jej się złapać muchy.

– Ale potem nie wiedziałam, co robić. Bałam się usiąść na wózek, bo nie jest zablokowany. Jeśli odjechałby do tyłu, upadłabym na podłogę.

– Długo tak stoisz?

– Nie wiem. Ale było wtedy jeszcze całkiem jasno. I trochę zmarzłam. – Na twarzy Bożenki zagościł uśmiech. Pierwszy, niewymuszony od bardzo dawna.

Zdaniem Zbyszka to, co wydarzyło się tego wieczoru, było kolejnym krokiem milowym w rehabilitacji. Bożenka po raz pierwszy, pewnie nieświadomie, dała sygnał swojemu ciału, że jest zdolne do ruchu. Nie negowała możliwości. Po prostu wstała impulsywnie, tak jakby to była dla niej najnaturalniejsza rzecz pod słońcem. Czasem warto pozwoić ciału działać, wyłączając świadomość. Nasz mózg wciąż pracuje, nawet gdy wydaje nam się, że jest uspiiony. Ale najważniejsze stało się to, co zaszło w psychice Bożenki: narodziła się nadzieja, że nie wszystko stracone. Nie mogła doczekać się kolejnego dnia i rehabilitacji.

– Zbyszku! – zawołała, kiedy tylko pojawił się w drzwiach. – Dziś pracujemy dłużej niż zwykle. Będę się przykładać do ćwiczeń!

Zmiana w jej nastawieniu była zauważalna dla wszystkich. Pojawił się zapał, który jednak trzeba było ostudzić, by nie załamała się zbyt wolnymi postępami.

– Medycznie nie ma przeszkód, żebyś odzyskała sprawność, ale to nie stanie się z dnia na dzień. Przed nami wciąż dużo pracy.

– Myślisz, że za dwa tygodnie będę chodzić?

– Bożenko... – Zbyszek nie wiedział, jak powiedzieć jej, że to może trwać długie

miesiące. Tak krótki termin był po prostu nierealny. Rozejrzał się bezradnie w poszukiwaniu pomocy. Cecylia, która nieopodal udawała, że czyta książkę, a w rzeczywistości przysłuchiwała się rozmowie i obserwowała mężczyznę, podchwyciła jego spojrzenie. Wydawał się zakłopotany. Uśmiechnęła się do niego i podeszła bliżej.

– Jesteś w gorącej wodzie kąpana. Jak za dawnych czasów! Co nagle, to po diable. Pamiętasz naszą wyprawę do Płazy? Bez przygotowania pedałowaliśmy taki kawał na rowerach, a ja potem cierpiałam przez kilka dni na bóle wszystkich mięśni. Musisz się przygotować do chodzenia, pobudzić wszystkie mięśnie, rozruszać stawy, złapać równowagę. Mam rację, Zbyszku? Gdybyś zaczęła chodzić za dwa tygodnie, mogłabyś łatwo się przewrócić. Powolutku dojdiesz do tego, żeby bezpiecznie się poruszać. Tyle czasu, ile będzie trzeba. Gdzie się tak spieszysz, co?

Wiedziała, że przyjaciółce chodzi o zbliżające się urodziny. Ale nie mogła wprost powiedzieć, że to nierealne, żeby w tak krótkim czasie porzuciła wózek. Wiedziała to, bo wprost zapytała Zbyszka, jak długo może powracać sprawność.

Bożenka zdawała się rozumieć słowa koleżanki. Pokiwała głową na zgodę, ponaglała fizjoterapeutę, żeby już nie gadali, tylko wzięli się do pracy. Cecylia poszła do kuchni, by pomóc Marcie w przygotowaniu obiadu.

Tego dnia Zbyszek został w Marcicach na noc, a nazajutrz rano planował zabrać obie dziewczyny samochodem do Łodzi na basen. Bożenka wreszcie zgodziła się spróbować tej formy rehabilitacji. Od kiedy stanęła, brała pod uwagę każdy rodzaj ćwiczeń, byle tylko zobaczyć postęp.

Po sytym wspólnym obiedzie mężczyzna zapytał Cecylię, czy pokaże mu, gdzie rosną dęby, bo chciałby nazbierać żołędzi dla zwierząt w łódzkim zoo. Pracował tam jego przyjaciel, który zawsze prosił, by przywozić zwierzątkom przysmaki.

Chętnie przystała na propozycję, ale speszona zapytała o pozwolenie Martę.

– Kochanie, nie musisz pytać mnie o zgodę. Idźcie. Weźcie koszyki na grzyby. Łatwiej będzie do nich zbierać.

Poszli więc drogą wzdłuż wsi w kierunku leśniczówki. Rosło tam kilka okazałych dębów. Mieli nadzieję, że żyjące w pobliskich lasach dziki nie wyjadły wszystkich owoców i będzie jeszcze co zbierać. Początkowo milczeli skrępowani, bo nagle zabrakło im tematu do rozmowy. Pierwszy raz byli naprawdę sam na sam. Dla Cecylii w ogóle był to pierwszy raz, kiedy poszła z chłopcem na spacer.

– Jak jest w zoo? – zapytała nagle, patrząc przed siebie na drogę.

– Jak to „jak jest”? Nie byłaś nigdy?

– Nie. W Chrzanowie nie ma zoo, a dalej nigdy nie jeździłam. Właściwie to byłam kiedyś z mamą w Rabce, a teraz po wielu latach opuściłam swoje miasto, kiedy tata przywiózł mnie do Marcic. To wszystko.

Zbyszka korciło, by zapytać, dlaczego tak się działo, ale w porę przypomniał sobie, co sprowadziło Cecylię na wieś. Teraz trudno było mu uwierzyć, że ta sympatyczna i wesoła dziewczyna była kiedyś załknionym dzieckiem. Może brakowało jej przebojowości, była skromna i opanowana. Akurat te cechy bardzo mu się podobały. Nie lubił krzykliwych dziewczyn, które całą sobą próbują zawłaszczać przestrzeń i uwagę innych. Cecylia była inna, a przy tym... czarująca. Tak właśnie ją odbierał. Dlatego zaproponował wspólny spacer.

– Najlepiej będzie, gdy sama się przekonasz, jak jest w zoo. Tak się składa, że w Łodzi jest piękny ogród zoologiczny i możemy go odwiedzić w drodze na basen.

– Naprawdę? Byłoby świetnie! Często tam chodzisz?

– Nie tak często, jak bym chciał. Za dużo pracuję. Ale kiedy tylko mam wolną chwilę, to

jadę, żeby pospacerować i przyjrzeć się zwierzętom. Od nich można się dużo nauczyć.

– Fajnie...

– No i oczywiście dokarmiam niektóre. – Wskazał na pusty koszyk. – Lepiej bierzmy się do roboty, żeby moi podopieczni nie byli głodni.

Zaśmiali się. Pod rozłożystym dębem leżało sporo żołądzy, więc od razu zabrali się do zbierania.

Rozdział 27

Pomysł z basenem okazał się strzałem w dziesiątkę. Początkowo nieprzekonana Bożenka wróciła z Łodzi pełna entuzjazmu. Przy obiedzie nie mogła przestać opowiadać:

– Mówię ci, Marta, to było genialne uczucie. Przez moment nawet zapomniałam, że mam niesprawne nogi. Przepłynęłam basen trzy razy, choć Zbyszek mówił, że pierwszy raz to tylko się pomoczę w płytkiej wodzie. Ale gdy zjechałam podnośnikiem i poczułam wodę, od razu przypomniałam sobie, że uwielbiam pływać. Kazali mi włożyć kamizelkę, żebym się nie utopiła, ale chyba nie była mi potrzebna. Dałabym sobie radę bez niej.

– Nie wiedziałam, że jesteś tak dobrą pływaczką.

– Kiedyś zajęłam pierwsze miejsce w zawodach szkolnych. Teraz nie mam formy, ale przecież tego się nie zapomina.

– Jaki styl lubisz?

– Kraul. Zwłaszcza teraz, kiedy nogi mnie nie słuchają, to najwygodniej pływać kraulem.

– Ja ledwo daję radę żabką.

– Musimy pojechać kiedyś razem. Ale będzie fajnie!

– Nie wiem, czy to się uda, żebyśmy wszyscy się wybrali, ale ty na pewno będziesz jeździć regularnie, skoro tak ci się spodobało. A tobie? – Marta zwróciła się do Cecylii, która do tej pory siedziała cicho.

– Fajnie było.

– Trzęsa się z zimna jak osika. Nie chciała pływać.

– Bo nie umiem.

– Oj, nie umiem, nie umiem... Miałaś deski i makarony. One utrzymują na wodzie. Dałabys radę.

– Może następnym razem spróbuję.

– Powiem Zbyszkowi, żeby nauczył cię pływać. – Bożenka wypowiedziała te słowa takim tonem, że Cecylia spłonęła rumieńcem i spuściła głowę. – Dziś cały czas kręcił się koło mnie, jakby się bał, że się utopię. A ja przecież dam sobie radę sama. Następnym razem niech tobie poświęci czas.

– Ale przecież to ty jesteś jego pacjentką, nie ja. Nie ma powodu, żeby mnie uczył czegokolwiek.

– A co, nie chciałabyś? – Bożenka była w doskonałym humorze. Nie zauważyła, że wprawia przyjaciółkę w coraz większe zakłopotanie.

Na szczęście Marta to spostrzegła.

– Koniec pogaduszek. Zjadajcie zupę, bo już jest całkiem zimna. Porozmawiam ze Zbyszkim. Może zna jakiegoś instruktora, który mógłby nauczyć Cecylię pływać.

Do końca obiadu dziewczyny już się nie odzywały. Kiedy chciały odejść od stołu, Marta przypomniała sobie jednak o czymś, o co wcześniej nie spytała.

– Zaraz, a byliście w tym zoo?

– Tak. Przed basenem.

– No to opowiedz coś, Cecylio.

– Było pięknie. Tyle zwierząt widziałam pierwszy raz w życiu. Ty wiesz, że tam są

prawdziwe żyrafy? Nie wiedziałam, że mamy je w Polsce. Wszystko tam było.

– Latała od zagrody do zagrody i piszczała z radości. Szkoda, że nie widziałas, jaka była podekscytowana. A Zbyszek robił jej zdjęcia.

– Jak to? – Cecylia spojrzała na koleżankę zaskoczona. – Nie robił mi żadnych zdjęć.

– Kilka pstryknął. Telefonem. Pewnie teraz je ogląda.

– Bożena, daj spokój. Dobrze, że zrobił, bo dzięki temu Cecylia będzie miała pamiętkę. Może wyśle tacie. – Marta widziała coraz większe zakłopotanie nastolatki, która oglądała swoje paznokcie i niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę. – Cecylia, wyjmij, proszę, z torby wasze mokre rzeczy. A najlepiej od razu rozwieś je w łazience.

Kiedy tylko dziewczyna wyszła, Góralska postanowiła rozmówić się z Bożenką.

– Dlaczego jej dokuczasz? Przecież widzisz, że to przeżywa.

– Oj, nie dokuczam. Po prostu śmiesz mnie to, jakie robią do siebie podchody, ale każde udaje, że nie wie, o co chodzi. Szykuje się romansik. Nie mów, że tego nie widzisz.

– Nawet jeśli Cecylia i Zbyszek mają się ku sobie, to nie nasza sprawa. Nie wiem, czy Cecylia jest gotowa na związek, zwłaszcza ze starszym od siebie mężczyzną, ale nie zamierzam w to ingerować. Ufam, że Zbyszek wie, co robi. To mądry chłopak. A ciebie proszę: nie wprawiaj jej w zakłopotanie.

– Dobra, już dobra. Znowu nie jest taki stary, skoro dwa lata temu skończył studia. Mówię ci, że za kilka tygodni coś się wydarzy.

– Wolałabym, żeby nie tak szybko... – westchnęła Marta, zbierając naczynia, które następnie włożyła do zlewu.

Mimo deklaracji, że nie będzie wchodzić w drogę mającym się ku sobie młodym, poprosiła Joannę, żeby przyjeżdżała na sesję z Cecylią w tym samym czasie, kiedy Zbyszek rehabilitował Bożenkę, tłumacząc to organizacją czasu dziewczyn. Kiedy fizjoterapeuta zabierał pacjentkę na basen, Cecylia miała zajęcia i nie mogła z nimi jeździć. Nie chodziło o to, żeby nie dopuścić do wzajemnych relacji, ale by dać im trochę dystansu, który znacznie się ostatnio skrócił. Zresztą czas niezakłóconej rehabilitacji przynosił efekty. Bożence udało się kilka razy poruszyć palcem u nogi, lekko ją przesunąć, wstać. Robiła duże postępy, a w tym z pewnością pomogły jej także zajęcia w wodzie. Były to tygodnie ciężkiej pracy nagrodzonej efektami.

Kiedy zbliżały się urodziny Cecylii, Bożenka namówiła Martę, żeby zorganizowała imprezę. Być może infantylną, ale z tego, co wiedziała, jej koleżanka nigdy takiej nie miała. Gdy nadszedł ten dzień, solenizantka pojechała z Janem i Kornelią na jarmark do Rugowa. Tymczasem Marta przystroiła pokój serpentynami i balonami, które sumiennie nadmuchiwała Bożenka. Gospodyni przygotowała też pyszny tort śmietanowo-bezowy, ulubiony przysmak Cecylii, i różne przekąski. Kupiła nawet papierowe czapeczki oraz serwetki z urodzinowym motywem.

– Ilu osób się spodziewamy? – zapytała Bożenka.

– Sama policz.

– My dwie, ty i Jan, Kornelka, Joanna i Zbyszek oraz tata Cecylii. Za dużo jedzenia. Przecież w ósemkę nie damy rady!

Na stole zaczęły się pojawiać kolorowe tartinki, koreczki, babeczki, talerz wędlin i serów, owoce, słone przekąski i trzy miski kolorowych sałatek. Marta wzruszyła ramionami. Wkrótce miało się okazać, czy aby na pewno przesadziła z ilością.

– Oho, już ktoś jedzie! – Z oddali dobiegał odgłos samochodu. Bożenka wyjrzała przez okno i rozpoznała pojazdy. – O, jest tata Cecylii i Zbyszek. Podjechali równocześnie. – Odsunęła się od okna, by powitać gości w progu. – Może zadzwoń do Jana, żeby już wracali. Goście są!

Długo nikt do domu nie wchodził. Na zewnątrz było zimno, więc Bożenka nie zamierzała

wychylać się z pokoju, choć trochę dziwiło ją to, że tata Cecylii jeszcze nie wszedł. Pomyślała, że pewnie rozmawia na zewnątrz ze Zbyszkim.

Nagle usłyszała dziecięce głosy. Jednak nie była to Kornelia. Dziewczyna już chciała zapytać o to Martę, kiedy drzwi się otworzyły, a zza progu wyjrzała rozczochrana główka chłopca.

– Bartuś?! Jezu! Skąd ty tu... – Bożenka spojrzała z niedowierzaniem na Martę, a potem na szerzej otwierające się drzwi. Po kolei wchodziła cała jej rodzina. Za najmłodszym braciszkiem wśliznęły się kolejno Julka, Madzia, mama, Jurek i Zuzia. Potem tata, a na końcu babcia Dusia podparta na ramieniu ojca Cecylii.

Bożenka zaniemówiła. Witła się po kolei ze wszystkimi, jednocześnie walcząc ze łzami, które napływały jej do oczu. Po raz ostatni widziała ich wszystkich kilka miesięcy temu. Mimo że wiele razy mówiła, iż nie chce odwiedzin, teraz, gdy ich ujrzała, jej serce ścisnęło się ze wzruszenia. Tak bardzo za nimi tęskniła! Tak bardzo jej ich brakowało! Zawsze byli blisko, a przez ostatnie miesiące starała się zdystansować, chyba podświadomie bojąc się, że nie zaakceptują jej kalectwa.

Zuzia usiadła na kolanach siostry i wtuliła się w nią całą sobą. Mama pogłaskała najstarszą córkę po twarzy, ukradkiem ocierając łzę z własnego policzka. Wszyscy trwali w milczeniu, bo słowa w tej chwili nie były potrzebne. Nie wiadomo, czy upłynęło pięć minut, czy dwadzieścia, gdy ciszę przerwał warkot kolejnego samochodu. Tym razem to Jan wrócił z jarmarku. Po drodze zgarnął też Joannę, która przyjechała do Rugowa pociągiem, a potem czekała na Góralskiego w umówionym miejscu, by zabrał ją na wieś.

Cecylia spostrzegła na podjeździe samochody ojca i Zbyszka. Zorientowała się, że przyjechali z okazji jej urodzin. Domyślała się, że pewnie Marta przygotowuje kolację urodzinową, ale zakładała raczej, że będzie to skromne przyjęcie w domowym gronie. Z tatą rozmawiała rano przez telefon. Nie zdradził zamiaru przyjazdu, a jedynie złożył życzenia. Sama niespecjalnie przywiązywała wagę do tej uroczystości. Był to wprawdzie dzień, w którym wchodziła w dorosłość, ale nie przewidywała, by miało to cokolwiek zmienić poza otrzymaniem dowodu osobistego. Bożenka obchodziła osiemnaste urodziny kilka tygodni wcześniej.

Dziewczyna pomogła Janowi wnieść pakunki do domu. Już od progu usłyszała gwar radosnych rozmów, co ją zaintrygowało. W pokoju zastała niecodzienny widok. Na środku siedziała Bożenka, tuląc do siebie jakąś dziewczynkę. Tuż obok na podłodze rozrabiało kilkoro dzieci. Przy stole siedzieli dorośli, wśród których rozpoznała jedynie swojego tatę i babcię koleżanki. Pokój był pięknie wystrojony: falowały balony, serpentyny i napis „Wszystkiego najlepszego!”. Cecylia przytuliła się do Marty. Wtedy zagadane towarzystwo zorientowało się, że jubilatka pojawiła się w domu i wszyscy wstali, by zaśpiewać gromkie *Sto lat!* i bić brawo. Cecylia, nieco speszona, objęła przyjaciółkę.

– To nasze wspólne urodziny! – Cieszyła się jak dziecko.

Obie z trudem powstrzymywały łzy. Czuły się bardzo szczęśliwe. Wokół nich zebrali się najbliżsi. Poza nimi właściwie nie miały nikogo, więc w tym jednym pokoju w maleńkiej wsi w centralnej Polsce skoncentrowało się całe ich życie. Świadomość tego ogromnie je wzruszyła. Mała Kornelia wyczuła wyjątkowość chwili i przytuliła nastolatki – obie naraz.

– Kocham was! – wyznała, czym wywołała łzy na policzku Cecylii.

Jeszcze do niedawna zalękniona nastolatka była taka samotna. Jej świat kręcił się wokół rodziców, nauki i Bożenki, której nie mogła widywać. Teraz zyskała ogromną rodzinę. Tragiczny splot wydarzeń połączył losy Krzeczpińskich, Nowaków i Góralskich, ludzi tak różnych od siebie, a jednak potrafiących znaleźć wspólny język.

Cecylia pomyślała o matce. Jak ona czułaby się w tym towarzystwie? Czy potrafiłaby

usiąść przy jednym stole z rodzicami Bożenki? Czy w ogóle przyjechałaby na wieś, której tak szczerze nienawidziła? Co musiałoby się stać, żeby zaakceptowała niezależność córki i pozwoliła jej żyć własnym życiem? Wiedziała, że na te pytania nie znajdzie już odpowiedzi. Właściwie uświadomiła sobie w jednej chwili, że nie potrzebuje tego wiedzieć. Mama odeszła. Ta myśl jednocześnie sprawiała ból i ulgę. Nastolatka przez moment próbowała bojkotować to uczucie, bo przecież nie powinna tak czuć po śmierci własnej mamy. Joanna nauczyła ją wsłuchiwać się w emocje, w swoje ciało i potrzeby, nie negować ich, tylko je akceptować. Kiedy więc goście doskonale bawili się na urodzinach Cecylii, ona myślała o matce i przypominała sobie, jak rodzicielka wielokrotnie negatywnie reagowała na Bożenkę i jak zachowywała się w ważnych dla córki sytuacjach. Doszła do wniosku, że gdyby tu była, prawdopodobnie zepsułaby imprezę. Jedynie świadomość, że matka odeszła na zawsze, powodowała smutek. Cecylia miała ogromną nadzieję, że Wanda jest szczęśliwa tam, gdzie jest, że nie cierpi.

Z rozmyślań nagle wyrwał ją głos Marty.

– Cecylia? Wszystko w porządku? Posmutniałaś tak nagle, a ja chciałam wnieść torty. Zaraz będziecie dmuchać świecek, więc zastanówcie się nad życzeniami.

– Tak, tak, wszystko okej. Zamyśliłam się tylko.

W drzwiach pokoju pojawił się Zbyszek, który niósł tort z jej imieniem. Zaraz za nim stanęła Joanna z tortem Bożenki. Oba ciasta miały po osiemnaście zapalonych świecek.

– Drogie panie, przygotujcie się, bo trzeba to zdmuchnąć za jednym razem – ostrzegł Jan.

– Chodź, Kornelka, podniosę cię, żebyś dobrze widziała.

– Gotowe? Życzenia są? No to trzy, czte-ry!

Zdmuchnęły za pierwszym razem wszystkie trzydzieści sześć świecek. Ich życzenia muszą się spełnić! Towarzystwo na nowo odśpiewało *Sto lat!* na cześć obu dziewczyn, a potem każdy wyczałował solenizantki, składając życzenia indywidualne. Atmosfera była cudowna.

– Nigdy nie miałam piękniejszych urodzin. – Głos Cecylii łamał się ze wzruszenia.

– Dziękuję, że przyjechaliście tu wszyscy.

– Ja też... – Bożenka spojrzała na Martę i Jana. – Dziękuję wam, kochani, za te urodziny i za to, że o mnie pomyśleliście, chociaż wcale nie chciałam obchodzić osiemnastki. Wiedzieliście lepiej ode mnie, czego mnie i Cecylii potrzeba. Obiecuję, że będę was słuchać, bo pewnie w wielu sprawach macie rację!

Wśród wzajemnych życzeń tylko babcia Dusia sprawiała wrażenie nieobecnej.

– Dobrze się czujesz, babuniu? – zagadnęła wnuczka.

– Tak, Halinko, dobrze.

– To ja, Bożenka. Halinka to mama.

– A no tak, tak...

– Babcia czasem myli imiona – włączyła się mama dziewczyny.

– Ale jak to? Od kiedy?

– No, od jakiegoś czasu. Stara jest, to zapomina. Nie martw się.

– Byliście u lekarza?

– Karol kiedyś był. Jakieś tabletki dostała na pamięć, tylko czasem zapomina je brać.

Mówił, że to starość i że jak całkiem będzie wszystko mieszać, to żeby jej podpisać ubranie, na wypadek gdyby się zgubiła.

– Czy to alzheimer? – zapytała przysłuchująca się tej rozmowie Joanna.

– No jakoś tak. Jeszcze nie jest źle, ale może się pogorszyć.

Rozdział 28

Nazajutrz po imprezie pozostały tylko balony, których dziewczyny nie chciały zdejmować, by jak najdłużej przypominały o miłym wydarzeniu. Cały pokój był już

wysprzątany, serpentyny zdjęte, uprzątnięte zabawki, zniknęły też naczynia po sokach i przekąskach.

– Fajnie było wczoraj, co? – Cecylia od dawna nie spała, ale odezwała się dopiero, gdy zobaczyła, że przyjaciółka przewraca się na swoim łóżku.

– Bardzo się wzruszyłam. Wciąż nie mogę uwierzyć, że oni wszyscy tu przyjechali. Mama mówiła, że niedługo wprowadzą się do twojego mieszkania. Spędzą tam święta. Wiesz, chciałabym być wtedy z nimi.

– No to pojedź.

– Myślisz, że dam radę? Przecież tam nie ma windy.

– Tata mówił, że załatwi specjalny podjazd dla wózków. A poza tym niedługo będziesz chodzić i nie będzie problemu.

– Wiesz, wczoraj bałam się wstać, choć bardzo chciałam im pokazać, że już to potrafię. Pomyślałam, że nie dam rady i tylko niepotrzebnie zrobię im nadzieję.

– Do świąt zostało jeszcze kilka tygodni, więc może się uda. Ćwicz, pływaj, a na pewno zrobisz postępy.

Bożenka uśmiechnęła się do koleżanki. Na nią zawsze mogła liczyć.

– Wstawajmy już. Zaraz przyjdzie nauczycielka i pewnie nas odpyta z biologii i chemii.

Samodzielną naukę rozpoczęły dwa miesiące wcześniej. Planowały eksternistycznie zaliczyć trzecią klasę i podejść w maju do matury. W przygotowaniach pomagali im dochodzący raz w tygodniu nauczyciele, którzy sprawdzali, czy przyswoiły materiał, i zadawali kolejną partię. Jakoś to funkcjonowało, choć uczennice, rozleniwione kilkumiesięczną przerwą, miały problem z systematyczną pracą.

– Bożenka, a co z twoją babcią? Zmieniła się ostatnio.

– Wygląda na to, że jest chora. Zapomina o wielu sprawach i nie pomaga już mamie tak, jak przedtem. Kiedyś zapomniała odebrać Zuzię z jakichś zajęć i dopiero jak zadzwonili, że chcą zamykać, to babcia uświadomiła sobie, że miała po nią iść. Teraz to ona wymaga opieki. Powinnam tam być z nimi.

– Wiem, że się martwisz, ale na razie chyba sobie radzą. Dzieci są coraz większe i wyręczają dorosłych. A ty jeszcze potrzebujesz pomocy. Przecież Zbyszek nie będzie jeździł do Chrzanowa. No, chyba że chciałabyś mieć tam innego rehabilitanta?

– Nie... Ale dla babci muszę szybko stanąć na nogi.

– Wtedy pojedziemy do domu razem – zdecydowała Cecylia. – Pójdiesz ze mną na cmentarz? – zapytała po chwili.

– Chcesz odwiedzić mamę?

– Raz chcę, raz nie. Nie byłam tam jeszcze. Na myśl o tym cierpnie mi skóra, ale czuję, że powinnam.

– No to jesteśmy umówione.

Rozmowę przerwała im Marta, która zawołała je na śniadanie, bo zrobiło się bardzo późno.

Rozdział 29

Czas Bożego Narodzenia był w Marcicach magiczny. Wprawdzie brakowało przy wigilijnym stole Bożenki, bo zrealizowała swój plan i pojechała do rodziny, ale Cecylia i tak czuła się szczęśliwa. Jej ojciec przyjął zaproszenie od Góralskich i w piątkę celebrowali narodziny Dzieciątka. W kąciku jadalni stała duża pachnąca jodła przystrojona ręcznie robionymi ozdobami. Wszystkie domownicy, z Kornelią na czele, spędziły kilka dni na przygotowaniach. Cecylia, nieświadoma swojego talentu, wyczarowała szereg przepięknych bombek i gwiazdek. Kornelka wraz z Bożenką lepiły kolorowy łańcuch, a Marta piekła i ozdabiała pierniczki.

Zanim jednak wszyscy zasiedli do stołu, wyszli przed dom w poszukiwaniu pierwszej gwiazdki. Nagle Kornelia krzyknęła:

– Widziałam! Widziałam!

– Gdzie?

– Tam! – Wskazała rączką w kierunku, gdzie nie było widać żadnego światełka.

– Spadła... – Mała buzia wykrzywiła się w podkówkę. – Czy to znaczy, że nie będzie świąt, bo nie ma gwiazdki?

– Nie, kochanie, zaraz zasiądziemy do stołu. Patrz, jest! – Cecylia wskazała punkt, który właśnie wyłonił się zza chmur.

Uspokojone dziecko radośnie wróciło do ciepłego domu.

Na wigilijnym stole, zgodnie z regionalną tradycją, pojawiło się jedenaście potraw. Wprawdzie w Chrzanowie stawiano dwanaście na cześć dwunastu apostołów, ale ostatecznie zwyciężyła wersja kultywowana przez babcię Marty. Miało być nieparzyście. Gospodyni przygotowała istną mieszankę kuchni różnych regionów, bo oprócz marcickich i chrzanowskich zwyczajów Jan wniósł do rodzinnej tradycji zakopiański wkład. Dzięki temu każdy mógł spróbować czegoś, czego nigdy dotąd nie jadł. Na stole znalazły się aż trzy zupy: rybna z karpia, grzybowa z łazankami i barszcz czerwony z uszkami. Następnie podano groch z kapustą i ziemniakami, karpia smażonego i w galarecie, kompot z suszu, moskole, a na koniec kutię, która nie wiadomo skąd znana była wszystkim, choć nie należała do regionalnych tradycji ani w centralnej, ani w południowej Polsce. Objedli się niesamowicie.

– Nie ruszę się przez trzy dni – narzekał Marian.

– Na szczęście nie musisz. Przed nami dwa dni świąt i weekend.

Jan nalał wina do trzech kieliszków. Podał alkohol żonie i przyjacielowi. Zawahał się, czy nie powinien zaproponować też lampki wytrawnego trunku Cecylii. W końcu była już dorosła. Uznał jednak, że nie ma takiej potrzeby, zwłaszcza że sama nie wydawała się szczególnie zainteresowana.

– A może pojechałabyś ze mną po świątach do domu? Urządziłem ci pokój. Mam nadzieję, że ci się spodoba – zagadnął ojciec.

– Ale tak na chwilę?

– No, myślałem, że może w ogóle już wróciłabyś do Chrzanowa.

– Nie mogę. Tatusiu, ja muszę tu zostać z Bożenką, bo ona mnie potrzebuje. Wiesz, dopóki nie odzyska sprawności, muszę jej pomagać. Pozwól mi tu jeszcze być. – Dziewczyna niepewnie spoglądała to na Martę, to na Jana, jakby obawiała się, że za ich namową ojciec chce ją zabrać z Marcic.

– Jeśli o nas chodzi, to możesz u nas mieszkać, ile chcesz – odezwała się opiekunka.

– Ale w końcu pewnie lepiej wrócić do swojego miasta. Nie uważasz?

– Kiedyś... może. Jeśli wam tu przeszkadzam, to powiedzcie.

– Ależ nie przeszkadzasz! Jesteśmy jak rodzina i możesz zostać tak długo, jak chcesz.

– Może chcielibyście, żeby ktoś inny przyjechał? Kiedy my zajmujemy największy pokój, nie ma zbyt wiele miejsca na nowych gości.

– Jeśli znajdzie się ktoś, kto będzie wymagał naszej pomocy, to będziemy się zastanawiać. Na razie wy jesteście z nami, więc w ogóle o tym nie myśl.

Świąteczny czas minął szybko. Bożenka wróciła do Marcic tuż po Nowym Roku. Pomimo że nie było z nią Zbyszka, nie próżnowała. Codziennie ćwiczyła przy drabinie. Jej nogi zdawały się rozumieć, czego się od nich oczekuje, i współpracowały. Potrafiła wykonywać powolne ruchy. Stawała i siadała samodzielnie. Do pierwszych kroków było jeszcze daleko, ale rehabilitant obiecał jej, że w styczniu przywiezie balkonik i rozpoczną naukę chodzenia. Będzie

próbowała stawiać pierwsze kroki, asekurując się podparciem.

Dotrzymał obietnicy i już na pierwszą wizytę w Marcicach przywiózł sprzęt.

– Za miesiąc będziesz mi tu śmigać po pokoju.

– Jasne. Moja osiemdziesięcioletnia babcia nie chodzi z takim gadżetem, ale ja będę.

Może włosy sobie przefarbuję na siwe, co?

– Załatwić ci sztuczną szczękę? – przekomarzali się podczas ćwiczeń.

Dziewczyny postawiły sobie cele do zrealizowania w nowym roku: rehabilitacja Bożenki, powrót Cecylii do Chrzanowa i uporanie się z demonami przeszłości na miejscu, nauka i matura obu. To były najważniejsze plany. Pod koniec marca okazało się jednak, że nikt nie dopilnował, by złożyły deklaracje maturalne, które powinny wysłać w lutym. Pomimo próśb Marty nie udało się nic zmienić i stało się jasne, że nawet jeśli ukończą liceum z wynikiem bardzo dobrym, nie będą mogły w tym roku przystąpić do egzaminu maturalnego. Fakt ten mocno je zasmucił, ale w końcu uznali, że widocznie tak miało być.

W maju Bożenka znów pojechała do Chrzanowa, tym razem na pierwszą komunię brata. Choć namawiała Cecylię, by wybrała się razem z nią, ta wzbraniała się długo. Ostatecznie postanowiła pomówić o tym z Joanną, która zaglądała do Marcic już tylko sporadycznie, głównie na zaproszenie, nie w ramach regularnych spotkań terapeutycznych.

– Myślałam, że wypracowałam dystans do dawnych spraw, a jednak na myśl o przyjeździe do Chrzanowa ciarki przechodzą mi po plecach.

– Twoja wyobraźnia podsuwa ci lęki. Musisz odczarować to miejsce, bo na razie kojarzy ci się tylko źle.

– Czyli mimo obaw mam tam pojechać? I na cmentarz też?

– A co czujesz na myśl, że odwiedzisz grób mamy?

– Że ona mnie będzie oceniać.

– Jeśli przyjmiemy, że twoja mama jest gdzieś tam – wskazała ręką na niebo – i ocenia cię, to robi to przez cały czas, a jednak tutaj cię to nie martwi. Na cmentarzu nic się dla ciebie nie zmieni. Tylko świadomość, że tam złożono jej ciało, może dostarczyć ci więcej wzruszenia. Nie pobudzaj swojej wyobraźni. Po prostu staw czoła temu lękowi.

Cecylia obiecała sobie, że zbierze odwagę i pojedzie na grób matki, ale potrzebowała pomocy innych. Któregoś wrześniowego dnia zapytała Zbyszka, czy mógłby zawieźć ją do Chrzanowa. Mężczyzna przystał z ochotą na tę propozycję.

– Sprawdzę grafik i ustalimy dzień, kiedy nie będę miał pacjentów. Sami jedziemy czy z Bożenką?

– Oczywiście z nią.

Kilka dni później dziewczyna zaczęła chodzić. Najpierw z balkonikiem, kroczonek za kroczonek, a gdy poczuła się pewniej, poprosiła o kule. Dłuższe dystanse oczywiście męczyły ją bardzo, gdyż utrzymanie prawidłowej postawy ciała i koncentracja na tym, by nie stracić równowagi, dodatkowo ją obciążały. Od wypadku upłynął ponad rok ciężkiej pracy i wielu niewiadomych, żalu, porażki, nadziei i sukcesu, wiary, że kiedyś odrzuci także kule i będzie żyć jak przed wypadkiem. Bożenka miała wiele szczęścia, że jej uraz nie spowodował trwałego kalectwa.

Rozdział 30

– Jaki piękny nagrobek! – Bożenka zachwyciła się, widząc okazałą mogiłę, w której pochowano matkę i dziadków Cecylii. Tylko w starej części cmentarza można było spotkać tak wielkie grobowce. Obecnie dominowały pojedyncze nagrobki albo nawet miniaturowe miejsca na coraz bardziej popularne urny z prochami zmarłych. Grobowiec Wiekuckich znajdował się niedaleko kaplicy Loewenfeldów, usytuowanej wśród nagrobków innych znamienitych

chrzanowskich rodzin.

Cecylia zapaliła znicze, które przyniosły. Musiała czymś zająć ręce, bo drżały jej niebezpiecznie. Choć od dawna planowały tę wyprawę i zdążyła oswoić się z myślą, że odwiedzi grób matki, rzeczywistość była surowa. Dotychczas tylko wyobrażała sobie, jak może wyglądać napis z imieniem i nazwiskiem Wandy na znanym jej nagrobku dziadków. Nawet wcześniej rzadko tu bywała. Rodzice nie zabierali jej na cmentarz, zdając sobie sprawę, że to miejsce może niepotrzebnie ją zasmucać. Była tu ledwie kilka razy: na pogrzebach dziadków i przy okazji Wszystkich Świętych.

Teraz koniecznie musiała rozliczyć się z przeszłością. Do jej rodzinnego miasta przyjechali we trójkę, ale podczas odwiedzin na cmentarzu Zbyszek postanowił zostać w samochodzie. Bożenka planowała mu towarzyszyć, bo wydawało jej się, że chwila, gdy Cecylia pierwszy raz odwiedzi grób swojej matki po ponad roku od jej śmierci, jest tak intymna, iż nikt inny nie powinien w niej uczestniczyć, ale przyjaciółka nie zgodziła się na to.

– Musisz tam ze mną pójść, proszę! Sama nie dam rady.

Bożenka westchnęła i zgodziła się towarzyszyć koleżance. Szły powoli alejkami, aż znalazły właściwe miejsce. Nowakówna podpierała się na kulach. Nadal były jej potrzebne. Zwłaszcza w nierównym terenie wołała mieć podparcie. Jej ciało nie odzyskało jeszcze wystarczającej zwinności.

Nie spodziewała się, że nagrobek należący do rodziny Cecylii to spora budowla. Przypominał kamienny domek z drzwiczkami zamykanymi na kłódkę. Od frontu znajdowała się tablica z wyrytymi napisami:

Ś.P.

Zofia Wiekucka z d. Kowalik

ur. 3.04.1930, zm. 16.02.1964

Leopold Wiekucki

ur. 4.03.1924, zm. 01.12.1970

Wanda Krzeczynska z d. Wiekucka

ur. 27.07.1952, zm. 18.06.2015

R.I.P.

– Kurczę, oni wszyscy zmarli tak młodo. Życie jest niesprawiedliwe... – westchnęła Bożenka, śledząc daty wyryte w kamieniu.

– Szkoda, że nie znałam dziadków. W domu jest stary album ze zdjęciami. Czasem przeglądałam go z mamą. Opowiadała mi o swoich rodzicach. O babci mówiła właściwie bardzo mało, bo pewnie sama niewiele pamiętała, ale o jej tacie słyszałam parę historii. Nawet mój ojciec go znał! Dziadek podobno był wielkim śpiewakiem, tak samo jak drugi – od strony taty. No i mój tata oczywiście. W tym samym chórze śpiewali. Słyszałaś ich kiedyś?

– Nie. Takie rzeczy mnie nie interesowały, ale pewnie babcia ich wszystkich znała. Muszę ją o to zapytać. – Bożenka notowała w pamięci imiona i nazwiska dziadków Cecylii. Nagle w głowie zaświtało jej jakieś skojarzenie, które równie szybko umknęło, co się pojawiło.

Nie mogła przypomnieć sobie, o co chodziło. Próbowwała więc prześledzić tok swojego myślenia.

– Leopold Wiekucki, Zofia Wiekucka z domu Kowalik... – powtarzała szeptem, by pobudzić pamięć. – Niesamowite! – krzyknęła nagle, uświadamiając sobie, co takiego wywarło na niej wrażenie. Wzbudziła tym okrzykiem lęk u Cecylii, która aż podskoczyła z przerażenia.

– O Boże, ale mnie przestraszyłaś! Co się stało?

– Jeszcze nie jestem pewna, ale muszę coś sprawdzić. Dopytać. Może podjedziemy do babci?

– Nie wiem, czy będzie czas, bo Zbyszek musi być w Łodzi jeszcze dziś wieczorem. Właściwie to powinniśmy już wracać. – Cecylia szybko przeżegnała się i odmówiła w ekspresowym tempie modlitwę. Spędzili już dość dużo czasu na cmentarzu. Mężczyzna mógł zacząć się niepokoić. – Powiesz, o co chodzi?

– Najpierw muszę porozmawiać z babcią. Mam nadzieję, że będzie pamiętać to, o co chcę ją zapytać. Może zostałybyśmy w Chrzanowie do jutra? Twój tata na pewno się ucieszy, gdy go odwiedzisz. Ja z przyjemnością spędzę wieczór i noc ze swoją rodziną.

– A Zbyszek?

– Skoro musi, to niech wraca. Sam.

Cecylii nie spodobał się ten pomysł. Znajomy wyświadczył im przysługę, przywożąc je z Marcic. Nieładnie byłoby odprawiać go teraz z kwitkiem. Chciała z nim wracać, choć myśl, że spędzi z ojcem więcej czasu i zobaczy swój nowy dom, wydała się nagle ekscytująca. Wiedziała, że Bożenka nie powinna poruszać się bez opieki. Ciągle jeszcze zdarzały jej się potknięcia i upadki. Postanowiła, że porozmawia ze Zbyszkiem.

– Oczywiście, zostańcie, ile chcecie! Sam wrócę do Łodzi. – Mężczyzna nie widział problemu. Poglądził Cecylię po ramieniu, żeby się nie martwiła. Czuł, że dopadło ją poczucie winy. Chętnie zostałby w Chrzanowie, gdyby nie to, że zaplanował pilne spotkanie z profesorem. Nazajutrz umówiony był jeszcze na rehabilitację w szpitalu. – Porozwożę was teraz do domów, a jutro wieczorem wrócę i stąd zabiorę.

– Naprawdę? To świetnie! – Bożence odpowiadała taka sytuacja, choć zauważyła, że Cecylia ze sobą walczy. Pewnie miała ochotę powiedzieć, że nie ma potrzeby, żeby Zbyszek jeździł tam i z powrotem.

Wszyscy wiedzieli, że ci dwoje mają się ku sobie, ale w żaden sposób nie ingerowali w ich sprawy. To była miłość, która dojrzewała powoli. Pomimo że znali się od prawie roku, ich związek, o ile można było tak nazwać łączącą ich relację, opierał się przede wszystkim na przyjaźni, budowaniu wzajemnego zrozumienia i zaufania. Zbyszek długo wahał się, czy okazać dziewczynie zainteresowanie. Bał się, że mógłby nie sprostać jej oczekiwaniom, nadużyć zaufania lub po prostu skrzywdzić ją, czego nie chciał najbardziej na świecie.

Od pierwszych chwil spodobała mu się ta spokojna, zamknięta w sobie dziewczyna, która z czasem rozkwitła jak kwiat. Przez rok pobytu w Marcicach zmieniła się nie do poznania. Z przygarbionej, zalęknionej dziewczynki wyrosła atrakcyjna kobieta. Uszlachetniły się jej rysy, włosy nabrały złocistego koloru i objętości, a w oczach pojawiła się ciekawość świata. To było niesamowite, jak samo spojrzenie może zmienić człowieka. Kiedy w oczach odbija się lęk, smutek czy złość, uroda zdaje się chować pod emocjami, kiedy jednak oczy uśmiechają się i człowiek emanuje pogodą ducha, wydaje się piękniejszy niż kiedykolwiek. Początkowo mężczyzna był po prostu ciekaw tej dziewczyny. Nie patrzył na nią jak na kandydatkę na partnerkę. Po pierwsze była sporo młodsza, po drugie pojawiał się w Marcicach służbowo i choć Cecylia nie była jego pacjentką, to ją tak traktował. Fascynowała go więc pomiędzy przyjaciółkami. To było coś, czego sam nigdy nie zaznał. Nie był pewien, czy każdy jest w stanie taką relację nawiązać. Rozmawiał kiedyś o tym z siostrą.

– Wydaje mi się, że bez pomocy Cecylii Bożenka nie stanęłaby na nogi.
– Czemu tak myślisz?
– Wiesz, ćwiczenia, zabiegi... to wszystko jest ważne, ale bez pozytywnego myślenia ciężko wrócić do sprawności.

– To prawda. Bożenka dała z siebie wszystko.

– Im dłużej je obserwuję, tym bardziej jestem pewny, że gdyby była tu sama, nie podołałaby. Pamiętasz jej niechęć, kiedy po raz pierwszy przyjechaliśmy? Wtedy pomyślałem, że czeka mnie walka z wiatrakami. Za każdym razem gdy sprzeciwiała się temu, co proponowałem, pojawiała się Cecylia, która szybko przekonywała ją, że warto.

– A jak odbierasz moją pacjentkę? – Joanna badała temat ostrożnie, nie zdradzając, że wszyscy widzą rodzące się uczucie.

Zbyszek milczał przez chwilę. Układał w głowie słowa. Spojrzał na siostrę i – jak zawsze – postanowił powiedzieć jej wszystko, co leżało mu na sercu.

– Ma w sobie coś takiego... Przyciąga mnie jak magnes. Pierwszy raz to czuję. Zawsze gdy poznawałem ciekawą dziewczynę, to szybko zapraszałem ją na randkę i albo iskrzyło, albo nie. Bez dłuższej refleksji. Może dlatego te związki nie przetrwały. Teraz czuję się inaczej. Nie wiem, co mnie w niej fascynuje, ale budzi silne uczucia.

– Zakochałeś się, braciszku. – Joanna uśmiechnęła się i poczochnęła włosy mężczyzny, jakby był małym chłopcem.

Odsunął się nieco zmieszany.

– Sam nie wiem. Lubię z nią przebywać, chodzić na spacer, ale jestem wtedy taki spięty, jakbym miał kilkanaście lat. To nie jest dziewczyna, którą przypiera się do pierwszego lepszego drzewa i wsadza jej rękę pod bluzkę.

– Dobrze, że to wiesz.

– Czuję się za nią odpowiedzialny. To chyba dziwne, co?

– Oswoiłeś ją. Nie ma się czemu dziwić. *Tu es responsable pour toujours de ce que tu as apprivoisé*³ – zacytowała ulubionego autora.

³ Jesteś odpowiedzialny za to, co oswoiłeś (Antoine de Saint-Exupéry, *Mały Książę*).

– Nie chciałbym jej zranić. Nie zasługuje na to.

– Nikt nie zasługuje na zranienie. Ale też nie mamy na wszystko wpływu. Bądź uczciwy. Postępuj tak, żebyś nie miał wyrzutów sumienia. Dziś nie przewidzisz, jak się losy potoczą.

– Dzięki. Czasem fajnie się wygadać. Choć czuję się jak na kozetce – rzucił żartobliwym tonem, a Joanna dała mu kuksańca w bok.

– Rachunek zapłaci pan przy wyjściu – odgryzła się.

Rozdział 31

Cecylia i Bożenka nie uprzedziły swoich rodzin, że przyjadą do Chrzanowa. Chciały zrobić im niespodziankę.

Zbyszek podjechał jak najbliżej rynku. Niestety nie mógł zaparkować pod kamienicą, ale zatrzymał się na tyle blisko, by Bożenka swobodnie dotarła do domu. Kilka miesięcy wcześniej zainstalowano windę, więc nie musiała wspinać się na trzecie piętro po schodach. Cecylia odprowadziła koleżankę do bramy. Chciała upewnić się, że ktoś jest w domu i gdy odjadą, Bożenka nie zostanie sama na ulicy. Cieszyła się, że tata przeniósł ich do innego mieszkania, bo to miejsce przy rynku kojarzyło jej się wyłącznie z traumą z dzieciństwa. Gdy w odpowiedzi na dzwonek domofonu otworzyły się drzwi, poczuła znajomy zapach korytarza i jej ciałem wstrząsnął nieoczekiwany dreszcz.

– Idź już. Dam sobie radę. – Bożenka wyczytała z twarzy koleżanki lęk. Przyjazd wywołał zbyt dużo wspomnień. Tych nie najlepszych.

Cecylia pokiwała głową i odeszła od bramy. Zawiał zimny wiatr, więc opatulila się szczerze swetrem i przyspieszyła kroku. Zerknęła jeszcze na drugą stronę placu, gdzie rosło okazałe drzewo. Wiatr smagał jego gałęziami. Wróciło wspomnienie, ale pojawiła się też refleksja, że już tak bardzo się nie boi. Była teraz inną osobą, dużo silniejszą i bardziej świadomą tego, co się z nią dzieje, choć niespodziewane zetknięcie z przeszłością zrobiło na niej wrażenie. Wiedziała, że tylko stawiając czoła dawnemu życiu, zdoła utrzymać solidny dystans.

– To co? Teraz jedziemy do Kościelca czy masz inne plany? – Zbyszek był gotów zawieźć Cecylię, gdziekolwiek by miała ochotę.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła czternasta.

– Tata pewnie jest jeszcze w pracy. Będzie najwcześniej za godzinę, jeśli poszedł dziś na poranną zmianę. A ty o której masz to spotkanie z profesorem?

– Właśnie przed chwilą zadzwonił z pytaniem, czy nie mógłbym przyjechać do niego na dwudziestą, bo coś mu wypadło. Mam trochę czasu dla ciebie. Może pójdziemy na spacer? Oprowadzisz mnie po Chrzanowie...

– Z przyjemnością. Wiesz, stęskniłam się za tym miastem. Marcice są cudowne, ale tam życie wydaje się takie nierealne, baśniowe. W rzeczywistości chyba takie nie jest, prawda? Mam kilka dobrych wspomnień z dzieciństwa, miejsc, które lubiłam. Chodźmy, pokażę ci.

Zaparkowali przed sklepem i ulicą Grunwaldzką przeszli aż do alei Henryka, najładniejszej, zdaniem Cecylii, ulicy w mieście.

– Tam po lewej jest bank, gdzie pracowała mama, potem urząd miasta, a po prawej sąd. Dalej zaczyna się park miejski.

– Jak tu spokojnie. Prawie nie ma ruchu. Nie to co w Łodzi.

– Bo to mała miejscina, ale chyba przyjemna do życia. Chociaż ja... – zawahała się, bo jak dotąd niewiele opowiadała Zbyszkowi o sobie. – Kiedyś prawie nie wychodziłam z domu. Sama praktycznie nigdy. Bałam się.

Spojrzał na nią. Jakby pytając wzrokiem o pozwolenie, sięgnął po rękę dziewczyny i umieścił w swojej dłoni. Nie wyrwał jej. Szli chwilę w milczeniu.

Cecylia próbowała opanować szybkie bicie serca, bo wydawało jej się, że przechodzący obok nich ludzie je słyszą. Tak bardzo pragnęła, by ją dotknął, od dawna marzyła o tej chwili, a gdy nadeszła, czuła się wręcz sparaliżowana. Zbyszek był tak samo przejęty, choć jego zachowanie tego nie zdradzało. Odważył się jedynie na ten niewielki krok. Całe jego wnętrze krzyczało, żeby wziął ją w ramiona i pocałował. Nie chciał jej jednak spieszyć. Na wszystko musi przyjść odpowiedni czas, pomyślał.

Dziewczyna opowiadała o parku, do którego właśnie się zbliżali od strony ulicy Słowackiego, o muzeum i wystawach, na których była kilka lat wcześniej. Dużo zapamiętała z historii, które opowiadał jej ojciec. Wciąż trzymali się za ręce, ale uścisk już był swobodny, naturalny. Kończyło się lato, liście zaczynały nabierać jesiennych kolorów. Kasztany nabrzmiały, a niektóre już opadły. Za kilka tygodni całe trawniki pokryją się wielokolorowym dywanem z liści. Teraz jednak widać było na nich kwiaty. Było pogodnie, wiatr ustał albo Cecylia nie zwracała na to uwagi. Życie było takie piękne! Kiedyś bała się myśli o przyszłości, dziś nie skupiała się na niej, nie ze względu na lęk, tylko dlatego, że przyszłość nie miała znaczenia. Liczyło się tu i teraz. Czerpała szczęście z obecnej chwili. Tego między innymi nauczyła się w Marcicach. Puściła w pewnym momencie rękę Zbyszka i podbiegła do pobliskiego drzewa.

– Popatrz, tam jest wiewiórka. O, nawet dwie. Jakie śliczne!

Na gałęzi siedziały dwa rude zwierzątka zainteresowane raczej sobą niż przyglądającym im się ludziom.

– Szkoda, że nie mamy orzechów.

Obeszli cały park, a koło muzeum ruszyli w kierunku rynku. Ulica Mickiewicza doprowadziła ich do kościoła pod wezwaniem Świętego Mikołaja, a wcześniej do szkoły podstawowej, do której kiedyś chodziła Cecylia.

– Nie mam najlepszych wspomnień z tej szkoły, ale dobrze, że tu jestem. Przez całe lata bałam się tędy przechodzić. Teraz prawie w ogóle mnie to nie rusza. Dziękuję, że jesteś tu ze mną.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Uśmiechnęli się do siebie z uczuciem.

– Już późno. Wracajmy do auta i jedźmy do Kościelca. Tata pewnie wrócił z pracy. Jesteś zmęczony, a taka długa droga przed tobą!

– Nie przejmuj się mną. Jestem przyzwyczajony do jazdy samochodem. Cieszę się, że mogliśmy pójść na spacer i że poznałem twoje miasto. Pewnie wkrótce z powrotem się tu przeprowadzisz. – W głosie Zbyszka pobrzmiwał smutek.

– Jeszcze nie wiem. Mam tu tatę. W Marcicach nie mogę mieszkać w nieskończoność. Marta i Jan mają swoje życie i pewnie jest wiele osób, którym mogliby pomóc. No i Bożenka... Chciałabym być tam, gdzie ona. Ale też...

– Tęskniłbym – przerwał jej.

Dotarli do samochodu. Przez całą drogę do Kościelca milczeli, jakby ostatnie zdania wybudowały między nimi mur. Podjechali pod dom, w którym znajdowało się mieszkanie Krzeczynskiego. Już z ulicy widać było, że jest obecny, bo paliły się światła.

Cecylia wysiadła, dziękując za podwiezienie. Była pewna, że Zbyszek nie odprowadzi jej do drzwi, ale po chwili usłyszała za sobą trzaśnięcie. Dotarła już do bramy i nacisnęła domofon. Kiedy ojciec odblokował wejście, a ona uchyliła drzwi, usłyszała swoje imię. Odwróciła się, bo w głosie Zbyszka słysząc było prośbę. Patrzyli sobie w oczy. Choć lęk ścisnął jej żołądek, postanowiła wykorzystać chwilę.

– Też tęskniłabym. Bardzo.

– Nie myślmymy o tym, co będzie. Będzie tak, jak być powinno. Dla ciebie. Dla mnie. A jak? Tego dowiemy się w przyszłości. – Dotknął jej policzka.

Pozwoliła mu na to, wręcz przybliżając się o parę centymetrów.

Drugą ręką chwycił drzwi, które tarasowała, żeby się nie zamknęły. Oparł się o nie plecami i przysunął Cecylię do siebie. Wciąż patrzyli sobie w oczy. Gładził przez chwilę jej policzek z czułością, a potem chwycił oburącz twarz i przyciągnął do swojej. Zamknęła oczy, całkowicie poddając się chwili. Poczwała delikatne muśnięcie. Ciepłe wargi z wycuciem pieściły jej usta. Gorąca fala oblała jej ciało, w głowie szumiało, a serce waliło jak szalone. Jednak nie chciała uciekać jak wtedy, gdy ogarniała ją panika. Pragnęła wejść głębiej w ten świat i zatopić się w tej miękkości.

– Idź już, bo tata będzie się martwił. – Usłyszała szept.

Niechętnie opuściła krainę namiętności i otworzyła oczy. Zbyszek przepuścił ją przez próg i obiecał, że będzie następnego dnia o tej samej porze.

Weszła na pierwsze piętro. Marian stał już w drzwiach, zaskoczony widokiem córki.

– Co się stało? Dlaczego nie zadzwoniłaś, że przyjedziesz?

– Chciałam ci zrobić niespodziankę.

Uśmiechała się cały czas, więc Krzeczynski przyglądał się córce podejrzliwie. Była inna niż zwykle. Trochę jakby nieobecna. Zastanawiał się nawet, czy nie jest pod wpływem jakichś używek, na co wskazywałby jej rozbiegany wzrok.

Wyjaśniła, że zapragnęła odwiedzić grób mamy, czym wywołała wielkie zdziwienie ojca. Nie uprzedzała go, że przyjdzie, bo nie planowała zostać w Chrzanowie na dłużej, ale plany się

zmieniły. Marian ucieszył się, że spędzi z córką trochę czasu, a przede wszystkim że będą sami, bo w Marcicach zawsze ktoś im towarzyszył. Widział ją w dobrej formie, choć to dziwne spojrzenie mocno go intrygowało.

Zjedli razem późny obiad, a potem rozmawiali o zwykłych sprawach, które ich na co dzień zajmowały. Cecylia dużo mówiła o postępach Bożenki, o planach, jakie miały, by w kolejnym roku przystąpić do matury w chrzanowskim liceum. Obie straciły trochę czasu, ale nie miało to dla nich znaczenia. Przyznała, że chciałyby studiować psychologię, ale jeszcze nie wie, w jakim mieście. Bożenka natomiast nie była pewna, czy w ogóle pójdzie na studia.

Spędzili razem bardzo miłe popołudnie, ale Marian, który zaczął tego dnia zmianę o szóstej rano, pod wieczór był już bardzo zmęczony. Przygotował łóżko dla córki w pokoju, który dla niej przeznaczył, choć do tej pory jeszcze nie miała okazji w nim zamieszkać, i wyjął z szafy jeden z jej starych podkoszulków, bo nie wzięła ze sobą nic ponad to, co miała na sobie.

Gdy tylko zamknęły się drzwi od pokoju ojca, Cecylia poszła do łazienki, a wkrótce potem leżała już w pościeli. Dopiero wtedy miała czas, by pomyśleć spokojnie o tym, co wydarzyło się tego popołudnia. Marzyła o takiej chwili od wielu miesięcy, ale sama nigdy nie wyszłaby z inicjatywą. Nie była do końca pewna, kim jest dla Zbyszka, choć z tego, że on był jej miłością, zdała sobie sprawę już dawno. Pomimo że miała już prawie dziewiętnaście lat, nigdy żaden chłopak nie był nią zainteresowany, nie mówiąc już o tym, by któryś ją pocałował. Nieraz Bożenka opowiadała jej o swoich doświadczeniach z chłopcami, ale nawet wtedy nie potrafiła wyobrazić sobie, jakie to uczucie, gdy ukochany mężczyzna pieści wargami usta. Nadal czuła lekki zawrót głowy i ucisk w podbrzuszu, gdy wspominała to, co stało się przed domem. Emocje wciąż w niej żyły. Mało prawdopodobne, by mogła szybko zasnąć. Wstała więc i podeszła do półki z książkami, by wyszukać jakąś interesującą pozycję. Jej wzrok zatrzymał się na tekturowym pudełku przewiązanym sznurkiem. Ostrożnie przeniosła je na łóżko i rozwiązała kokardkę. Z ciekawością zajrzała do środka, odkrywając, że znajdują się tam zdjęcia. Rozpoznała rodziców i innych członków rodziny z różnych okresów życia. Wiele tych fotografii już kiedyś widziała, ale część była całkiem dla niej nowa. Na dnie pudełka znalazła podniszczony zeszyt. Poczowała ekscytację, gdy otwierała okładkę, a chwilę później całkowicie zatopiła się w lekturze.

Rozdział 32

Rodzina z radością powitała Bożenkę, szczególnie rodzeństwo tuliło się do niej tak, jakby nie widzieli się znacznie dłużej niż przed trzema miesiącami. Wszyscy gratulowali jej postępów w rehabilitacji i tego, że niemal całkowicie swobodnie porusza się na własnych nogach.

– To co, wózek ci już nie jest potrzebny? – zapytał ojciec, gdy usiadła przy stole, oparłszy kule o ścianę.

– Praktycznie nie. Używam tylko kul. Bez nich bałabym się jeszcze chodzić, bo czasem mam taką sztywność, że mogłabym stracić równowagę.

– Dobrze, że przyjechałaś. Zaraz nałożę ci gołąbków, które wczoraj zrobiłam. – Mama już sięgała po talerz.

– Gołąbki? Ale trafiłam! Mniem... Dawno nie jadłam.

– A co tam wam dają w tych Marcicach? Wyglądasz, jakbyś głodna była.

– Bo jestem, mamuś. Przyjechaliśmy trzy godziny temu, a jeszcze sama droga ile trwała. Tylko śniadanie dziś jadłam. Marta dobrze gotuje, ale głównie są to dania warzywne i różne kasze. Ryby jemy, jak Jan przywiezie z łowiska, ale gołąbki to rzadko.

– No to jedz, córcia, jedz.

– Babcia jest?

– Jest, ino siedzi cały dzień w pokoju i gapi się przez okno. Zjedz najpierw, a potem do niej pójdiesz. – Halina powstrzymała córkę, która właśnie wstawiała od stołu.

Kiedy Bożenka zaspokoiła głód, poszła przywitać się z babcią. Niestety kobieta jej nie rozpoznała. Postępująca choroba mocno ograniczyła jej zmysły. Nawet leki niewiele już pomagały.

– Babciu, chciałam cię zapytać o Irmę. Pamiętasz? Kiedyś opowiadałaś mi o twojej przyjaciółce.

– Babcia miała wiele przyjaciółek. Czasem mnie do nich zabierała.

– Ale ja pytam o twoją przyjaciółkę. Irmę, która stała się Kasią.

– Babcia nie miała przyjaciółki Kasi. Babcia z dziadkiem zaraz tu przyjdą. Może zagramy w chińczyka, Halinko?

Bożenka zdała sobie sprawę, że nie porozmawia z nią na interesujący temat. Zapytała więc ojca, czy mają jeszcze album ze starymi zdjęciami, bo być może z nich dowiedziałyby się więcej.

Faktycznie, w jednym z nierozpakowanych pudeł znajdował się zbiór starych fotografii. Część była przyklejona czarnymi papierowymi zaczepkami, część wrzucona luźno między tekturowe przekładki.

Były to bardzo stare zdjęcia, czarno-białe, robione w wyjątkowych sytuacjach, a nie jak w dzisiejszych czasach przy byle okazji. Bożenka skrupulatnie przeglądała jedno po drugim. Większości znajdujących się na nich osób nie rozpoznawała, jednak na kilku powtarzała się młoda dziewczyna z grubym czarnym warkoczem sięgającym do pasa. To była babcia Danuta. Wnuczka знаła opowieści o jej wyjątkowej urody włosów. Szczególnie jedna fotografia zwracała uwagę: babcia obejmowała drugą dziewczynkę w podobnym wieku. Uśmiechały się, a za nimi stało bożonarodzeniowe drzewko. Na odwrocie zdjęcia podpisano: „Irma i Dusia, Chrzanów 1938 rok”.

Odłożyła zdjęcie na bok, a pozostałe zebrała w kupkę i wsunęła pomiędzy karty albumu. Może gdy pokaże babci Irmę, to staruszka przypomni sobie dawne losy. Szkoda, że nie zachowały się listy, które przyjaciółka pisała do babci. To mogłaby być fascynująca historia, a Bożenkę bardzo intrygowało, co właściwie się wydarzyło.

Tymczasem Cecylia również rozmyślała o trudnych czasach wojennej zawieruchy i późniejszych. Nie wiedziała, co myśleć o tym, czego dowiedziała się przed chwilą. Świtało, a ona nie zmrużyła jeszcze oka, tak bardzo wciągnęły ją zapiski, które odnalazła. Jeszcze raz otworzyła pierwszy zeszyt i z pewnym wahaniem ponownie spojrzała na pierwszą stronę. Gdy przeczytała ten wpis po raz pierwszy, przez jej ciało przebiegł dreszcz. Teraz, kiedy znała już cały tekst, ponownie chciała zobaczyć słowa matki skierowane bezpośrednio do niej i zmierzyć się z nimi w kontekście dalszych wiadomości.

Cecyljo!

Wiem, że mój kres nadchodzi. Nie wiem natomiast, czy przeżyłam moje życie mądrze, czy przekazałam Ci najwyższe wartości. Staralam się być dobrą matką, jednak im więcej wymagałam od siebie i od Ciebie, tym trudniej było Cię czegoś nauczyć. Co robiłam źle? Być może za mało rozmawialiśmy ze sobą, za mało wniknęłam w Twój świat, a dziś zastanawiam się, czy tak naprawdę znam swoją córkę. Czy Ty znałaś mnie? To przykre uświadomić sobie za pięć dwunasta, że można z kimś żyć, słuchać go, ale go nie słyszeć, patrzeć na to samo, ale widzieć w inny sposób.

Cecyljo, jeśli to czytasz, znaczy, że już mnie z Tobą nie ma. Chcę Ci powiedzieć, że bardzo Cię kochałam. Tak jak potrafiłam i jak podpowiadało mi serce. Mam nadzieję, że i Ty czułaś to samo i choć trochę rozumiałaś, jak bardzo pragnęłam Twojego dobra. Nigdy nie rozumiałam, co się z Tobą dzieje, dlaczego tak się zachowujesz. Niestety już się tego nie dowiem. Mam jednak nadzieję, że nawet gdy mnie nie będzie, zapamiętasz moje rady i nie zaprzepaścisz tych lat, które

Ci poświęciłam.

Przerwała. To były trudne słowa. Za bardzo przypominały Cecylii o traumie, jaką przez lata przeżywała. Już wyzwoliła się spod presji toksycznej matki, a jednak jej przekaz wciąż był w stanie sprawiać ból.

W dalszej części pamiętnika Wanda postanowiła przedstawić córce historię rodziny i własnego dzieciństwa, o czym nigdy ze sobą nie rozmawiały, a co miało wpływ na ukształtowanie jej osobowości. Cecylia miała świadomość, że jej mama szybko została sierotą i musiała sobie sama radzić, ale nie wiedziała nic na temat jej rodziców – jacy byli, jaką tworzyli rodzinę – dlatego z zainteresowaniem śledziła pamiętnik matki.

Moje najstarsze wspomnienie dotyczy krzyczącego taty i płaczącej mamy. Pamiętam, że tuliłam się do niej, bo bardzo się bałam, a tata wykrzykiwał do kogoś, żeby się wynosił. Nigdy potem nie widziałam go w takim stanie, dlatego ten obraz jest wyraźny. Kiedy byłam starsza i ktoś przy mnie krzyczał, od razu wspominałam tamtą chwilę. Do dziś nie lubię podniesionego głosu, choć wiem, że sama nieraz traciłam kontrolę i wrzeszczałam.

Pewnego dnia, gdy trochę podrosłam, mama wyznała, co wydarzyło się tamtego dnia. Miałam wówczas ze trzy lata i opiekowała się mną dziewczyna o imieniu Kasia. To nie było jej prawdziwe imię, o czym tata dowiedział się w tamtej chwili. Przez kilka lat żył w przekonaniu, że Kasia to rodzona siostra mamy. Ani dziadkowie, ani mama nie zająknęli się nawet, że to obca osoba – Irma. Feralnego dnia Kasia i mama były ze mną na spacerze. Do domu, gdzie był sam tata, przyszła dziewczyna z sąsiedztwa, Danusia, która chciała zobaczyć się z Irmą. Tata powiedział, że nie ma tam nikogo takiego, że się pomyliła, ale ta nie dała się zbyć. Powiedziała, że dziewczyna, która udaje siostrę Zosi, to Irma, z pochodzenia Żydówka, którą Kowalikowie przygarnęli w czasie wojny.

Gdy wróciłyśmy, tata był już bardzo zły. Najpierw zapytał, czy to prawda, a potem wyrzucił Kasię z domu. Mama mówiła mi, że ona bardzo mnie kochała. Mama, która była słaba i spodziewała się, że któregoś dnia dolegliwości ją pokonają, wyznała przyjaciółce, iż jej największym marzeniem jest, by tata ożenił się z Kasią. Tylko ją widziała w roli mojej nowej mamy. Ja też podobno bardzo ją lubiłam. Zapamiętałam jej miękką skórę i ciepły, serdeczny głos, którym śpiewała mi kołysanki.

Owa Danuta, która wszystko popsuka, była przyjaciółką Kasi z dawnych lat, jednak gdy dowiedziała się, że dziewczyna nie chce mieć do czynienia z poprzednim życiem, z zazdrości postanowiła powiedzieć prawdę o jej pochodzeniu. Wyszło na jaw, że Kasia to tak naprawdę Irma, dziewczynka z sąsiedztwa, która podczas wojny ukryła się w domu moich dziadków. Dalszą historię opowiedział mi tata, gdy umierał. Byłam już dorosła i właściwie jego opowieść przypominała mi to, co usłyszałam wcześniej od mamy. Wyznał, że nie mógł znieść myśli, że opiekuje się mną osoba, której rodzinę posłał na pewną śmierć. Miał wtedy prawie osiemnaście lat i kolegę, którego rodzinie spalono dom za to, że mieszkali z nimi Żydzi. Przekonany, że wszystkich czeka taki los, jeśli nie wskażą okolicznych żydowskich rodzin, zaprowadził niemieckiego oficera pod znany mu adres na Krzyskiej. Patrzył potem z ukrycia, jak wywlekają grupę ludzi, ale wówczas nie zdawał sobie sprawy, co tak naprawdę się dzieje. Myślał, że to tylko przeprowadzka w mniej atrakcyjne części miasta. Kiedy kilka lat później poznał Kasię, nie rozpoznał w niej dziewczynki z Krzyskiej, bo ubierała się tak samo jak Zosia, nosiła wielkie kokardy we włosach i była dobrze wychowana. Okazała się małomówna i prawie nie wychodziła z domu, a dzieci z tamtej żydowskiej rodziny wечно biegały po okolicy. Gdy okazało się, że Kasia to Irma, wiedział już, że transport z jej rodziną jechał tylko w jedną stronę. Znał plany mamy co do Kasi i choć nie chciał wówczas myśleć o tym, że żona może umrzeć, nie mógł dopuścić, żebym ja przywykła do Kasi, bo po tym, czego się dowiedział, nigdy nie mógłby jej

poślubić.

Po pierwsze był okropnie zły, że przez tyle lat go okłamywano, a po drugie nie mógł patrzeć w oczy dziewczynie, której rodzina prawdopodobnie umarła przez niego. Wyrzucił ją z domu. Słyszał, że wkrótce potem pojechała do Belgii, bo podobno żył tam ktoś z jej bliskich.

Mama jeszcze bardziej załamała się po wyjeździe Kasi. Straciła nie tylko wielką pomoc, ale i przyjaciółkę. Zawsze miała o to żal do ojca. Odsunęła się od nas, coraz bardziej popadając w depresję. Z czasem uświadomiłam sobie, że przez zazdrość tej głupiej kobiety straciłam je obie. Mamę, z którą nigdy nie byłam blisko, ale jednak była moją mamą, i Kasię, która dawała mi ogromną miłość oraz troskliwie się mną opiekowała. Tata wytłumaczył mi, że Danuta pochodziła z niezamożnej rodziny i dopóki Irma żyła w podobnych jak ona warunkach, traktowała ją jak przyjaciółkę, ale gdy ta zamieszkała z moimi dziadkami i niczego jej nie brakowało, ani w przedmiotach codziennego użytku, ani w wykształceniu, zawiść prostaczki była tak silna, że postanowiła zrujnować nam życie.

Cecylia rozmyślała nad tym, jak wiele na skutek wstrętnej zawiści można zniszczyć. Zastanawiała się, jak ona zachowałyby się w podobnej sytuacji, jednak jej konstrukcja psychiczna była zupełnie inna niż przedstawionej w historii dziewczyny. Chyba pogodziłaby się z tym, że przyjaciółka wybrała inne życie i odpuściłaby. Nie umiałaby zawalczyć o siebie, bo uważała, że prawdziwa przyjaźń sama się obroni. Być może to, co łączyło Irmę i Danutę, nie było prawdziwe?

Tak rozmyślając, zasnęła.

Poranek spędziła z tatą, któremu udało się, specjalnie z okazji wizyty córki, zamienić się z kolegą dyżurami. Dzięki temu zyskali parę wspólnych godzin.

– Czytałeś je? – Szybko nawiązała do pamiętników matki.

– Tak, wkrótce po tym, gdy zawiozłem cię do Marcic. Długo zastanawiałem się, czy powinnaś je poznać. Ostatnio bardzo wydorosłaś, dojrzałaś i jesteś silniejsza, dlatego pomyślałem, że dasz sobie radę.

– Nie spałam prawie całą noc. Myślałam o mamie. Opowiedz mi o niej. Tak, jak ty ją widziałeś, jaka była dla ciebie. Dlaczego się w niej zakochałeś? – Cecylia nałożyła sobie twaróżku na kanapkę.

– Minęło tyle lat... Mimo to wciąż pamiętam, jak mnie zafascynowała. Wiesz, moja mama całkowicie podporządkowała się ojcu. Wanda odwrotnie. Ona była inna niż wszystkie znane mi kobiety. Miała silną osobowość, potrafiła osiągnąć wszystko, co sobie zamierzyła. Jednocześnie była bardzo kobieca... Kiedy trzeba, była delikatna i krucha, innym razem stanowcza i nieprzejednana. Wielu o niej marzyło, więc kiedy zaczęliśmy się umawiać na randki, czułem się, jakbym wygrał los na loterii.

– Potem też tak uważałeś?

Marian zastanowił się chwilę.

– W naszym małżeństwie bywało różnie. Jak w każdym chyba. Nieraz spieraliśmy się w różnych sprawach, ale najczęściej stawało na zdaniu Wandy. Zawsze potrafiła przekonać mnie, że to ona ma rację. I zazwyczaj okazywało się, że faktycznie tak jest. Była naprawdę dobra w tym, co robiła, dlatego zgadzałem się, by decydowała o wszystkim.

– A co na to dziadkowie? Mówiłeś, że twój ojciec był apodyktyczny. Jak reagował na to, że w twoim małżeństwie rządzi kobieta?

– Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Czasem rzeczywiście odnosiłem wrażenie, że ojciec uważa mnie za tchórza, który nie potrafi przeciwstawić się kobiecie, ale dla mnie to nie był problem. Dopóki uważałem, że Wanda podejmuje słuszne decyzje, nie miało znaczenia, że to ona ma decydujący głos i wychodzi z inicjatywą. Prawdę mówiąc... tak było mi wygodniej.

Cecylia spojrzała na ojca uważnie. Siedział przygarbiony, ze spuszczonego wzrokiem. Jedną ręką dotykał kubka z herbatą, jakby chciał się napić, ale go nie podnosił.

– Cecylino... – Jego ton zmienił się. W głosie dawało się odczuć zarówno smutek, ból, jak i jakąś prośbę. – Masz żal do mamy? Albo do mnie? Wiem, że była dla ciebie surowa. Nie zawsze podobało mi się to, czego od ciebie wymagała. Wydawało mi się, że nie masz czasu być prawdziwym dzieckiem, ciągle tylko nauka i nauka. Cierpiałas, a ja nic nie zrobiłem. Wybaczysz mi?

– Tatusiu! Nie mam do ciebie żalu. A do mamy? Już coraz mniej. Kiedy myślę o moim dzieciństwie, mam w głowie pustkę. Pojedyncze sceny zaledwie i to głównie te, które spędziłam z tobą. Psycholog powiedziała mi, że wyparłam to, co sprawiało mi przykrość. Wiem, że tam była mama, dlatego przez długi czas nie mogłam nawet o niej myśleć. Ale stopniowo zaczynam ją odkrywać. Staram się zrozumieć, czego ode mnie wymagała. W sumie to nic złego chcieć, by córka była mądra, grzeczna i miała nienaganne maniery. Ale chyba masz rację. Dla mamy nie byłam dzieckiem, tylko ludkiem z plasteliny, którego chciała ukształtować na swoje podobieństwo. A ja nigdy nie będę taka jak ona.

– Przypominasz mi moją mamę, babcię Lusię. Nie wiem, czy ty ją pamiętasz, bo byłaś malutka, kiedy zmarła, ale ona, jak mówiłem, zawsze robiła to, co chciał ojciec. Jednak wtedy, gdy go nie było, brała mnie na kolana i mówiła, że nieważne, z czym przyjdzie nam w życiu się zmierzyć, musimy pozostać wierni sobie, żyć w zgodzie ze swoim charakterem, bo tylko wtedy uda nam się przetrwać. Dlatego też nigdy nie próbowałem dominować nad Wandą, jak chciałby mój ojciec, bo to nie byłbym prawdziwy ja.

– Szkoda, że jej nie pamiętam. Wiesz, zawsze było mi przykro, że nie mam ani dziadków, ani cioć, ani rodzeństwa. Byłam bardzo samotna. Teraz dopiero czuję się szczęśliwa. Tyle osób pojawiło się w moim życiu, obcych, a jednak bliższych niż ktokolwiek inny. Nareszcie mam rodzinę, o jakiej marzyłam.

Marian ponownie zmarkotniał. To, co mówiła córka, było dla niego przykre. Jednocześnie wiedział, że ma rację. Tyle lat odcinali ją od świata, narzucając obowiązki. Gdyby mógł ponownie dać jej dzieciństwo, starałby się ofiarować więcej ciepła i swobody. Cecylia, jakby czytając w jego myślach, odparła:

– Nie cofniemy czasu, ale ciągle mamy możliwość żyć tak, jak byśmy chcieli. Kocham cię, tato. – Wstała od stołu i podeszła do ojca. Przytuliła się do niego, a on mocno objął ją ramieniem.

W oczach miał łzy, ale się ich nie wstydził. Jego córka była o wiele mądrzejsza od niego. Miała odwagę, której jemu dawno temu zabrakło.

Cecylia spojrzała na zegarek wiszący nad kuchennymi drzwiami. Dochodziła dwunasta.

– Tato! Spóźnisz się do pracy. Strasznie przeciągnęło nam się to śniadanie.

– Już się zbieram. Córeczko, mam jeszcze pytanie... Myślisz, że będziesz w stanie wybaczyć kiedyś mamie?

– Już jej wybaczyłam – szepnęła niemal niesłyszalnie, ale Marian zrozumiał.

Poczuł ogromną ulgę.

O piętnastej umówili się we trójkę w kawiarni przy rynku. Zbyszek był punktualny. Zaraz po nim pojawiła się Bożenka. Chwilę czekali na Cecylię, która jechała autobusem z Kościelca i utknęła w korku.

Już od progu między mężczyzną a spóźnioną dziewczyną dało się wyczuć sztywną atmosferę. Rozmowa się nie kleiła. Ewidentnie byli zmieszani. Bożenka przyglądała się to przyjacielce, to fizjoterapeucie, którzy unikali swojego wzroku. Coś wisiało w powietrzu, o czym nie miała pojęcia. Intuicja podpowiadała jej jednak, że nie stało się nic złego. Podejrzewała, że

dziwna reakcja znajomych jest skutkiem jakichś wcześniejszych wydarzeń, w których nie uczestniczyła. W końcu nie wytrzymała i zapytała wprost:

– Zachowujecie się, jakbyście coś przeskrobali. Dowiem się, o co chodzi?

Zbyszek spojrział na Cecylię i uśmiechnął się do niej. Ta zaczerwieniła się po same uszy. W końcu odwzajemniła uśmiech, jednocześnie wzruszając ramionami.

– Jednak mam rację. Długo będziecie udawać, że nic między wami nie ma?

Wszyscy zmierzli się wzrokiem. Właściwie ich zachowanie było bez sensu. Nikt nie chciał niczego ukrywać. Po prostu onieśmienie wzięło górę. Zbyszek przysunął się do Cecylii i wziął ją za rękę. Nagle wszystko stało się naturalne i dalsze rozmowy toczyły się na luzie, jak zawsze w gronie przyjaciół.

Dopiero po powrocie do Marcic, gdy Zbyszek odjechał do Łodzi, Bożenka poruszyła temat zdjęcia, które znalazła w albumie.

– Spójrz, to moja babcia z przyjaciółką. Kiedyś mi o niej opowiadała i wczoraj na cmentarzu skojarzyłam, że w tej opowieści była jeszcze Zofia Kowalik, twoja babcia.

– Tak? – Cecylia uświadomiła sobie nagle, że przyjaciółka może mówić o tym samym, o czym ona dowiedziała się z pamiętnika matki. – A jak miała na imię ta przyjaciółka?

– Irma. Słyszałaś o niej? To Żydówka, która udawała siostrę twojej babci.

Cecylia wzruszyła ramionami. Nagle wszystkie elementy układanki zaczęły do siebie pasować. Jak miała powiedzieć przyjaciółce, że to jej babcia doprowadziła do tego, że Wanda straciła bliską osobę? Być może właśnie to ukształtowało jej charakter. Może dlatego tak nienawidziła rodziny Bożenki, bo rozpoznała w babci Dusi przyczynę swoich problemów?

Musiała coś odpowiedzieć, ale nie była gotowa przyznać, że ma pamiętniki, w których cała sytuacja jest opisana.

– Tak, znam historię Irmy. Opiekowała się moją mamą, a potem nagle wyjechała.

– Babcia mówiła, że ojciec twojej mamy wyrzucił przyszywaną krewną. Nie mógł znieść, że ona jest Żydówką. To by w sumie pasowało do waszej rodziny. O, przepraszam, Cecylia...

– Bożenka zorientowała się, że się zagalopowała. To, że matka koleżanki pogardzała jej bliskimi, nie znaczyło wcale, że cała rodzina to antysemita i wywyższający się ludzie. – Przesadziłam, przepraszam.

– Nie przepraszaj. To prawda, że dziadek ją wyrzucił, gdy dowiedział się, że nie jest prawdziwą siostrą babci. Myślę jednak, że jej pochodzenie nie miało znaczenia.

– To ciekawe, że nasze rodziny kiedyś się znały. Nawet nasze mamy się spotykały, gdy były malutkie. Szkoda, że tego nie pamiętały, bo może w dorosłym życiu by się zaprzyjaźniły. Gdyby Irma nie wyjechała i dalej spotykała się z babcią, wszystko potoczyłoby się inaczej. Łączyła je wielka przyjaźń.

– Nie jestem tego pewna...

– Dlaczego tak uważasz? Skąd w ogóle to wszystko wiesz? Dlaczego nie wspomniałaś? Mama ci opowiadała?

– Tak jakby...

– Wiesz co, jakoś dziwnie się z tobą rozmawia. Jakbyś nie chciała mi czegoś powiedzieć. Chodzi o tę historię?

Cecylia postanowiła nie ukrywać prawdy przed przyjaciółką. Ostatecznie to były dawne czasy i dotyczyły osób, które nie żyją, a babcia Bożenki miała problem z pamięcią. Co było, to było, teraz nie miało to znaczenia. Wyciągnęła pamiętnik mamy i otworzyła na odpowiedniej stronie. Podsunęła koleżance i pozwoliła jej czytać. Obserwowała ją. Dziewczyna zeszywniała. Jeszcze raz przerzuciła wzrokiem tekst.

– To nie może być prawda. Moja babcia nigdy by tak nie postąpiła. Nie z zazdrości.

- Irmie nie zależało na tej przyjaźni.
- Skąd masz pewność, że to prawda, co tu jest napisane? Przecież to nie są zapiski Army.

To przekaz twojej mamy.

Zamilkły. Atmosfera zgęstniała. Każda była przekonana, że jej wersja jest prawdziwa, a jednocześnie nie chciały się kłócić. Cecylia pierwsza zabrała głos:

- Zostawmy to. Jakie to ma znaczenie dla nas?

– Chyba tylko takie, że to samo wydarzenie można widzieć z różnych stron. Dlatego najlepiej od razu wyjaśniać wszelkie nieдомówienia. Potem są z tego tylko kłopoty. Jeśli twoja mama wierzyła, że babcia doprowadziła do wyjazdu Army z zazdrości, to rozumiem, dlaczego tak nas nie lubiła. To znaczy nie rozumiem, ale mogę sobie wyobrazić, że uważała to za powód. Szkoda tylko, że nigdy babci o to nie zapytała, bo gdyby usłyszała jej wersję wydarzeń, to by się pogodziły, nie uważasz?

- Tak. To z pewnością było nieporozumienie.

– Wiesz, kiedy byłam w święta w domu, to mama opowiadała mi o dziwnym zachowaniu babci, gdy się przeprowadzali. Pierwszy raz bardzo się zdenerwowała. Szukała po pokojach dzieci i wołała do nich, żeby się zbierały, bo on zaraz ich wyrzuci. Mama jakoś ją uspokoiła, ale nie wiedziała, o co babci chodzi. Chyba pamiętała miejsce. Przecież to tam przysłała do Army i rozmawiała z twoim dziadkiem, prawda?

– Nie wiem. Mama nigdy nie opowiadała mi, żeby mieszkali gdzie indziej. Żał mi twojej babci. To musi być bardzo przykre, kiedy nie wie, co się wokół niej dzieje. Jest trochę jak dziecko.

W kuchni rozległ się głos Marty, która wróciła z Kornelką od lekarza. Mała złapała zapalenie oskrzeli. Przywitały się serdecznie, a potem opowiedziały w skrócie o pobycie w Chrzanowie. Przełomowa wizyta w rodzinnym mieście dała dziewczynom odwagę, by opuścić sielankową wieś i powrócić do miasta z nową energią i planami. Ciągle jeszcze miały niepokojące sprawy, których lepiej było nie zamykać nagłą decyzją, dlatego po naradzie ustaliły, że zostaną w Marcicach do końca zimy, a na wiosnę wrócą do Chrzanowa, gdzie przystąpią do matury. Cecylia rozejrzy się za studiami. Być może spróbuje dostać się na uczelnię w Łodzi, do czego namawiała także Bożenkę. Ta jednak nie wiedziała, czy może opuścić Chrzanów. Przewidywała, że trzeba będzie zajmować się babcią Dusią. Uważała, że jest jej to winna. W końcu babcia tyle lat poświęciła opiece nad nią i jej rodzeństwem. To nie była kwestia decyzji. Po prostu zakładała, że jeśli tylko będzie w Chrzanowie potrzebna, to tam zostanie. Spędzi czas przy ukochanej babci do ostatnich jej chwil, nawet gdy ta całkowicie straci rozeznanie. W skrytości dziewczyna miała nadzieję, że staruszka odzyska pamięć i spędzą jeszcze razem wiele radosnych chwil.

Rozdział 33

Niedługo potem zmarł. Poczulałam się opuszczona. Kiedyś odebrał mi ukochaną ciocię, teraz sam odszedł. Kochałam go bardzo, a jednocześnie czułam się zdradzona. Przez lata żyłam w przekonaniu, że mój ojciec to człowiek, który zawsze postępuje słusznie, który ma zasady moralne i nigdy nie zbacza z wyznaczonej drogi. Postanowiłam, że jeśli kiedykolwiek będę miała dzieci, to przekażę im wartości, których mnie nauczył. Jednocześnie nie pozwolę, by ktoś jeszcze mnie zranił. Postanowiłam, że to ja będę zawsze rozdawać karty.

Cecylia stopniowo odkrywała swoją matkę. Po tym, co wyczytała w pamiętniku, jawiła jej się jako inna osoba. Już nie była wyrafinowaną egoistką, tylko ofiarą własnych ambicji i lęków zrodzonych z samotności, nieświadomą, że zamiast uchronić córkę przed złem, wtłaczała ją w schemat, w jakim sama wzrastała.

Wróciłam do poprzednich wpisów, do miejsca, gdzie pisałam o rozdawaniu kart. Nie

przewidziałam wtedy tego, że są sprawy, na które nie mamy wpływu. Myślałam, że twardej skorupy nic nie przebije, że pancierz uchroni mnie przed wszelkim złem tego świata, ale śmierć okazuje się silniejsza od wszystkiego. Umieram. Zostawiam córkę. Dziś nie jestem już pewna, czy zrobiłam dla niej wszystko to, co najlepsze. Dziś wątpię. W obliczu nadchodzącej śmierci przyznaję: nic nie wiem o życiu, nic nie wiem o byciu dobrym człowiekiem, nic nie wiem o swojej córce. Może to ona właśnie lepiej wie, jak żyć.

W tym miejscu pamiętnik się urwał. Nie dopisano dat, ale Cecylia była przekonana, że matka pisała to w ostatni wieczór, gdy ona pojechała z ojcem do Trzebini, by odszukać Bożenkę. Odłożyła zeszyt na stolik i sięgnęła do szafy, gdzie na dnie leżało zapomniane pudełko po butach. Przywiozła je ze sobą do Marcic, ale ani razu do niego nie zajrzała. Teraz jednak, gdy rozliczała się z przeszłością, musiała zrobić jeszcze jedną rzecz.

Wzięła do ręki figurkę potwora, który wyglądał jak drzewo, ale miał twarz wykrzywioną w grymasie. Przyjrzała mu się przez chwilę, a potem zgmiotła go w dłoni. Po chwili została po nim jedynie bezkształtna masa. Podobny los spotkał pająka, dzika i różne postacie, które mogły odzwierciedlać spotykanych przez nią na różnych etapach życia ludzi. Masa powiększała się, a kolory wzajemnie mieszały. Wahala się chwilę, czy zniszczyć także figurki przedstawiające bajkowe postacie z opowiadanych przez Bożenkę historii, ale po namyśle i im odebrała kształt. Wszystkie plastelinowe ludki powstały dlatego, że w ten sposób uwalniała emocje. Inaczej wtedy nie potrafiła. Dziś radziła sobie znacznie lepiej.

– Co masz? – Nagle do pokoju wpadła Kornelka. – Mogę? – Dziewczynka sięgnęła po miękką kulkę.

Cecylia początkowo chciała jej ją zabrać, ale przecież to była tylko zwykła plastelina.

– Pewnie! Jest dla ciebie, jeśli chcesz. Ja już jej nie potrzebuję.

– Może polepimy razem?

– Nie teraz. Muszę coś załatwić. Ale ty coś ulep. Potem mi pokażesz.

Rozdział 34

Za pół godziny zaczynała wykład. Zbyszek już dawno wyszedł do pracy. Tego dnia nie zdążyli razem wypić kawy, dlatego samotnie ją kończyła. Lubiła, kiedy wspólnie jedli śniadanie, ale nie zawsze było to możliwe. Ceniła też chwile samotności, spokoju i refleksji. Dziś na przykład mogła jeszcze raz przemyśleć to, co powie za chwilę studentom. Spojrzała na psa, który ewidentnie domagał się czegoś i trącał ją co chwilę głową.

– Hej, czego chcesz? Byłeś na spacerze, jeść dostałeś...

Psiak zamerdał ogonem, zadowolony, że pani zwróciła na niego uwagę. Podbiegł do miski na wodę i zaczął nią podrzucać.

– Woda ci się skończyła? Już daję, daję... Bądź grzeczny, bo dziś przyjedzie do nas Bożenka z małym Krzysiem, a on jeszcze nie wie, co to jest pies.

Napełniła miskę, pogłaskała aksamitny łebek i przyszykowała się do wyjścia.

– Życie potrafi być przewrotne. Moje przewracało się kilka razy do góry nogami. Dziś zastanawiam się, kim byłabym, gdyby nie ludzie, z którymi zetknął mnie los. Myślę o tym, w jakim świecie bym żyła, czy istniałabym naprawdę, czy tylko jako wyobrażenie mojej matki. To od niej wszystko się zaczęło. To ona ukształtowała mnie taką, jaka jestem. To przez nią jestem dziś silna. Tak, dobrze się wyraziłam, przez nią, a nie dzięki niej. Już nie mam do niej żalu. Dawno się go pozbyłam, bo dostrzegam teraz dużo więcej niż wtedy, gdy byłam małą dziewczynką. Dlatego chcę wam pomóc zrozumieć, że jesteśmy zlepkiem nie tylko genów i zasad wyniesionych z domu czy sposobu wychowania, ale w dużej mierze wpływ na nasz charakter mają wszelkie dobre i złe rzeczy, których doświadczamy, i ludzie, którzy stają na naszej drodze. Mówiąc w skrócie: to doświadczenie nas kształtuje. A życie jest jak jazda

pociągiem. Na początku podróży nie wiesz jeszcze, czym ona się zakończy. Masz jakieś wyobrażenie celu i starasz się go zrealizować, ale widzisz tylko ramy, do których próbujesz się dopasować, bo cała reszta jest wielką niewiadomą.

– To tak jak z tym pudełkiem czekoladek Forresta Gumpa! – krzyknął któryś ze studentów.

– Dokładnie. A wracając do jazdy pociągiem... Nieuchronnie wiąże się ona ze zmianami. Nigdy nie ma dwóch takich samych kursów. Zawsze zmieniają się ludzie, krajobrazy. Czasem poznajesz wspaniałe osoby, pozornie bardzo różne od ciebie, ale po chwili rozmowy znajdujecie dziesiątki tematów, które was łączą. Innym razem jedziesz sam przez długie godziny, bo nikt nie wchodzi do twojego przedziału. Czasem wydaje się, że współtowarzysz podróży zasługuje na twoje zaufanie, ale kiedy zasypiasz, okrada cię. Każda podróż jest inna. Bywa, że kończy się nieszczęśliwie, gdy z przeciwnego kierunku nadjedzie rozpedzony pociąg. Najczęściej jednak udaje nam się dotrzeć do celu. Nieraz mamy opóźnienie, co komplikuje wiele spraw: ucieka kolejny transport, nie czeka już ktoś, z kim się umówiłeś. Pociągi są różne. W podmiejskim monotony stukot leniwie toczących się po torach kół usypia. Masz poczucie, że nic nie jesteś w stanie zrobić, jedynie czekać cierpliwie, aż dotrzesz do stacji. A gdy wybierasz pociąg ekspresowy, czasem tempo podróży przyprawia o zawrót głowy. Kiedy już przywykniesz, jesteś prawie u celu. W pośpiechu bierzesz swoją walizkę, potrącając współpasażerów, a potem przepychasz się do wyjścia, bo nigdy nie wiesz, jak długo pociąg będzie stał na stacji. Wielu się to nie podoba. Oni też mają swój cel i też chcą wysiąść jak najszybciej. Pojawiają się nerwy, wrogie słowa, przykre spojrzenia. Gdy jesteś już na peronie, rozmyślasz nad zawiścią, nieuprzejmością innych ludzi, a tak naprawdę sam nie byłeś lepszy. Moja matka była taka, a nie inna, bo tak wyglądała jej podróż przez życie. Krótkie zresztą, czego akurat żałuję. Chciałabym móc porozmawiać z nią o tym teraz z pozycji osoby dorosłej, świadomej siebie. Poznać ją lepiej. Być może pomóc. Jej. Sobie. Ale to się już nie zdarzy. To, co mogę zrobić dziś, to stanąć przed wami i opowiedzieć swoją historię.

Podziękowania

Nie było łatwo napisać tę powieść, choćby dlatego, że znów sięgnęłam po trudny temat. Dodatkowe wyzwanie polegało na tym, że miałam oddać myśli i uczucia dziecka, którym już od jakiegoś czasu nie jestem. W dodatku dziecka wyjątkowego. Obserwuję świat i bywa, że czytam na twarzach latorośli udręczenie, a miny niektórych matek wskazują na to, że wciąż są niezadowolone ze swoich pociech. Na szczęście istnieje wiele cudownych rodzin, w których wzajemny szacunek jest na pierwszym miejscu, gdzie akceptuje się indywidualność drugiej osoby i jej potrzeby. Napisałam tę książkę między innymi po to, by pokazać, jak łatwo rodzic może zatracić się w pragnieniu, aby jego dziecko było najmądrzejsze, najpiękniejsze, najlepiej wychowane, najzdolniejsze i najsprawniejsze, zapominając o jego potrzebach. A przecież każdy człowiek – czy mały, czy duży – jest odrębną istotą, która zasługuje na bezwarunkową miłość.

Pomysł na Cecylkę chodził mi po głowie od trzech lat. Przez ten czas byliście ze mną i wciąż dopingowaliście mnie, bym wzięła się do pracy. Dostałam dużo wsparcia od innych pisarek, przede wszystkim od Izabelli Frączyk, Agnieszki Walczak-Chojeckiej i Agnieszki Lis, a także od Was, moi kochani Czytelnicy. Gorące podziękowania kieruję do Eleonory Chojnowskiej, ambasadorki polskich pisarek, kobiety, która jest wszędzie tam, gdzie literatura, i przyciąga rzesze nowych czytelników. To Eleonora zaraz po mojej Mamie przeczytała tę powieść i wydała werdykt.

Przede wszystkim dziękuję Mamie, która nie tylko czytała rozdział po rozdziale i wprowadzała poprawki, ale także pokazała mi Chrzanów tak, bym mogła umieścić tam akcję powieści. Krzysztofowi Zajasowi dziękuję za cenne uwagi dotyczące warsztatu pisarza, wszelkie

wskazówki i życzliwość, Joannie Tomoń za konsultacje psychologiczne, natomiast Mateuszowi Nowakowi za te z zakresu fizjoterapii. Jeśli w którymś miejscu napisałam jakąś głupotę, jest to wyłącznie moja błędna interpretacja.

Dziękuję Kasi Drobot, która pierwsza – jeszcze trzy lata temu – poznała zarys powieści, Ani Piotrowskiej, Ani Wrochnie, Joli Jastrzębskiej i wszystkim, którzy mnie wspierają, czekają na moje powieści albo po prostu przychodzą na spotkania autorskie, żeby pogadać. Bardzo lubię te nasze pogaduszki.

No i na końcu – choć to nie mniej ważne – dziękuję moim dzieciom i mężowi za to, że są w moim życiu.

Table of Contents

Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Dedykacja/motto
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33

Rozdział 34
Podziękowania

